

36

6

„AN EKS”



WYDAWNICTWO
KRAG
WARSZAWA
1987

kwartalnik polityczny

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI
Polska wczoraj i dziś

Inteligencja, „Solidarność”, władza (II)

J. KARPINSKI – S. KISIELEWSKI – M. KRÓL

Pamięci Orwella

L. KOLAŁKOWSKI – I. ŠEVČENKO – J. PODLASKI – L. NOWAK

GEORGES NIVAT
Spór o rosyjski nacjonalizm

"ANEKS"

kwartalnik polityczny

36/1984



WYDAWNICTWO
KRĄG
WARSZAWA

spis treści

Zbigniew Brzeziński: Polska wczoraj i dziś	3
<hr/>	
INTELIGENCJA, „SOLIDARNOŚĆ”, WŁADZA (II)	
Jakub Karpiński: Wiktimologia polityczna	12
Stefan Kisielewski: O fałszywych słowach i fałszywych nadziejach	24
Marcin Król: W poszukiwaniu racjonalnej nadziei	42
<hr/>	
Bogusław Gałęski: Uwagi o fundacji rolniczej	50
<hr/>	
ZACHÓD WOBEC WSCHODU	
Jnńczak Borygo: Borygo kontra Besançon	62
Alain Besançon: Odpowiedź	70
<hr/>	
Georges Nivat: Spór o rosyjski nacjonalizm	73
<hr/>	

PAMIĘCI ORWELLA

Leszek Kołakowski: Totalitaryzm i zalety kłamstwa	97
Ihor Ševčenko: Eschatologia Orwella	111
Józef Podlaski: Przed i po 1984	124
Leszek Nowak: Społeczeństwo orwellowskie	138

KSIAŻKI

Jan Kott: Mój brat, emigrant	154
---	-----

O autorach	166
------------------	-----

APEL NA RZECZ POLSKICH ROBOTNIKÓW

W 1977 ROKU grupa intelektualistów z wielu krajów* wystąpiła z Apellem na Rzecz Polskich Robotników. Dary nadesłane z całego świata umożliwiły udzielenie skutecznej pomocy finansowej i prawnej wielu ofiarom prześladowań i ich rodzinom.

OBECNIE fala aresztowań i represji jest o ileż większa – i o ileż większe są potrzeby. Jako powiernicy Funduszu ponawiamy apel do osób indywidualnych i stowarzyszeń o udzielenie pomocy prześladowanym działaczom «Solidarności» – robotnikom, intelektualistom, studentom i ich rodzinom.

WPLĄTY należy przesyłać na konto:

APPEAL FOR POLISH WORKERS

Irving Trust Company

Account No. 037648-400

36-38 Cornhill, London EC3V, U.K.

Włodzimierz Brus – Leszek Kołakowski – Czesław Miłosz

* *Daniel Bell (USA), Włodzimierz Brus (Wlk. Brytania), Mary McCarthy (USA), Robert Conquest (Wlk. Brytania), Pierre Daix (Francja), Pierre Emmanuel (Francja), Gustaw Herling-Grudziński (Włochy), Leszek Kołakowski (Wlk. Brytania), Edward Lipiński (Polska), Golo Mann (RFN), Czesław Miłosz (USA), Iris Murdoch (Wlk. Brytania), Denis de Rougemont (Szwajcaria), Laurent Schwartz (Francja), Ignazio Silone (Włochy), Piotr Słonimski (Francja), Alfred Tarski (USA).*

Zbigniew Brzeziński

POLSKA W CZERAJ I DZIŚ

Organizatorzy konferencji zaproponowali mi temat: „Polska wczoraj i dziś” *. Kilka dni temu, zastanawiając się nad tym, jakimi myślami podzielę się dzisiaj z państwem, spytałem sam siebie: co właściwie oznacza ten tytuł? Wczoraj – to znaczy kiedy? I co to jest „dziś”? Stwierdziłem, że temat ten daje mi dużą swobodę wyboru wśród spraw, które mnie interesują i postanowiłem skoncentrować się na dwóch zagadnieniach:

- Czy niedawne wydarzenia w Polsce należy uważać za strategiczną klęskę po taktycznym sukcesie, czy za taktyczną klęskę po strategicznym sukcesie?
- Jakie wnioski polityczne na przyszłość wynikają z tych wydarzeń oraz z bardziej odległej historii Polski?

W trakcie mego wykładu będę mówił o Polsce w sposób świadomie subiektywny; Polska jest bowiem dla mnie całością historyczną i duchową, obdarzoną zbiorową osobowością, pomimo częstych przypadków wewnętrznego rozbicia. Polska, którą mam na myśli, jest krajem obdarzonym swoją narodową osobowością i przez ponad dwieście ostatnich lat walczy o możliwość jej autonomicznego wyrażania.

* Wykład wygłoszony 24 maja 1984 na konferencji w Yale University: „Dzisiejsza Polska w perspektywie historycznej”.

Mówiąc o takiej Polsce, świadom jestem oczywiście tego, że polska kultura polityczna oscyluje między okresami pełnej poświęcenia jedynomyślności a okresami, gdy każdy walczy o swoje interesy; od masowego entuzjazmu do wewnętrznej rezygnacji; od twórczego i pełnego pomysłów zapału do braku wiary w siebie, poczucia niemożności i rozpaczy; oscyluje między konfliktowymi biegunami autorytaryzmu i anarchii równie obecnymi w polskiej tradycji politycznej. Przeciwności te są częścią trwałej historycznej osobowości, która dąży przede wszystkim do uzyskania i zachowania możliwości samowyznaczenia się narodu, identyfikującego się z wartościami zachodnimi, choć geograficznie żyje on na wschodnich rubieżach zachodniej cywilizacji.

Wracając w tym kontekście do pierwszego pytania – czy niedawne wydarzenia w Polsce były taktyczną porażką po strategicznym sukcesie, czy na odwrót – trzeba niestety przede wszystkim przyznać, że porażka – „Solidarności” stanowi w istocie o zupełnie wyjątkowym pogorszeniu się trudnych stosunków między Polską a Rosją. Po raz pierwszy w historii Polacy pokonali innych Polaków, praktycznie w imieniu Rosji. Ona też na tym zyskała bez względu na subiektywne motywy polskich ciemnińców. Pierwszy raz w polskiej historii udało się zinstytucjonalizować zjawisko oznaczane złowieszczym słowem „Targowica”, przy czym zdradę uprzywilejowanych, kosmopolitycznych magnatów zastąpiła zdrada uprzywilejowanych, ksenofobicznych biurokratów.

W starciu między społeczeństwem a państwem to ostatnie – popierane przez ZSRR – okazało się silniejsze niż wielu początkowo sądziło. Bardzo dobrze ujął to Adam Michnik w jednym ze swoich listów z więzienia: „«Solidarność» umiała strajkować, ale nie umiała czekać; umiała atakować frontalnie, ale nie umiała się cofać; miała idee generalne, ale nie miała programu działań etapowych. Była kolosem o stalowych nogach, lecz glinianych dłoniach”. Natomiast „komunistyczny system w Polsce był kolosem na glinianych nogach, lecz ze stalowymi dłońmi”.

Skutkiem konfliktu między państwem i społeczeństwem była stopniowa brutalizacja i wulgaryzacja życia politycznego w Polsce. Pociągnęło to za sobą postępującą rusyfikację stylu uprawiania polityki, a także stopniową pacyfikację kraju, neutraliza-

cję poważnych odłamów społeczeństwa, rozprzestrzenianie się postaw emigracji wewnętrznej i równie tragicznej co nieuniknionej emigracji poza granice kraju. Sytuacja ta została trafnie, jak sądzę, opisana przez jedno z podziemnych pism, które określiło współczesną Polskę jako połączenie „miękkiej tyranii” i „miękkiej kolaboracji”. W miesięczniku *Niepodległość* czytamy: „...obecną władzę nazwalibyśmy miękką tyranią. Otoczona jest ona, niby płynem fizjologicznym, «miękką kolaboracją». Większość społeczeństwa z większą lub mniejszą chęcią kolaboruje z reżimem choćby z racji tego, że pracuje w przedsiębiorstwach państwowych. Zgoda na kolaborację jest uwarunkowana przynajmniej w części niskim stopniem represyjności i choćby werbalnym deklarowaniem przez juntę chęci reform i porozumienia narodowego. Prześledźmy to na przykładzie środowiska naukowców-ekonomistów. Jego część, także ludzie posiadający pewien autorytet, poparła nową ekipę. Głównym powodem tego, poza oczywiście osobistymi profitami, był brak innych alternatyw. Do konspiracji nie mają oni predyspozycji, zresztą populizm «Solidarności» na ogół zniechęcał ludzi posiadających wyższe wykształcenie ekonomiczne (...) Poparcie to zostałoby jednak cofnięte przez część obecnych kolaborantów, gdyby zamiast mówić o reformie i porozumieniu generał zaczął mówić o eksterminacji. Na tym polega mechanizm miękkiej kolaboracji. Poparcie miękkich kolaborantów jest reżimowi niezbędne. Jeśli chce on utrzymywać represje na tym samym poziomie”.

Wszystko to wiąże się ze skomplikowaną grą na wielu poziomach, której istotę dobrze ujmuje nie rozwiązany dotychczas problem zastanawiający wielu Polaków: czy generał Jaruzelski jest janczarem, czy Wallenrodem – a przy tym pamiętać trzeba, że aby być Wallenrodem, wprzód trzeba być janczarem. PoSEPnej tej sytuacji towarzyszy pogłębiający się upadek ekonomiczny i szybko rosnąca integracja ekonomiczna z ZSRR.

Zanim jednak uznamy, że mamy do czynienia ze strategiczną klęską „Solidarności” po początkowym taktycznym sukcesie, musimy zadać sobie inne pytanie: Czy sytuacja byłaby obecnie lepsza, czy gorsza, gdyby „Solidarność” nigdy nie powstała? Katastrofa gospodarcza nie była produktem „Solidarności” i miała by miejsce w każdym wypadku. Nastąpiłaby jednak w spo-

czeństwie bardziej bojaźliwym, zastrasżonym, chyba też bardziej zindoktrynowanym i z pewnością bardziej skorumpowanym.

W takich warunkach prawdziwa, historyczna duchowa Polska znajdowałaby się w jeszcze gorszej niż dziś sytuacji. W obecnym kontekście geopolitycznym, „Solidarność” w każdym razie nie mogła osiągnąć pełnego zwycięstwa duchowego i politycznego. Pełne zwycięstwo polityczne nigdy zresztą nie wchodziło w grę; wymagałoby ono całkowitej zgody ZSRR na przemianę prowadzącą do powstania niezależnego państwa polskiego, czego konsekwencje dla sowieckiego imperium byłyby fatalne.

„Solidarność” odniosła jednak zwycięstwo o zasadniczym znaczeniu, a więc o wymiarach strategicznych, powodując prawdziwe odrodzenie się historycznej i duchowej osobowości Polski. Tej osobowości, którą sowieci i ich polscy agenci – Bierut, Berman, Jaroszewicz i inni – próbowali zgnieść przez ponad czterdzieści lat. Dziś historyczna i duchowa osobowość Polski znów istnieje i wyraża się w masowym podziemnym społeczeństwie. Innymi słowy, Polska znów istnieje – lub raczej, Polska znowu jest Polską, choć pokrytą politurą systemu komunistycznego podporządkowanego ZSRR. Pod tą politurą istnieje dziś naród, który odzyskał wiarę w siebie i poczucie własnej tożsamości.

Co więcej, to podziemne społeczeństwo Polski dzisiejszej jest pierwszym w historii komunistycznego systemu politycznego przypadkiem odrodzenia się autentycznego, samodzielnego społeczeństwa. Istotą komunistycznego panowania jest podporządkowanie społeczeństwa i jego wntegrowanie w system polityczny. Przypadek Polski, odrzucenia dominacji systemu politycznego nad społeczeństwem, jest kamieniem milowym historii. Fakt ten przydaje doświadczeniu „Solidarności” znaczenia prawdziwie historycznego.

Rzecz jasna, konkluzje polityczne tego rozwoju trzeba obwarować chłodną oceną uwarunkowań zewnętrznych i ich stosunku do siły polskiej osobowości narodowej. Schyłek i upadek państwa polskiego, który następował stopniowo w ciągu trzystu lat, jest przede wszystkim wynikiem powstania scentralizowanego imperium na jego wschodnich granicach. Polacy okazali się niezdolni do nadania trwałości wielonarodowemu państwu, Rzeczypospolitej, opartemu o chwiejny, pluralistyczny konsensus.

Rosjanom natomiast udało się stworzyć wielonarodowe, scentralizowane imperium w oparciu o wymuszony konsensus. Schyłek i ostateczne podporządkowanie Polski było organicznie związane ze wzrostem i dominacją państwa Wielkorusów, choć należałoby przyznać, że Polaków nie da się całkowicie rozgrzeszyć z winy za upadek ich kraju.

Przyszłe losy Polski jako państwa, wykraczające poza defensywną afirmację osobowości narodowej, określone będą przez stosunki Wschód-Zachód i przez przemiany wewnętrzne w ZSRR. Moim zdaniem, tak zwany wariant węgierski nie wchodzi w grę w przypadku Polski, gdyż opiera się on zarówno na skutecznym zastraszaniu politycznym, jak i na gratyfikacjach ekonomicznych. Taka kombinacja była możliwa na Węgrzech, ponieważ opozycja została fizycznie zlikwidowana, tysiące ludzi zabito, a kraj zgniotły wojska sowieckie. Biorąc pod uwagę odrodzenie polskiej osobowości rozwiązanie kadarowskie byłoby z gruntu niestabilne i pozbawione perspektyw. Dylematów współczesnej Polski nie jest w stanie rozwiązać dążenie do zastąpienia korzyściami materialnymi emancypacji politycznej.

Faktem jest, że polskie perspektywy pozostają zawężone pod brzemieniem siły sowieckiej i w wyniku stosunkowo małego zainteresowania większością krajów zachodnich. Niemiecka reakcja na grudzień 1981 pokazuje, iż – mimo prawdziwej ofiarności wielu Niemców – szukając porozumienia z ZSRR dla dobra stosunków wewnątrzniemieckich, przywódcy tego kraju skłonni są do otwartego poświęcenia aspiracji Polaków. Kanclerz niemiecki, socjaldemokrata, Helmut Schmidt przyłączył się nawet do publicznego oświadczenia przywódcy Niemiec Wschodnich, iż wprowadzenie dyktatury Jaruzelskiego było „konieczne”. Czołowy niemiecki publicysta Theo Sommer napisał, że należy życzyć generałowi Jaruzelskiemu powodzenia, zaś wydawca jednego z najpopularniejszych niemieckich tygodników, *Der Spiegel*, zaatakował Papieża za rzekome podsycanie oporu Polaków przeciwko uciskowi.

Reakcje Anglii i Francji były oficjalnie bardziej sympatyczne, ale równie mało efektywne i konkretne. Poza tym, istnieje szerszy problem Europy Zachodniej, gdzie pod wpływem zmęczenia historią, istnieje niebezpieczeństwo godzenia się z trwałą przezwagą sowiecką.

Jednakże Stany Zjednoczone i również Europa Zachodnia w głębszym sensie mają wspólne z Polską interesy. Zachód bowiem zainteresowany jest bezpośrednio w powstrzymaniu ekspansji sowieckiej, a więc i w przemianach sowieckiego systemu imperialnego. System ten z natury swojej ma charakter ekspansjonistyczny i aby przetrwać musi być wojowniczy, zmilitaryzowany i zaborczy. Jego dążenie do dominacji nad kontynentem euroazjatyckim koliduje z podstawowymi interesami aliantów zachodnich. Właśnie dlatego ukształtowanie się bardziej pluralistycznego systemu w Związku Radzieckim leży w żywotnym interesie Stanów Zjednoczonych, nawet jeśli przez lata polityka amerykańska dążyła do tego celu w najlepszym razie w sposób niejasny.

Rozumowanie polityczne narzuca nam w tym miejscu pewne istotne rozróżnienie. Polacy w kraju, moim zdaniem, muszą uważać, by nie identyfikować się otwarcie z celami Zachodu. Nie powinni się też angażować w bezpośrednie wysiłki mające na celu przekształcenia wewnętrzne czy podminowanie Związku Radzieckiego. Winni kierować się myślą, iż w każdej bezpośredniej konfrontacji z Rosją Polska przegra, zgnieciona przez nią i ostatecznie porzucona przez Zachód. Polacy żyjący w Polsce powinni raczej realizować swe polityczne aspiracje przez budowanie porozumienia z Rosjanami i przekonywanie ich, że samodzielna Polska niekoniecznie musi być zagrożeniem dla żywotnych interesów rosyjskich.

Zgodnie z tym Polacy w Polsce powinni skoncentrować się na trzech zasadniczych sprawach:

- po pierwsze, na polepszeniu stanu gospodarki kraju, gdyż zdrowa gospodarka oznacza również możliwość dążenia do większej niezależności;
- po drugie, na jednoczesnym — podkreślam, że j e d n o - c z e s n y m — pobudzaniu niezależnej, historyczno-duchowej osobowości, autentycznej świadomości narodowej kraju, który żyje w swojej historii i który odnawia się dzięki swojej prawdziwej historii. Przez ostatnie czterdzieści lat Polacy rządzani byli przez ludzi, którzy próbowali pozbać Polskę historii i dlatego ochrona i przypomnianie historii jest sprawą absolutnie kluczową dla utrzymania ducha politycznego oporu;

— po trzecie, na rozmyciu obcej treści aktualnego systemu politycznego przez przenikanie weń i nasycanie go wartościami narodowymi.

Wszystko to wymaga o wiele pełniejszej doktryny zachowania narodowego, nakierowanej na osiągnięcie narodowej samodzielności niż cokolwiek, co dotychczas formułowano w Polsce. W politycznym odrodzeniu Polski widzę początek dialogu narodowego i mam nadzieję, że jedną z jego konsekwencji będzie ukształtowanie się, dostosowanej do obecnych warunków, myśli politycznej, która stanie się przewodnikiem Polaków w ich nieustającej walce. Myśl taka istniała u początków tego stulecia i odegrała niezwykle istotną rolę w odrodzeniu narodowym i odzyskaniu niepodległości Polski. Dziś znów istnieje potrzeba sformułowania takiej myśli.

Myśl taka musi zawierać nie tylko trzy pragmatyczne elementy, o których mówiłem. Musi także uznać, że symboliczną ofiarą, a nawet okresowe zaburzenia są u źródeł polskiej zdolności przetrwania. Albowiem świadomość narodowa musi co jakiś czas być pobudzana wydarzeniami dramatycznymi, nawet ofiarą. Strategia zwycięstwa w historycznej perspektywie wymaga co jakiś czas konfrontacji i historia uczy, że taka właśnie była niekończąca się dialektyka polskiej walki o wolność i przeżycie.

Historia pomaga też zrozumieć z konieczności niejednoznaczny rolę polskiego Kościoła. Stara się on przede wszystkim trwać jako instytucja, a to oznacza ostrożność polityczną. Ale zachowując niezależność instytucjonalną, Kościół nasycy społeczeństwo wartościami, które są sprzeczne z utrzymywaniem się dominacji rosyjskiej, mają więc charakter obiektywnie rewolucyjny. Nie ulega wątpliwości, że w tym kierunku wywierał wpływ na Polaków wybór Papieża, jego wizyty i kazania.

Inne natomiast funkcje przypadają Polakom na emigracji, oraz tym, którzy z Polską sympatyzują. Nie muszą się oni tak ograniczać, jak Polacy zamieszkali w kraju. Ich zadaniem jest przede wszystkim wspomaganie i podtrzymywanie Polski podziemnej, a to oznacza przemyślaną, znaczną i ciągłą pomoc z zagranicy. Dalszy rozwój społeczeństwa podziemnego leży oczywiście także w interesie Zachodu. Społeczeństwo podziemne potrzebuje środków łączności i druku, aby zapewnić dalsze roz-

powszechnianie słowa pisanego i mówionego. Zachód ma te środki; sądzę, iż ma zarówno interes polityczny, jak i zobowiązania moralne, aby wspomagać tę sprawę.

Po drugie, Polacy za granicą powinni aktywnie działać na rzecz rozbudzania aspiracji narodowych i politycznych Ukraińców, Litwinów, Gruzinów i innych narodów imperium sowieckiego. Są to narody zapomniane, lecz nie zasługują na zapomnienie. Polacy na emigracji mogą przyczynić się do większego zainteresowania nimi w świecie. Za rok mniej więcej obchodzić będziemy 1000-lecie chrztu Ukrainy, 600-lecie chrystianizacji Litwy i 200-lecie wcielenia Gruzji do imperium rosyjskiego. Rocznicze tych wydarzeń o historycznym znaczeniu muszą zostać zauważone, gdyż są one brzemiennie w znaczenie polityczne. Współpraca z narodami nierosyjskimi jest konieczną częścią każdego poważniejszego wysiłku zmierzającego do powstrzymania i przekształcania od wewnątrz imperium sowieckiego.

Ten zaś strategiczny cel wiąże się nieodłącznie ze wzmacnianiem tożsamości politycznej i narodowych aspiracji Polaków. System sowiecki może ulec zmianie i zostać włączony w szersze ramy współpracy międzynarodowej jedynie w wyniku wewnętrznych przemian imperium oraz stopniowego usamodzielniania się Polski. Tak więc i tu łączą się podstawowe interesy Polski i Zachodu jako całości. Jest oczywiste, że Zachód, szczególnie Stany Zjednoczone, są zainteresowane tym, by scentralizowany, zmilitaryzowany, wojowniczy system sowiecki przekształcić w całość bardziej pluralistyczną i bardziej odpowiadającą wymogom międzynarodowego pokoju. Jednocześnie jednak Polacy nie mogą nigdy zapomnieć prawdy prostej lecz ważnej politycznie: Ameryka nie może Polski wyzwolić, może natomiast pomóc Polakom oswojzić Polskę.

Na zakończenie wspomnę, że oswojzenie Polski leży też w interesie samych Rosjan. Chciałbym zakończyć cytatem, który wydaje mi się wyjątkowo trafny – cytatem z Marksa: „Naród, który uciska inny naród, nie może sam być wolny. Siła stosowana w celu uciskania innych obraca się w końcu przeciwko niemu samemu. Dopóki rosyjscy żołnierze pozostają w Polsce, naród rosyjski nie jest w stanie wyswobodzić się ani

politycznie, ani społecznie. Obecny stan rzeczy w Rosji jest jednak taki, że w dniu, w którym Rosja zrezygnuje z Polski, ruch rewolucyjny będzie już tak potężny, że obali istniejący porządek rzeczy. Niepodległość Polski i rewolucja w Rosji warunkują się wzajemnie”.

Tłum. Marek Tabin
Przekład autoryzowany

Zbigniew Brzeziński

KWARTALNIK
POLITYCZNY

krytyka

WYDAWANY POZA CENZURĄ W POLSCE

W nr. 15: POLSKA STANU WOJENNEGO — ANALIZY. OCENY. STANOWISKA: A. Michnik: List z Mokotowa; Co dalej? — Dyskusja; J. Morawski: System władzy: kryzys i reprodukcja struktur; J. Skir: Reforma gospodarcza po roku — kilka refleksji; Prawo stanu wojennego; A. Pergod: Czy tak się stać musiało? (Kryzys realnego socjalizmu w Polsce); I. Krzemiński: KOR w oczach związkowców '80. **HISTORIA NAJNOWSZA — SASIEDZI I MNIEJSZOŚCI:** J. Sobczak, P. Lewicki: Wschód; A. Marek: Z dziejów walki Ukraińców w Rosji o niepodległość; O sytuacji Żydów w ZSRR; A. Steinsbergowa: „Protokoły Mędrców Syjonu”; A. Kainer: Żydzi a komunizm. **ŚWIADECTWA:** W. Kulerski: Marsz; R. Zimand: Gatunek: podróż. **POLEMIKI:** P. Heartman: Kusnierek o Czechosłowacji; A. Piatek: Opozycjochamy. **NAD KSIĄŻKAMI:** M. Janowski: Czy literatura stanu wojennego? **WIDZIANE INACZEJ:** Zey: Uwagi o przeciwniku. **LISTY DO REDAKCJI.**

Wkrótce następujące numery

Dostępne są wszystkie dotychczas wydane numery w cenie:

nr 1-2, 13-14, 15	— £ 4,00, \$ 10,00
nr 3, 4, 9	— £ 2,00; \$ 5,00
nr 5, 6, 7, 8, 12	— £ 3,00; \$ 7,50

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:
«Aneks», 61 Dorset Road, London W5 3HX, England
załączając czeki lub przekazy pieniężne wystawione na Aneks.

inteligencja, „Solidarność”, władza (II)

Ciąg dalszy dyskusji rozpoczętej artykułem A. Waliczkiego
„Myśli o sytuacji politycznej i moralno-psychologicznej w Polsce”
oraz uwagami polemicznymi W. Kuczyńskiego, J. J. Lipskiego i
K. Pomiana, które opublikowaliśmy w Aneksie nr 35.

Jakub Karpiński

WIKTIMOLOGIA POLITYCZNA

Po przegranej łatwo o kontrowersje: czy tylko wróg jest winien, że przegraliśmy, czy też i siebie powinniśmy oskarżyć. Jeśli wróg na nas napadł, to widocznie nie podobaliśmy mu się, coś w nas było, co skłoniło go do napadu, może mieliśmy coś, czego nie powinniśmy mieć. Gdyby napastnik sądził, że wszystko w porządku (w myśl jego rozumienia porządku, rzecz prosta), nie miałby potrzeby napadać. Jeśli chciał coś uzyskać, mogliśmy mu to dać w pokoju i nie zmuszać go do użycia siły, na czym tylko straciliśmy, bo nas poturbowano. Jeśli więc przegraliśmy, winna jest nasza chęć niezależności, hardość i niepotrzebny upór.

To można powiedzieć po każdej przegranej wojnie, a nawet wtedy, gdy wojny nie było, tylko przegrano utarczkę – w polityce lub na ulicy. Nie jest więc dziwne, że podobnie mówiono po 13 grudnia. „Napad bandytów na dom wariatów” – słyszało się wkrótce po akcji wojskowej generała. Dlaczego na dom wariatów? Dlatego, że się stawiali, nie ustąpili kiedy było można, pro-

wokacyjnie coś krzyczeli i nie oddali po dobroci tego, co bandyci mogli wziąć bez awantury. A może przede wszystkim ci, na których napadnięto, zachowywali się jakby nie wiedzieli, że mają do czynienia z bandytami.

Myśmy winni – to jeden pomysł. Jest i drugi: wróg to nie wróg, działał w gruncie rzeczy w naszym interesie. Gdyby na nas nie napadł, to by napadł jeszcze gorszy (choć z tamtym zwykle w zgodzie i w zмовie) i ten gorszy mógłby zamordować. Dlatego napastnik pomniejszy, który działał w zastępstwie, był w gruncie rzeczy wybawcą.

Przy czym ów napastnik napaść musiał. Zmusiła go jego istota lub natura (napastnicza), zmusiły psychospołeczne uwarunkowania, a także interesy. Napastnik nie ma wolnej woli: czynił, co mu natura, uwarunkowania i interesy podyktowały. Tu obowiązuje determinizm. My natomiast wolną wolę mieliśmy, mogliśmy się bronić lub nie, mogliśmy go nie prowokować, odsunąć się, przestać istnieć, oddać co chciał, lub nawet krzyknąć, że ma rację i spróbować, może nasza aprobatą przychylnie go usposobi.

Czy „Solidarność” poszła za daleko? Czy Jaruzelski zbawił Polskę? Te pytania zadawano (zwłaszcza na Zachodzie) bezpośrednio po 13 grudnia. Co można było odpowiedzieć?

Tak, „Solidarność” poszła za daleko, bo zaistniała, zaś ustrój, w którym to się stało, ma zwyczaj odrzucać to, co jest obce jego zwykłemu zasadom działania. I tak zniszczenie „Solidarności” dość długo odkładano.

Nie, „Solidarność” nie poszła za daleko, szła całkiem blisko, stale chciała się godzić i porozumiewać. W „Solidarności” wierzono w dialog z komunizmem, w porozumienie Polaka z Polakiem i nie przygotowano się do tego, co szykowała władza, do stanu wojennego.

Nie, Jaruzelski nie pomógł Polsce. Bardzo pomógł Związkowi Radzieckiemu, bo wydał wojnę „Solidarności” i wykonał siłami miejscowymi zadanie, które, jeśli byłoby wykonane wyłącznie siłami radzieckimi, spowodowałoby dla władz radzieckich większe koszty.

Tak, Jaruzelski pomógł „Solidarności”, bo pomógł jej zrozumieć funkcjonowanie komunizmu i skłonił opozycję w Polsce do przyjęcia form bardziej ukrytych i przeto lepiej dostosowanych do warunków, do ustroju niszczącego to, co niepodporządkowane.

Kiedy w życiu społecznym komunizm – jako ustrój, a więc system organizacji – napotyka coś zewnętrznego, próbuje to przyswoić i podporządkować, zaś kiedy to się nie udaje – niszczy. W Polsce podporządkowano PPS, zniszczono PSL. Mikołajczykowi także zarzucano, że poszedł „za daleko”, bo PSL nie pozwoliło się oswoić i do wyborów w 1947 roku nie szło w „bloku stronnictw demokratycznych”. To dla ludzi i organizacji w komunizmie częsty wybór: utrata tożsamości i podporządkowanie się lub zniszczenie. Może też nastąpić najpierw jedno (podporządkowanie się), następnie zaś drugie (zniszczenie). Tak w znacznej mierze było dotychczas z oficjalnym rosyjskim Kościołem prawosławnym. W Polsce w latach pięćdziesiątych podobny los groził Kościołowi katolickiemu.

Toczą się spory o to, czy komunizm jest reformowalny. Odpowiedź zależy od rozumienia słowa „reformowalność”. Komunizm na pewno jest reformowalny w tym sensie, że się zmienia: jest raz taki, raz inny (co nie jest sprzeczne z występowaniem względnie stałych właściwości). Czy kształt komunizmu zależy od zwykłych ludzi? Tak, zależy od ich zgody, współpracy, bojkotu z ich strony, sprzeciwu, oporu lub niezależnego działania. Ilustracją mogą być losy Kościoła katolickiego, zależne co najmniej w pewnym stopniu od tego, czy wierni gotowi są aktywnie odpowiedzieć na ewentualne prześladowania. Zaś możliwości działania Kościoła sprawiają, że komunizm w Polsce jest obecnie czym innym niż bywał i czym jest w innych krajach.

Komu ustrój się nie podoba, czasem chciałby komunizm odrzucić i stworzyć coś od nowa, ale to trudne, więc ludzie chcą życie w tym ustroju poprawić (lub co najmniej go nie pogorszyć) i tworzą (albo chronią i podtrzymują) to, co nie jest podporządkowane zwyczajnym zasadom działania, co jest ośrodkiem względnej wolności (takie ośrodki, dowodzące niepełności ustroju, istnieją, choć są ograniczane).

Komunizm polega między innymi na tym, że ludzie w strukturach władzy i instytucjach ograniczają innym możliwości działania. Ci inni w różnym stopniu opierają się ograniczeniom i podporządkowaniu. Są różne rodzaje popierania władzy, angażowania się w to, co władza zaleca i różne rodzaje oporu. Jednak powstrzymujących się od działań opozycyjnych (które bywają

ryzykowne) jest zwykle więcej niż uczestników. Trudno martwić się o zbytnią powszechność oporu, raczej o to, by znaleźć chętnych do przechowania papieru na wydawnictwa, do udostępnienia mieszkania na spotkanie lub kilkudniowe drukowanie. Chętnych nie było w nadmiarze przed powstaniem „Solidarności”, zaś w okresie jej jawnego działania za udział w podobnych akcjach w zasadzie nie prześladowano, ryzyko było mniejsze, co sprzyjało bardziej powszechnemu uczestnictwu. Stan wojenny przyniósł zwiększenie zagrożeń karnych, ale w porównaniu z końcem lat siedemdziesiątych – rozszerzenie zakresu oporu, zwiększenie jego możliwości i ulepszenie organizacji.

Póki istnieją ośrodki względnej wolności (mniejszych ograniczeń), istnieją też szanse działań antykomunistycznych nie afiszujących się opozycyjnością. W dziedzinach bliskich dyskusantom z *Aneksu*, w pracy intelektualnej, można nie deklarować opozycyjności, a mimo to działać opozycyjnie – w treści, choć nie w formie. Sprawa zależy od względnej tolerancji władz, ale do tolerancji skłania władze nienatychmiastowe i niełatwe podporządkowywanie się i gotowość do oporu (podobnie jak w przypadku Kościoła katolickiego). Cenzura i nacisk ideologiczny (gdy nie są bez granic, a nie są) powodują, że opozycyjność w pracy intelektualnej może być po prostu dobrą robotą, polegać na stawianiu i rozwiązywaniu zadań umysłowych – bez ideologicznych naleciałości. To już jest oporem i może nawet być kosztowne, bo obecność ideologicznych dodatków ułatwia na ogół publikację tekstu i karierę osoby piszącej. Ideologiczną poprawność początkowo osiągnano przez oskarżanie niemarksistów o to, komu i czemu służą (obozowi imperializmu, wywiadowi, sabotażowi i dywersji). Kiedyś *Żołnierzem Wolności* była *Myśl Filozoficzna*. Później wystarczyło uzasadniające wtrącanie cytatów z „klasyków marksizmu”, stosowanie prawomyślnego słownictwa (w rodzaju przymiotnika „burżuazyjny” lub słowa „idealizm”) i dawanie do zrozumienia, że poważnie traktuje się marksistowskie pojęcia, powiedzenia lub odkrycia, które trzeba i warto „rozwiąć” (dialektykę, materializm historyczny, „teorie” w ekonomii).

Kto marksistowskie ozdoby umieszczał w swoich tekstach, zyskiwał łatwość publikacji, lecz na ogół nie przysparzał swoim tekstom czystości umysłowej. Marksści czasem mogliby się bronić,

że w obrębie doktryny coś ulepszają, a nawet niekiedy przekazują wiedzę pozadoktrynalną, zaś każdy widzi, że marksizm nie jest tu najważniejszy. Jednak to byłoby stanowisko cyniczne, rzadko je głoszono. Raczej wyznawcy marksizmu deklarowali wiarę i stwierdzali, że marksizm jest horyzontem intelektualnym i praktycznym naszej epoki. Wyznawcy marksizmu byli zaangażowani w wychowanie i nauczanie, wykładali filozofię i ekonomię polityczną, a po 1956 roku – socjologię, mieszały rzeczy rozsądne z ozdobami ideologicznymi, pogneźbiali myślicieli „burżuazyjnych” lub „niemarksistowskich”. niewłaściwe punkty widzenia, niemarksistowskie lub eklektyczne „paradygmaty” (w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy to słowo było modne). Wolność nauki i wypowiedzi w sprawach społecznych była ograniczona, pewne słownictwo, niektóre rodzaje wyjaśnień, pewne sposoby pisania były z góry uprzywilejowane przez funkcjonariuszy partyjno-państwowej nauki, wydawnictw, środków masowego przekazu. Miało to znaczenie w szkolnictwie, zwłaszcza w szkolnictwie wyższym. Wyznaniowe podejście jest utrwalone w podręcznikach i lekturach obowiązujących studentów. Pisano nowe podręczniki i nowe teksty pojawiały się na listach lektur, gdy autorzy poprzednich stawali się nieprawomyślni. Ale marksistowskość podręczników nie ulegała zasadniczym zmianom. Opanowanie przez studentów marksizującego języka i doktryny było oceniane i tworzyło wrażenie, że wchodzi tu w grę wiedza uniwersytecka.

Dobłą robotę intelektualną trzeba widzieć na tle tego wyznaniowego podejścia. Ten kontrast jest jednym z wątków sporu między zwolennikami większego i mniejszego angażowania się w działania opozycyjne. Dobra robota w naukach społecznych i w humanistyce jest cenna, a możliwości dobrej pracy zwykle rosły, gdy jej wykonawca poza tym nie narażał się zbytnio, nie podpisywał listów protestacyjnych, nie publikował w wydawnictwach emigracyjnych, nie brał udziału w poczynaniach, które rzecznicy władzy uważali za opozycyjne (kryteria „opozycyjności” ulegały zmianom). Było tu miejsce na różne strategie. Można uznawać słusność podziału pracy – także w sprawach protestów moralnych. Gdyby protestować przeciw wszystkiemu, co niewłaściwe, trzeba by nieustannie zdobywać wiedzę o okolicznościach niesłusznych czynów i 24 godziny na dobę nie ustawać w protes-

tach. Nie jesteśmy tak gorliwi i popełniamy nieskończoną liczbę zaniechań w doniosłych sprawach. Zwykle przyjmuje się pogląd, że odpowiedzialność nie rozciąga się jednakowo na całą ludzkość, że jesteśmy odpowiedzialni w proporcji do bliskości psychicznej i zobowiązań. Można być krytykowanym za zaniebdania. Ale od krytykowania za to, że ktoś czegoś nie zrobił, że milczał, ważniejsza może być krytyka dokonań tego, co się robiło.

Zwolennicy dobrej roboty są przeciągani na dwie strony: władze chciałyby ich ideologicznie zdeprawować, skłonić do marksistowsko-socjalistycznych deklaracji, do stwierdzenia, że rzeczywistość („socjalistyczna”) jest rozumna, chciano by też ich zapisać do różnych państwowotwórczych organizacji. Opozycja, kiedyś prawie nieistniejąca, także niekiedy chciała ludzi dobrej roboty ujednoznaczyć. Stwarzano sytuacje, w których nie było przyjemnie nie przyłączyć się do działań uznanych za opozycyjne, takich jak podpisywanie protestów. Dla ludzi dobrej roboty istotniejsze jednak było co napiszą, niż co podpiszą i jeśli „dawali nazwisko”, to swoim tekstom. Opozycjoniści niekiedy wielkodusznie rozgrzeszali nieprotestujących, mając nadzieję przekonać ich później, czasem zaś traktowali ich surowo, lekceważąc różnice między wstrzymywaniem się od protestu a popieraniem systemu komunistycznego w słowach i czynkach. To zrażało zwolenników dobrej roboty. Nie mówili wtedy, że cenią podział pracy i nie muszą przyłączać się do wszystkiego, ale dorabiali do swego nieprzyłączenia się uzasadnienia na wyrost. Stwierdzali nie tylko, że mają rację, ale że nie mają racji inni. Jednak zwolennik pracy organicznej może działać słusznie z własnych powodów, nie zaś dlatego, że działa niesłusznie opozycjonista, który wybrał inną strategię.

Uzasadnienia działania lub niedziałania składają się na zespoły poglądów, czasem dość szumnie nazywane „teoriami”. Nie każdy chce po prostu coś zrobić, często chce działanie uzasadnić, nadać mu sens w kontekście swych przekonań o rzeczywistości i słuszności. Można uzasadniać dobrą robotę lub współpracę z władzą. Andrzej Walicki krytykuje niektóre uzasadnienia działań opozycji: ideę „zmian ewolucyjnych, ale konfrontacyjnie wymuszanych”, ideę „samorządnej Rzeczypospolitej” i „samoorganizującej się rewolucji”. Spróbujmy te idee prosto przedstawić.

muszanych", ideę „samorządnej Rzeczypospolitej” i „samoograniczającej się rewolucji”. Spróbujmy te idee prosto przedstawić.

Mówią one: 1) że są możliwe i byłyby przydatne zmiany w nowym ustroju (nazywane „ewolucją” lub „rewolucją”), 2) że zmiany te nie powinny iść „za daleko” („samoograniczanie się”), 3) że zmiany nie przyjdą same i dla ich uzyskania trzeba coś robić, wywierać nacisk („konfrontacyjne wymuszanie”), i 4) że zmiany mogą i nawet powinny polegać na tym, by to, co można, kształtować niezależnie od władz, a zależnie od obywateli (zwiększać obszar samorządności).

Argumentacja na rzecz możliwości zmian opiera się na doświadczeniu: zmiany zachodzą, więc są możliwe. Podobnie, na doświadczenie można się powołać, uzasadniając rolę nacisku w wywoływaniu zmian zwiększających wolność i niezależność. Gdy nacisk społeczny rósł (gdy były strajki i demonstracje, gdy ludzie umieli się porozumieć i zorganizować), rządzący godzili się na zmiany; gdy nacisk stał, władze wycofywały ustępstwa.

Przekonanie, że trzeba się ograniczać – oparte było na doświadczeniach węgierskich z roku 1956 i czechosłowackich z roku 1968. Były to zmiany w stronę wolności i demokracji, zatrzymane przez interwencję radziecką.

Także możliwość działań niezależnych można uzasadnić podając przykłady. Publikacje niezależne, niezależna oświata, niezależne i samorządne związki zawodowe są w ustroju komunistycznym możliwe, ponieważ zaistniały (i zresztą mimo prześladowań istnieją nadal). W znacznej mierze niezależny od państwa jest Kościół katolicki wraz ze swym otoczeniem społecznym (takim jak prasa i organizacje katolickie). Samorządności, mimo groźnych usiłowań, nie wyrugowano jeszcze z życia akademickiego. Czy to aż samorządna Rzeczypospolita? Istnieją samorządne i niezależne od komunistycznego państwa części Rzeczypospolitej.

Idea „samorządnej Rzeczypospolitej” i praktyka jej tworzenia była propozycją trudnej pracy. Nie było to podburzanie nastrojów, zresztą nie jest tak łatwo nastroje podburzać. Podburzyć nastroje zdołali w czerwcu 1956 roku urzędnicy decydujący o polityce plac w ówczesnych zakładach imienia Stalina w Poznaniu, zdołał to uczynić Gomułka w grudniu 1970 roku i Gierek w

czerwcu 1976 roku. Nie trzeba przeceniać intelektualistów, ich „teorie”, apele i programy nielatwo znajdują posłuch. Oddziałuje przykład i praca. Trzeba dość żmudnej pracy, by zorganizować niezależną od władz agencję informacyjną, biuro interwencyjne, czasopismo lub wydawnictwo. Propozycja współodpowiedzialności za gospodarkę w przedsiębiorstwie zachęcała do studiowania technologii, cen i rynku. To nie jest idea, która mogłaby zmobilizować wielkie zbiorowości, a tym bardziej wzbudzać niepokoje (chyba że wśród sprawujących władzę, których niepokoją takie pomysły, jak niezależne związki zawodowe lub samorządy).

W ustroju panującym w Polsce znaczną rolę odgrywa aparat przemocy. Jest on ogólnie nadzorowany ze Związku Radzieckiego, zaś w szczegółach przez władze miejscowe. Na aparat przemocy i na Związek Radziecki trudno z Polski wpływać bezpośrednio. Pozostawałoby wywieranie wpływu na władze miejscowe. W ustrojach demokratycznych robi się to w wyborach, istnieje też opinia publiczna i grupy nacisku. W PRL opinia publiczna i grupy nacisku dopiero powstają – między innymi dzięki opozycji i „Solidarności”. „Grupą nacisku” była „Solidarność”, nacisk na władze wywiera Kościół, w znacznie skromniejszym zakresie czynił to KOR. By coś uzyskać – z *własnego prawa brano nadania*. Prócz wywierania nacisku, po prostu budowano porozumienia, skupiano się do wspólnych działań, tworzone zaczęły instytucje. Zmieniały się obyczaje społeczne, odzyskiwano samodzielną – trzeba było przewycięzać lęk, opierać się przeciwdziałaniu policji i dbać, by to, co zostało stworzone, przetrwało.

Jeśli się chce wywierać wpływ, dobrze mieć siłę (jest nią przykład odmowa współpracy – strajk) lub trzeba stwarzać fakty dokonane, działać niezależnie (niezależny jest Kościół, w znacznej mierze rolnictwo, istnieje niezależna prasa i wydawnictwa poza cenzurą, które zdążyły opublikować wiele prac istotnych dla kultury narodowej).

Jak oddziaływać na rządzących? Czy wpływać na nich w całości, czy przede wszystkim na rozsądniejszy odłam w partii (jeśli takiego można się dopatrzeć)? Partie komunistyczne są tak zorganizowane, że głos władz partyjnych jest tam zwykle ważniejszy

niż głos jakichkolwiek wewnętrznych ugrupowań (zwłaszcza gdyby to miały być ugrupowania rozsądne). Dobrze jest mieć sojuszników po stronie władzy, ale jeśli mają coś uzyskać, to wtedy oni będą musieli wywierać nacisk na władze partyjno-państwowe, zaś dotychczasowa historia partii komunistycznych raczej świadczy o tym, że w ewentualnym sporze, czy wybrać linię twardszą, czy miększą, czy już uderzyć, czy później, zwolennicy „twardej linii” są tam z góry w lepszej sytuacji i jest mniejsza szansa, że będą posądzeni o „antypartyjność”. Dlatego członkom partii trudniej jest zwykle wywierać skuteczny nacisk niż bezpartyjnym. Trudniej jest też członkom partii stwarzać fakty dokonane współtworzące niezależne życie społeczne. Oczywiście, gdyby podjęli takie próby, nic w tym by nie było złego. Próbą były struktury poziome, próbowano podczas wyborów na IX zjazd PZPR. Ale o niepowodzenie tych usiłowań nie ma powodu oskarżać „Solidarności”. Troszczyć się o życie wewnątrz partii powinni jej członkowie.

Jak była o tym mowa, trudno odrzucić stwierdzenia o możliwościach działania opozycji wchodzące w skład przytoczonych poprzednio „teorii”. By wypowiedzieć się przeciw możliwościom działania opozycji (lub przeciw sensowności jej działania), trzeba co najmniej niektóre stwierdzenia zaostrzyć. Krytyka będzie wtedy brzmiała: głosiście, że zbyt dużo jest możliwe, lub: chcieliście zbyt dużo.

Przedstawione stwierdzenia o działaniu opozycji zawierają jednak zabezpieczenie. Jest to zastrzeżenie (trzeba przyznać, że dość ogólnikowe) mówiące, że zmiany nie powinny iść „za daleko”, że rewolucja powinna się „samoograniczać”. Z tym zresztą trudno polemizować, bo trudno znaleźć człowieka, który powie, że zmiany powinny iść „za daleko”. Każdy będzie raczej mówił, że powinny iść do właściwego punktu. Tylko że ten punkt będzie ustawiony w rozmaitych miejscach. Dlatego też pozostaje rozważanie spraw bardziej konkretnych niż „teorie”, zastanawianie się, kiedy to i w czym „Solidarność” poszła „za daleko”. Wtedy jednak nie rozpatruje się „teorii”, lecz praktykę.

Można zastanawiać się, czy „Solidarność” przesadziła ze „stylem konfrontacyjnym”. Czy nie powinna ukrywać, co sądzi o przeciwniku, zachowywać się przyjemniej dla władz, nawet gdy

te zachowywały się niezbyt przyzwoicie. Krytykuje się „Solidarność” za niedostatek ugodowości i dyplomacji. Tymczasem dyplomacji było sporo. W dyplomację uwierzyła „Solidarność”, ale nie władze. Stan wojenny pokazał, że „Solidarność” nie oceniła należycie siły i intencji swego partnera: strony partyjno-wojsko-wo-policyjno-rządowej. Może powinno się było uspokajać aparatczyków i policjantów, ale można się domyślać, że stan wojenny został przygotowany przez bardzo nieliczny zespół wojsko-wo-policyjny, wykonawcy dowiedzieli się o zamierzeniach w ostatniej chwili. „Solidarność”, chcąc uspokoić generałów, uspokoiła siebie, podczas gdy chyba dobrze byloby przygotować kryjówki, za bardzo się nie odsłaniać, w odpowiednim momencie móc odskoczyć i zachować trochę więcej możliwości na później.

Można znaleźć dowody, że idea wczesnego zniszczenia nowych związków (a następnie „Solidarności”) nie była obca policji, partii i prokuraturze (a są to instytucje podporządkowane najwyższym władzom). Reprezentanci władz składali oświadczenia o dobrej woli, które jednak nie prowadziły do ustępstw. Ustępowano po strajkach lub gdy strajki groziły (po strajkach zdecydowano się tolerować nowe związki, zarejestrowano związek rolników, obiecano przeznaczyć budynki milicyjne lub partyjno-rządowe na cele społeczne).

Podczas konfliktu związanego z aresztowaniem Jana Naróżniaka „Solidarność” w Warszawie zrezygnowała z intensywniejszej walki o sprawy praworządności. W rozmaitych sprawach spornych: dostępu do środków masowego przekazu, żywności, programów szkolnych, gdy przygotowywano ustawy o cenzurze, o przedsiębiorstwie, samorządzie i związkach zawodowych, „Solidarność” chciała przede wszystkim rozmawiać. Spotymano się, przedstawiciele rządu zwlekali z przedstawieniem swego stanowiska, przeciągali rozmowy, uzgodnione rozwiązania zmieniali w ostatecznej wersji ustaw. Patrząc z późniejszej perspektywy, można zauważyć, że zachowywali się, jakby mieli dobre atuty w zanadrzu.

To nie były dwie strony o równej sile i podobnych sposobach działania (wbrew zdarzającym się zestawieniom „Solidarności” i władz jako partnerów w podobnej sytuacji). Po jednej stronie dbano o niestosowanie przemocy (warto porównać pokojowość „Solidarności” ze zdarzającą się na Zachodzie agresywnością

demonstracji lub pikiet strajkowych). po drugiej stronie była organizacja państwowo-partyjna, dysponująca wszystkim: od policji, czołgów i rakiet – przez towary i przedsiębiorstwa – po sądy, gazety i szkoły. Ta druga strona miała możliwości użycia siły i nie obawiała się z nich skorzystać.

Słabszego poturbowano i sporo stracił. „Solidarność” nie ma już teleksów, telefonów ani budynków biurowych, nie może podjąć swoich pieniędzy z Narodowego Banku Polskiego, delegacje „Solidarności” nie obradują z delegacjami rządowymi. Ustawy potrzebne rządzącym są uchwalane szybko, bez brania pod uwagę kontrprojektów społecznych.

Jednym z działów kryminologii jest wiktimologia, nauka o ofiarach przestępstw, która przyczyn przestępstwa poszukuje we właściwościach obiektu ataku. W pewnym sensie można winą i odpowiedzialnością obciążyć ofiarę przestępstwa – ponieważ miała właściwości przyciągające i ponieważ nie umiała się zabezpieczyć. Zdarza się lekkomyślność – i tę można krytykować. „Solidarność” prowokowała władze cały czas – swym niepodporządkowaniem. Krytyk „Solidarności” będzie skłonny uznać, że, jakkolwiek cenna i twórcza, „Solidarność” – ze względu na swe otoczenie – zaistniała lekkomyślnie (jeżeli miała być niezależna). Jej zwolennik dostrzeże w tej lekkomyślności zdecydowanie, wolę i sens. Stwierdzi, że instytucji podporządkowanych jest w ustroju komunistycznym dość. Jeśli życie w tym ustroju miało choćby się nie pogarszać, to potrzebni są niepodporządkowani ludzie, ich niepodporządkowane działania i organizacje.

Później może toczyć się spór o możliwości i można zestawiać działania antykomunistyczne ze strony „Solidarności” – na ogół są to poczynania możliwe, zamierzone lub przypisane – z rzeczywistymi antyspołecznymi działaniami władz. „Solidarność” mogła, chciała lub prawdopodobnie chciała zrobić coś nie po myśli komunistów, przeto ją zaatakowano (ale nie w sposób możliwy lub przypuszczalny, lecz naprawdę).

Rzeczywistość społeczna często nie jest jednoznaczna, czasem przypomina chmury lub poddające się różnym interpretacjom plamy atramentowe pokazywane w testach psychologicznych. Jeden widzi łasiczkę, drugi wielbłąda. Wybierając fakty, dopisując zdarzenia możliwe, choć nie widziane i zdarzenia możliwe,

lecz niezrealizowane, zakładając złe lub dobre intencje, można dojść do wniosków rozbieżnych. Gdy się jednak nie ma mieszkania lub nie ma co jeść, gdy trafia się do celi więziennej, dwuznaczności nieco się rozpraszają. Właściwości ustroju komunistycznego są wielu osobom dane w doświadczeniu w sposób dość bezpośredni, tym dokładniej, im bardziej te właściwości stawiają opór. Interpretacje mogą doświadczeniu zaprzeczać, lecz wtedy sięgają ku zdarzeniom możliwym. Policja, czołgi i kraty są trójwymiarowe i są to raczej wyraźne elementy rzeczywistości społecznej. Chociaż i je można zwykle umieścić w bardziej podniosłym i uszlachetniającym kontekście.

Jakub Karpiński

NAKŁADEM «ANEKSU»

Tadeusz Mazowiecki INTERNOWANIE

DZIENNIK wybitnego intelektualisty katolickiego, działacza ruchu ZNAK, redaktora naczelnego *Więzi*, a następnie *Tygodnika Solidarność*, czołowego doradcy kierownictwa „Solidarność”.

INTERNOWANIE jest nie tyle fotografią zdarzeń – chociaż miejscami daje ich bardzo wyrazisty rysunek – ile raczej zapisem myśli i odczuć człowieka z drugiej strony muru czy drutów.

Str. 67

Cena: £ 2,50; US\$ 6,00

Waldemar Kuczyński OBÓZ

INTERNOWANIE oczyma uczestnika demokratycznej opozycji, eksperta MKS-u w Gdańsku w sierpniu 1980 r. i zastępcy redaktora naczelnego *Tygodnika Solidarność*.

Str. 120

Cena: £ 2,75; US\$ 6,50

Stefan Kisielewski

Drogi Aneksie!

Przeczytałem zamieszczoną na Waszych łamach dyskusję między Andrzejem Walickim a trzema jego oponentami (Kuczyński, Lipski, Pomian), przeczytałem i ogromnie się podnieciłem. Myślę, że tego rodzaju dyskusja na temat „Solidarności” i w ogóle opozycji lat 1976-1982 jest niezwykle ważna, cenna, potrzebna. Każdy, kto żyje naszą współczesną polityką (a któż w Polsce nią nie żyje?), będzie podniecony i zaangażowany w tę pasjonującą dysputę, zwłaszcza że brakowało nam ogromnie elementów oceny obiektywnej i odważnie krytycznej.

Zaproszony przez Was do udziału w dyskusji nie będę ukrywał, że bliższe mi są poglądy oraz sposób ujęcia zademonstrowane przez p. Walickiego niż wypowiedzi jego oponentów (co zresztą z łatwością zauważy każdy, kto czytał mój artykuł „Wstęp do programu opozycji”, zamieszczony w numerze 1-2/84 paryskiej Kultury, parokrotnie powielany w kraju). Pan Walicki jest mi nie tylko bliższy swym ładem myślowym, lecz i niejako swą „formacją historyczną”, swymi doświadczeniami. Brałem już w życiu udział w kilku powstańczych zrywach młodzieży zakończonych klęską i nie bardzo mnie bawi stwierdzenie na nowo, że każde pokolenie musi popełniać te same błędy, bowiem błędy są niezmiennie, tak jak prawa biologii. Poza tym, podobnie jak i

pana Walickiego, interesuje mnie forma dzisiejszej polskiej państwowości. Niesuwerenna i obdarzona absurdalnym ustrojem łączącym gopodarkę z polityką jest jednak to państwo ciekawa historycznie, terytorialnie i demograficznie, jakby rozmyślna antyteza Polski Jagiellońskiej, której wielonarodowa federacyjność srodze się na nas po wiekach zemściła.

Tak więc Walicki bliższy mi jest swym myślowym ładem, ma koncepcję, logikę, argumenty, a także krytyczną odwagę, której bardziej nam dzisiaj w ocenie minionych paru lat potrzeba niż hagiografii. Mimo to wszystko jednak nie sądzę, aby Walicki swoich dyskutantów mógł przekonać, nie sądzę również, aby między obu stronami toczyła się rzeczywista polemika. W istocie oponenti nie odpowiadają na argumenty Walickiego, lecz monologują, przedstawiając swoją sytuację psychologiczną i uczuciową. Nie dyskusja to, tylko konfrontacja postaw.

Dlaczego tak się dzieje? Po prostu myślę, że odmienność sytuacji osobisto-psychologicznej i wykonywanego *métier* życiowego odgrywa tu zasadniczą rolę. Walicki to naukowiec-racjonalista, chcący oceniać zakończoną fazę wydarzeń według ich konkretnych rezultatów. Oponenti jego natomiast zaangażowani są w grę polityczną, która bynajmniej się dla nich nie skończyła. Samo słowo „gra” zawiera w sobie przeróżne implikacje, dopuszcza ono ryzyko, błędy, porażki, działania „na próbę”, traktuje mobilizację uczuć jako środek walki, nigdy nie uważa sprawy za zakończoną.

Kto ma tu rację? Każdy swoją. Podzielałam krytyczną ocenę działań opozycji przeprowadzoną przez Walickiego, lecz jego nadzieje przyszłościowe, owe perspektywy organicznego ulepszania roztaczane mimochodem mniej są przekonujące, nie dysponuje on niestety tutaj większym arsenalem „pewników” niż tak zwani romantycy. Osobiście, jako irracjonalista i „manichejczyk”, dopuszczam chaos i demoniczną przypadkowość historii. Rzadko kiedy, zwłaszcza w krajach Wschodu (a do nich należymy — tak czy owak), rozwija się ona logicznie, racjonalnie, rzadko kiedy kierowali nią naukowcy i badacze, a bardzo często prorocy, także narwańcy i demagogowie. Gra polityczna, jak wszelka gra, dopuszczać musi wypadek, że wygra „fuk na torze” czy wyjdzie „czarny Piotruś”. U nas popularny był w tym względzie przykład

Piłsudskiego, zresztą demoralizujący, bo ogromnie nietypowy: na jego sukces złożyła się klęska trzech cesarzy, co przecież w historii co dzień (ani co wiek) się nie zdarza. Ale jednak każdy może wierzyć, że mu w ruletce wyjdzie numer...

Tutaj więc Walicki jest bezradny, w jego logice historyku nie dostaje mu irracjonalizmu. A przecież ważne to, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z inteligencją, w dodatku polską. Zawsze na przykład zdumiewało mnie, że w epoce najstraszniejszego stalinowskiego terroru nastroje opozycyjne wśród młodzieży i „inteligencji twórczej” mniej były inienywnne niż w okresach późniejszych. Gdy w roku 1956 grupa literatów pisma Europa z Andrzejewskim na czele wystąpiła z partii, Gomułka powiedział rozgoryczony: „Za Stalina mogli być w Partii, a teraz nie mogą!”. Najwidoczniej jednak w opozycji obowiązuje dewiza znana z futbolu: tak się gra, jak przeciwnik pozwala...

I jeszcze jednej zasady nie chce przyjąć racjonalista Walicki: że „lud ma zawsze rację, także wtedy, gdy nie ma racji”. Ale na tym to przewalił się nawet tak inteligentny i w dobre chęci wyposażony człowiek jak margrabia Wielopolski!

**

Drogi Aneksie! Wszystko, co powyżej powiedziałem, było marginesowe i szkiecowe. Z kolei jednak chciałbym szerzej nawiązać do pewnej tezy Walickeigo, która mi jest najbliższa; uważam ją za bezwarunkowo słuszną i ważną. Mówi ona, że „Solidarność” wcale nie była opozycją w stosunku do „realnego socjalizmu”, bo utrzymywała się w jego kategoriach państwowo-politycznego wolontaryzmu w gospodarce, nie chciała zanegować centralnej ekonomiki i socjalistycznego totalitaryzmu, chciała tylko w jego ramach otrzymać więcej (dóbr oraz wpływu). Brak nowego programu gospodarczo-strukturalnego zemścił się wręcz historycznie: o ile w roku 1956 chłopci rzucili się do likwidacji kotchozów i przez to zmienili jedną z podstaw ustroju, o tyle w roku 1980 robotnicy nie bardzo wiedzieli, do czego się rzucić i poprzestali na postulatach bytowych oraz ogólnikowo demokratycznych czy patriotycznych. Nie przekazali też po fakcie jakiegoś ogólnego, uniwersalnego przesłania, które oświecić by mogło świat zachod-

ni co do „realnego socjalizmu” czy socjalizmu w ogóle. W dodatku nawet dziś nie poruszają tego tematu, nie protestują, gdy zręczni czerwoni propagandziści przypisują im tylko jakąś bałamutną chęć „naprawy socjalizmu”.

Otóż to, tu widzę istotę rzeczy, tu jestem całkiem zgodny z Wałickim, wyjaskrawiłbym jeszcze jego myśl. Zresztą nieraz to robiłem, także w Aneksie w artykule „Czy teoria jest niewinna?” (nr 29-30). Pisałem tam, że „realny socjalizm”, czyli marksizm-leninizm to jedyny marksistowski socjalizm, który wytrzymał próbę historii, a Stalin, straszliwy fanatyk „społeczeństwa bezklasowego” to z całą pewnością kontynuator i klasyk marksizmu. Zaś centralistyczne totalne upaństwowienie produkcji to nie tylko sowjetyzacja, lecz i socjalizacja, i marksizacja.

Z tego wielokrotnie wyprowadzałem wniosek, że pójść skutecznie przeciwko totalnemu socjalizmowi (czy realnemu marksizmowi) nie może grupa społeczna przez tenże socjalizm ukształtowana i w jego kategoriach pojęciowych tkwiąca. Musiałaby wtedy pójść przeciw samej sobie, świadomie poderwać system gospodarczy, z którego (źle czy dobrze) żyje licząc, że po okresie koniecznego, burzącego chaosu powstaną okoliczności umożliwiające budowę czegoś innego, „społeczeństwa wolnych producentów”. Lecz takich okoliczności nie było, stąd i przewrotu nie było... Skorośmy nadal pod władzą realnych marksistów, to i nastąpiła „normalizacja”.

W tej wewnętrznej sprzeczności, podwójności duchowej ruchu „Solidarności” widziałem od początku zarodek jej porażki (napisałem o tym nawet w Tygodniku Solidarność, a także wielokrotnie w krakowskim Tygodniku Powszechnym, oraz w paryskiej Kulturze). Obecnie powróciłem do tego tematu w artykule „O fałszywych słowach i fałszywych nadziejach”, który Ci, drogi Aneksie, przesyłam. Artykuł ten przeznaczony był w zasadzie dla cudzoziemców, chciałem im wyjaśnić, jak widzę genezę wewnętrzного rozdwojenia „Solidarności”, źródło jej ideowej słabości. Istotą lewicowego totalitaryzmu, istotą ustrojowego zniewolenia jest u nas złączenie władzy politycznej z gospodarczą. Ruch „Solidarności” natomiast, domagając się swobód politycznych, nie ruszył sprawy zindywidualizowania, oswobodzenia produkcji — to nie leżało, nie mogło leżeć, w jego obyczajach.

Chciałem tę sprawę wyjaśnić zdezorietowanym cudzoziemcom i napisałem mój artykuł jeszcze przed zapoznaniem się z konfrontacją: Walicki — grupa Trzech. Nie mogąc obecnie, w krótkim czasie, włączyć się w tę arcyciekawą debatę, przesyłam Wam, drogi Aneksie, ów mój artykuł. Może się przyda, choćby jako przyczynek do bystrych i zapładniających rozważań Andrzeja Walickiego.

Z serdecznym pozdrowieniem

Warszawa, październik 1984

Stefan Kisielewski

**

O FAŁSZYWYCH SŁOWACH I FAŁSZYWYCH NADZIEJACH

Z naszej warszawskiej wieży obserwacyjnej śledzimy wydarzenia świata zgola bezinteresownie, bo pesymistycznie sądząc, że opozycja polityczna nie ma teraz w „jaruzelskiej” Polsce żadnych nowych możliwości. Mówiąc „my” mam na myśli antymarksistów „starszych”, dla których 40-letnie doświadczenia eksperymentu marksistowsko-leninowsko-stalinowskiego w Polsce, Czechosłowacji, Węgrzech, Bułgarii etc., stanowią jedną całość i nic nowego, po prostu są potwierdzeniem tego, co kraje sąsiadujące lub uzależnione od ZSRR wiedzieć powinny już dawno (Polacy, Węgrzy czy obywatele Krajów Bałtyckich znali sprawę jeszcze przed wojną, Czesi, Słowacy czy Bułgarzy przeżyli w pełni dopiero po latach). Mówiąc „my” nie mam natomiast na myśli młodych działaczy „Solidarności”, opozycjonistów pierwszego pokolenia, którzy żywią wiele naiwnych nadziei politycznych, nie nawiązując do gorzkich doświadczeń historii ostatniego półwiecza, jakie stały się udziałem narodów środkowo-wschodniej Europy, opuszczonej przez „Zachód”; który

umiał tu „wystać” tylko Hitlera. Najwidoczniej każde pokolenie musi przekonać się na własnej skórze o tragizmie historii. „Solidarnościową” młodzież podtrzymuje na duchu niepomny przeszłości rozgłos, jaki „lewicowa” opinia Zachodu nadaje nagłej udanej propagandowo (lecz nie politycznie) martyrologii polskich przywódców „Solidarności”, których legenda tak czy inaczej przeniknęła na Zachód. Ciekawe przy tym, że ów Zachód zapomina częstokroć o własnej roli w kształtowaniu Jałty, czyli, w praktyce, podziału Europy. Ludzie Zachodu zapominają też dziś chętnie (zapominają na nasz rachunek), o wynikłych z tego, a ostatnio dobitnie nam przypomnianych, prawach politycznego ciężenia „po naszej stronie” Europy i świata. Tak na przykład, wybitny zachodni dziennikarz przybyły do Warszawy oświadczył mi, że przyznanie Lechowi Wałęsie pokojowej nagrody Nobla ogromnie zwiększy jego autorytet, czyniąc z niego siłę polityczną, nieodpartą nawet dla najbardziej dyktatorskiego rządu. Odpowiedziałem mu na to, że przyznanie Nobla Wałęsie robi mu, owszem, ogromną propagandę i zwiększa jego symboliczne znaczenie, zwłaszcza dla „postępowej” opinii Zachodu, natomiast przekreśla jakąkolwiek możliwość jego skutecznych działań politycznych na Wschodzie, po naszej stronie kurtyny. Bo tu się politykuje, jeśli się chce coś konkretnego osiągnąć, wyłącznie wobec Rosjan, a dla Rosjan tego rodzaju laureat Nobla jest po prostu „agentem Zachodu”, wartym jedynie odśunięcia go od wszelkich konkretnych wpływów czy możliwości.

Tę moją, dla mnie oczywistą, ocenę mój zachodni rozmówca uznał za pogląd dziwaczny i niespodziewany. Czyżby więc Zachód, po dziesięcioleciach wręcz przyziemnego realizmu i bojaźliwych kompromisów, przeszedł nagle na pozycję polskich romantyków, wierzących, iż mury Jerycha same runą od śpiewów? Przedziwnie nieoczekiwany Zachód, zważywszy, że łączy to jeszcze z pacyfistyczną postawą, wyrażaną w sukcesach ruchu antyrakietowego...

Tak więc, powtarzam, my, z naszej warszawskiej obserwacyjnej „wieży z kości słoniowej” (kto to są owi „my”, sprecyzowałem powyżej), śledzimy całkiem bezradnie zachodnie pomieszanie pojęć i ich różnokierunkową dewaluację, nie mogąc przekazać Zachodowi istoty naszych wieloletnich doświadczeń, niezbyt

zresztą znanych także naszym – odważnym, młodzieńczym, upojonym doraźnym moralnym sukcesem pięknych słów – „dysydentom”. Wolna arena starć intelektualnych czy koncepcyjnych lub ideologicznych istnieje bowiem tylko na Zachodzie i dla Zachodu, miliardowy natomiast Wschód euro-azjatycki trwać musi w milczeniu, przerywanym czasami pojedynczym głosem, któremu przypadkiem uda się przedrzeć przez dzielącą Europę i świat kurtynę. Często natomiast reprezentują nas owe romantyczne enuncjacje i śpiewy „dysydenckie”, wyzyskujące taki czy inny poddmuch politycznej mody na Zachodzie – lecz to na naszą wewnętrzną sytuację i istotne poinformowanie o niej zewnętrznego świata wpływ ma niewielki.

A niniejsza wypowiedź? Niechże będzie właśnie jednym z owych samotnych głosów ludzi bez sojuszników i złudzeń, próbującym jeszcze raz wyłuskać realną prawdę o nie sowieckich lecz komunistycznych problemach krajów Europy środkowo-wschodniej, przyłączonych po II Wojnie Światowej do Wschodniego Imperium. Przemianami materialnymi i psychicznymi tych krajów autor niniejszych słów zajmuje się od lat 40 w publicystyce i beletrystyce, ogłaszanej w większości (i z konieczności) na Zachodzie. Próbuje ona – z różnym skutkiem – dotrzeć nie tylko do emigracyjnych Polaków, lecz i do cudzoziemców. To ostatnie udaje się stosunkowo najlepiej w europejskiej strefie niemiecko-języcznej. Jest to zresztą najzupełniej logiczne i uzasadnione, ta strefa bowiem posiada własne, nader instruktywne „poletko doświadczań”, swoją enklawę w europejskiej części komunistycznej: Niemiecką Republikę Demokratyczną, którą Zachód uznał oficjalnie jako realne państwo. A więc – dlatego „po niemiecku” rozumieją nas najlepiej. Choć oczywiście nie wszyscy rozumieją – i nie wszystko.

Chcąc rozmawiać z Zachodem, kontemplując Zachód, obserwujemy częstokroć z naszej warszawskiej wieżycy, jak bardzo na owym Zachodzie ludzie przywiązani są do starych wielkich słów, nie bacząc na to, że zmieniają się ich pojęciowe zawartości, że nieraz słowa te wręcz wymieniają się znaczeniami. Mam na myśli takie na przykład słowa jak: lewica – prawica, pacyfizm – wojowniczość, konserwatyzm – postęp, liberalizm – autorytaryzm, demokracja, imperializm, prawa człowieka, i oczywiście – socja-

lizm – wszak to wszystko bez uściśleń i historycznych komentarzy, dotyczących czasu, miejsca, najróżniejszych okoliczności materialnych, w ogóle nic nie znaczy lub, co gorsza, funkcjonuje przeciwnie niż ludzie sądzą, niż się przyzwyczaili.

Na przykład zachodnioeuropejski Ruch antynuklearny, występujący przeciw amerykańskim wyrzutniom raketowym w zachodniej Europie, był ruchem pokojowym PRZED zainstalowaniem sowieckich wyrzutni SS 20. Natomiast PO zainstalowaniu tych nastawionych na zachodnią Europę raket, stał się ruchem kapitulacyjnym, czyli w istocie wojennym. To Clausewitz powiedział, że o wojnie i pokoju decyduje nie napadający, lecz napadnięty, który postanawia, czy się będzie bronić (co może odstraszyć napastnika) czy też kapitulować – co zwiększa prawdopodobieństwo skutecznej napaści, czyli wojny. W ogóle zaś problem amerykańskich wyrzutni w Europie to dziś już nie problem militarny, lecz polityczny. Bomb atomowych w razie czego mogłoby i tak posypać się na Europę dosyć, natomiast wycofanie amerykańskich wyrzutni na życzenie Europejczyków byłoby równoznaczne z eliminacją wpływów amerykańskich z Europy zachodniej, o co od dziesięcioleci uporczywie walczą Rosjanie. Rezultatem mogłoby być tylko uznanie całej Europy jako wyłącznej domeny imperialnych interesów i wpływów sowieckich. A zatem ruch pokojowy, zmieniając układ sił w Europie, stałby się ruchem destabilizacyjnym, czyli w istocie – wojennym.

Podobnie jest z innymi mylącymi słowami. „Prawa człowieka” całkiem co innego oznaczają w ustroju produkcji państwowej, co innego w ustroju wolnorynkowym czy pluralistycznym. Strajk robotników w kapitalizmie zagrożić może interesom przedsiębiorstwa. W komunizmie natomiast zagrożić może politycznemu bytowi całego państwa, które jest tam w istocie jednym wielkim przedsiębiorstwem, gdzie zyski czy straty idą do wspólnego kotła, a w ogóle trudno są wymierne, dlatego i katastrofa gospodarki przychodzi niespodziewanie. (Nie rozumie tej różnicy Zachód, który w praktyce miał co najwyżej do czynienia z wolnorynkowym, rewizjonistycznym socjaldemokratyzmem, czy z ostrożnym koalicyjnym „eurokomunizmem”). Tak samo, zależnie od ustroju gospodarczego, słowa „konserwatyzm” i „postępowość” mogą zamieniać się rolami.

A wracając jeszcze do spraw wojenno-historycznych: pacyfizm Zachodu umożliwił i przyspieszył II Wojnę Światową, rozumiał to Hitler, finansujący skrycie francuską prasę antywojenną. Jednakże zachodni pacyfiści zdaje się o tym zapomnieli, podobnie jak o starożytnej, na pozór tylko paradoksalnej zasadzie: „*si vis pacem para bellum*”.

A teraz najciekawsza i najważniejsza, a w wielu kręgach zachodniej opinii nie rozumiana czy nie doceniana przemiana słowa: LEWICA. Jakże dziwnie ewoluowało to słowo na przestrzeni nowoczesnej historii. W wieku XIX „lewica” była synonimem walki o demokrację polityczną, o wolność słowa, o „prawa człowieka” etc., a jednocześnie o sytuację materialną ubogich czy wyzyskiwanych. Ale bardzo szybko marksistowska teoria walki klas i przyszłej likwidacji państwa „opartego na pracy najemnej” wprowadziła rozróżnienie i podział w tej rzekomo jednolitej „lewicowości”. Marksizm mógł się taktycznie czy „dialektycznie” sprzymierzać z legalnymi, parlamentarnymi ruchami socjaldemokratycznymi, na przykład w walce z przeżytkami feudalnej monarchii, bardzo jednak szybko (bo już w *Manifestie komunistycznym*) zaprotestował przeciw utożsamianiu go z nimi. Bo wszakże dla Marksa wszelkie ruchy socjaldemokratyczne „reformistyczne” były organiczną częścią wrażego ustroju burżuazyjnego, zaś „walka o wolność i demokrację” to była zarazem walka o gospodarczy *laisser-fairyzm*, czyli o prawo dla kapitalistów do, utrzymanego w ramach legalizmu, materialnego gnębienia robotników. Mimo więc przejściowych sojuszków z reformistyczną socjaldemokracją walka o legalną parlamentarną lewicowość nie miała dla Marksa i Engelsa nic wspólnego z istotną walką klas i przyszłą robotniczą rewolucją, która, gdy sytuacja produkcyjna po temu dojrzeje, obali „rządy burżuazji” i przejmie produkcję. Tak więc pojęcie lewicowości od razu uległo tu rozszczepieniu, na demokratyczny, nie rewolucyjny, lecz parlamentarny socjaldemokratyzm, oraz na prawdziwie rewolucyjny komunizm, w którym idealne społeczeństwo bezklasowe poprzedzone zostanie przejściową fazą przebudowującej wszystko „dyktatury proletariatu”. Słowo: dyktatura nie pozostawia wątpliwości co do charakteru tej nowej, antyliberalnej lewicowości. Totalistyczną ideę dyktatury proletariatu (w

praktyce rewolucyjnej zastąpionej przez dyktaturę mono-Partii) rozwinął Lenin, nienawidzący mieszczańskiej parlamentarnej demokracji, będącej, jak to w skrócie ujmował, dialektycznie rzecz biorąc, „na usługach burżuazji”. Wyciągnął on po prostu polityczne konsekwencje z polemicznych rozpraw Marksa i Engelsa, zwłaszcza, że dokonywał rewolucji w kraju mało uprzemysłowionym, o słabym proletariacie. Zaś dalszą „kropkę nad i” postawił Stalin przyjmując, że dla stworzenia i utrzymania społeczeństwa bezklasowego trzeba rewolucyjnie (czyli ferrem) zniszczyć dawne klasy „alienacyjne”: kapitalistów „nepmanów”, indywidualnych chłopów, niezależną inteligencję, elitarne wojsko etc. Był więc niewątpliwie Stalin jednym z klasyków praktycznej rewolucji marksistowsko-leninowskiej, jedynej historycznej próby wcielenia marksizmu w życie, dokonanej zresztą „nieprawidłowo”, ho w krajach nierozwiniętych. Jednakże innej takiej próby nie było, to też zakusy oderwania Stalina od Marksa (a także Lenina od Marksa) są scholastycznym chowaniem głowy w piasek przed historią, — charakterystyczne przy tym, że wśród obrońców rzekomej demokratycznej lewicowości Marksa nie ma praktyków gospodarczych, przeważają podnieceni ideolodzy, zwolennicy zewnętrznie demokratycznych gestów i form. Na przykład zbuntowana przeciw swej partii francuska komunistka Annie Kriegel zapytywała kiedyś, co ma wspólnego przebrany w bogaty mundur marszałka Stalin z roku 1944 z komunizmem? Odpowiedź brzmić winna: prócz pozorów, wszystko! Jako marksista nadal utrzymujący w swym kraju produkcję wyłącznie państwową („kolektywną”), co z kolei jest niezbędnym, nie utopijnym, warunkiem istnienia społeczeństwa bezklasowego.

Ciekawe, że tych nieodwracalnych w historii warunków, towarzyszących próbie wprowadzenia w praktyce ideałów marksizmu, zdają się zupełnie nie rozumieć polscy „rewizjonistyczni” jego zwolennicy: Władysław Bienkowski, jeden z twórców polskiej Partii, przyjaciel Gomulki i parokrotny minister, dziś usunięty i zbuntowany „polski Dżilas”, oraz Adam Schaff, usiłujący po latach uniewinnić Marksa, doszukując się lewicowego demokracji w jego mniej znanych pismach i krytykując Leninizm za dokonanie rewolucji przedwcześnie, niezgodnej ze stanem rozwoju społeczeństwa (Schaff, od lat próbujący stać się cywi-

lizowanym marksistą „zachodnim” został wreszcie, w czerwcu bieżącego roku, usunięty z polskiej Partii).

Obaj ci oponenti komunizmu praktycznego i politycznego usiłują zachować dla marksizmu dawną etykietkę lewicowości zakładając, że miał on być czymś w rodzaju humanitarnego socjaldemokratyzmu, a tylko wypaczony został przez Lenina czy Stalina. Ujęcie takie to typowe *wishful thinking*, które nie znajduje potwierdzenia ani w pismach Marksa i Engelsa, ani w ich politycznej praktyce, gdzie różnice między dwoma rodzajami lewicowości: burżuazyjno-liberalną a „istotną” klasowo-rewolucyjną zaznaczone były zawsze bardzo silnie. W rezultacie dalszego politycznego i gospodarczego toku dziejów, socjaldemokratyzm nieodwracalnie oddalił się od komunizmu, stając się dziś właściwością społeczeństw wolnorynkowych (czyli nadal „kapitalistycznych”), które poszły po linii zachowania demokracji parlamentarnej, a więc, według Marksa, „burżuazyjnej”. Decydujący okazał się tu przełom na początku stulecia, kiedy to Ford, a za nim inni wielcy monopolisci zrozumieli, że człowiek pracy, robotnik, to nie tylko siła najemna, ale także nabywca wyprodukowanych towarów – w tym celu jednak trzeba go awansować materialnie i wyrobić w nim odpowiednie rynkowe potrzeby. Tego nie przewidzieli Marks i Engels, nie przyszło im do głowy, że w interesie rozwoju produkcji nastąpić musi współdziałanie kapitału ze światem pracy (dziś rozwinięte w USA, Japonii, Szwecji, RFN) i że w ten sposób, przy zachowaniu demokracji formalnej nastąpi zarazem „rozmywanie się”: klasycznej burżuazji i „odburżuazjnienie” aparatu państwowego. Tak więc, wbrew proroctwom „klasyków marksizmu”, obalenie „systemu pracy najemnej” w społeczeństwie demokracji zachodniej dokonuje się na zupełnie nowej, pozaklasowej drodze: powstaje oto kapitał anonimowy, zmienny, prywatno-państwowy, spółki menagersko-robotnicze, uczestnictwo pracowników w zyskach przedsiębiorstwa, rozmaite formy interwencji państwowej, wreszcie awans i elitaryzacja grup pracowniczych, poprzez rozwój techniki, elektronizację i robotyzację. Wszystko nader pluralne, elastyczne i ewoluujące, podczas kiedy tworzony według recepty „klasyków” system rzekomo przejściowej dyktatury proletariatu doprowadził do zgoła nie przejściowo skamieniałej

dyktatury państwowej, choć tyle kiedyś mówiono o zaniknięciu państwa w socjalizmie.

I teraz wróćmy do kwestii semantycznej na pozór, lecz nie-błażej. Oto w Rosji, a po II Wojnie Światowej w całej Europie środkowo-wschodniej zainstalował się komunistyczny ustrój totalny, gdzie system bezklasowy podtrzymywany jest nieustającą, terrorystyczną interwencją państwa, zaś symbolem (mystyfikatorskimi) dyktatury proletariatu są dyktatorskie rządy jednej partii, czy raczej jej kierownictwa. W dalszym jednak ciągu komunizm rosyjski, o arcywyraźnych teraz znamionach konserwatyizmu i antyliberalizmu, oraz wręcz reakcyjności, uważany jest za „skrajną lewicę”. Gdzie w takim razie jest „skrajna prawica”? Przyzwyczajono się uważać za nią ustroje faszystowskie, Mussoliniego, Hitlera czy Franco. Ale przecież to przeciwstawienie jakoś szwankuje, bo podobieństwa w różnych dziedzinach są tu aż nazbyt uderzające, *les extrêmes se touchent*. Przy czym system komunistyczny jest w istocie bardziej całościowy, czyli totalny, niż bardziej za to otwarcie terrorystyczny ustrój faszystowski. Leninizm wszakże obejmuje czy zamierza objąć wszystkie dziedziny życia, utożsamia władzę polityczną z władzą gospodarczą, nie ograniczając się do ideologicznej czy politycznej „nadbudowy”. Wielokrotnie zwracano uwagę na to, że w 2, 3 lata po upadku Mussoliniego czy Hitlera nie było już w ich krajach śladu faszystów czy nazistów. Dlaczego? Właśnie dlatego, że systemy te skupiały swą uwagę na problemach „nadbudowy”, pozostawiając nietkniętą strukturę „bazy” produkcyjnej w rękach prywatnych przedsiębiorców – fachowców, a więc nietkniętą komórkę społeczną. Skarży się na to w swych wspomnieniach hitlerowski minister uzbrojenia Albert Speer, przypisując militarną klęskę Niemiec niedostatecznym wpływom państwa na indywidualnie kierowaną, pluralistyczną mimo wszystko produkcję przemysłową.

Jeśli jednak, powtórzmy, totalistyczny w każdej dziedzinie Związek Radziecki uznamy, według pokutującej wciąż terminologii, za twór skrajnie lewicowy, to co będzie skrajną prawicą, skoro wykluczmy ustroje faszystowskie, jako nazbyt pokrewne i w zasadzie przejściowe, efemeryczne? Według pojęć sowieckich, opartych teoretycznie na marksowskiej metodzie, uwzględ-

niającej przede wszystkim bazy produkcyjnej i socjologiczno-klasowej, pravicowe są kraje parlamentarne i wolnorynkowe, z „prawicowym ludem”, klasa robotnicza nie rewolucyjna, nieliczną i dobrze sytuowaną, ze swobodą dla kapitalistów i monopolii, z którymi państwo współpracuje i których chroni, placąc za to bezrobotnym i ubogim. A więc, według zresztą sowieckiej propagandy i dialektyki, te najbardziej pravicowe kraje świata to będą USA, Kanada, Japonia, Tajwan, Australia, Nowa Zelandia, Szwecja, RFN — kraje, o największym rozwoju produkcji przemysłowej i najwyższym poziomie automatyzacji i elektroniki, wciąż silnie zmniejszającym zapotrzebowanie na pracę fizyczną (to zresztą staje się powodem bezrobocia, specyficznej choroby wzrostu).

Jeżeli zaś, taka jest dziś geografia światowej „lewicy” i „prawicy”, to zapytać można, czy terminy te, zaczerpnięte z tradycji pojęć i podziałów XIX-wiecznych, lub jeszcze dawniejszych (francuski Konwent, parlamentarizm angielski) mają dziś w ogóle rację bytu, bez zasadniczego ich zrewidowania, przewartościowania? Mit lewicy najrozmajciej w różnych miejscach świata pojmowany przez propagandę, rosyjską stosowany obrotowo, tak jak im wygodnie, jak dyktuje taktyka, a demagogicznie konserwowany w krajach o anachronicznym dzisiaj życiu politycznym (Francja, Hiszpania) zamącił już wiele spraw współczesnych, zwłaszcza namiętnie kultywowany przez oderwanych od problemów techniki produkcji i ekonomii, tak zwanych „intelektualistów”. Bronią oni swojej tradycyjnej terminologii i swego stanu posiadania, sprzeniewierzając się w swym egocentrycznym sugestiom samego nawet Marksa, nakazującego wszakże utrzymywać ścisły związek wszelkiego myślenia z problemami produkcyjno-ekonomicznymi. Nie chcąc utracić marksizmu, do czego mogłoby dojść w razie przyznania się do jego błędnej wizji przyszłości świata, intelektualisci woleli wyrzec się sugestii samego Marksa, który przecież uważał się za orędownika i sługę sprawy ludu. Lud nasz pan — tymczasem w wielu krajach Zachodu dochodzi do paradoksalnej sytuacji, że lud jest „prawicowy” a „intelektualisci” — lewicowi.

Może by więc, w tej sytuacji, zrewidować wreszcie i przewartościować te dwa anachroniczne a powszechnie używane słowa? Bo fałszywe terminy rodzą też fałszywe nadzieje...

I tu przejdę jeszcze do problematyki naszych krajów, również padających ofiarą fałszywej terminologii, pomieszania pojęć, oraz światowego nie poinformowania. Zwykło się dziś mówić, że komunistyczne kraje Europy środkowo-wschodniej rządzone są przez dyktatorską oligarchię, a lud jest przeciw, czego dowodem na przykład Praska Wiosna 1968 czy polska „Solidarność” 1980. Jest w tym duże uproszczenie i brak wyobraźni, wyniki z absolutnej nieznanomości praktyki społecznej komunizmu. Czy nikomu na Zachodzie nie daje do myślenia fakt, że gdy komunizm do jakiegoś kraju wszedł, i zdążył się zakorzenić, to już ten nie wyszedł, choć nawet ustał bezpośredni nacisk sowiecki (Albania, Jugosławia)? Wynika to z paradoksalnego również faktu, że, na przekór swym słabostom gospodarczym, jest to w istocie ustroj bardzo silny. Dlaczego? Bo system gospodarki państwowej wciąga w swą orbitę wszystkich i wybija im ze świadomości możliwość życia w innych, niekomunistycznych formach produkcji i zarządzania nią, w innych formach własności. Jeszcze w pierwszym, pamiętającymi „dawne czasy” pokoleniu „budującego komunizm” kraju istnieją jakieś psychiczne różnice czy wątpliwości w stosunku do nowych, państwowych form produkcji, zatrudniających wszystkich jako swych funkcjonariuszy (obok bezpośrednich pracowników jest tu przecież ogromny aparat administracyjny-biurokratyczny, kontrolny, pseudo-samorządowy, partyjny – mnóstwo funkcji całkiem nie znanych na Zachodzie. Ale te różnice oraz dawne pojęcia w drugim czy trzecim pokoleniu stopniowo zanikają: akcja niwelacyjna i „antyalienacyjna” trwa, materialistyczno-dialektyczna zasada „být określa świadomość” święci swe triumfy i oto, przy zamknięciu kraju i nieustającej, ogłuszającej propagandzie, wszyscy wcale nawet o tym nie wiedząc, służą ustrojowi i uczestniczą we władzy, w jej jakimś kawałku, pilnując się wzajemnie, aby nikt nie wyszedł poza codzienne granice systemu, który gwarantuje zatrudnienie czy minimalne choćby utrzymanie, z warunkiem nie wtrącania się do żadnych ogólniejszych decyzji. „Wolny jest ten, kto posiada środki produkcji” – mówi marksizm, a więc w systemie państwowej produkcji bezosobowej nikt nie jest wolny, i nie będzie, bo przestano sobie w ogóle wyobrażać, że można posiadać środki produkcji, zanika w społeczeństwie funkcja sa-

modzielnego ekonomicznego myślenia, nie mówiąc już o działaniu. Aspirować do niej mogliby jeszcze co najwyżej drobni, prywatni wytwórcy, a w Polsce także indywidualni chłopci, toteż trzymani są tylko z łaski, na uwięzi i w ciągłej niepewności, po to, aby upaństwowiona reszta społeczeństwa przypadkiem im nie pozazdrościła. Filozofia totalnej władzy jest bardzo ściśle związana z ideą społeczeństwa bezklasowego, gdzie żadna grupa nie może się „wyalienować”. Dżilasowska „nowa klasa” to nie jest w istocie żadna klasa, tylko elitarna policja porządkowa systemu, wynajmowana na pewien czas, której skład osobowy z łatwością może być zmieniony. Zmiany kolejnych ekip władzy rzadko miewają w komunizmie takie znaczenie, jakie przypisuje im Zachód, bowiem system jest samoczynny, choć obsługują go zmieniające się marionetki, zaś mało kto z pozasystemowej opozycji na tyle zna mechanizm, aby wiedzieć JAK go zmienić. Rzadko się też zdarza, aby zamysły mutacyjne powziął ktoś z samych naczelnych mechaników, jak się to złożyło raz jeden w przypadku samego Chruszczowa.

Ustrój jest więc samoczynny, nie potrzeba w nim w zasadzie aktów specjalnego terroru, jakie tak interesują i podniecają Zachód, który nie rozumie, że najtragiczniejsze nie są dochodzące do wiadomości zagranicznej opinii przypadki buntu i jego dramatycznego tłumienia, to są przecież okresy nadziei, lecz właśnie przeciwnie, długie dziesięciolecia głuchej ciszy, kiedy wrażliwy na zewnętrzne efekty Zachód uspokaja swe sumienie, że na Wschodzie nic się „złego” nie dzieje – wtedy też zawiera się chętnie a obłudnie przeróżne porozumienia helsińskie. A tymczasem właśnie w tych okresach ciszy realizuje się w naszych krajach i umacnia istota zbiorowego wzajemnego zniewolenia. Zbiorowego, bowiem państwowe władanie produkcją podtrzymują świadomie lub nieświadomie wszyscy, to jest ich jedyne znane im tutaj, w dodatku bardzo absorbujące, życie. Chcąc obalić ten system, musieliby wystąpić przeciw samym sobie – bo oni są już tym systemem. A wystąpić przeciw samym sobie – to się jeszcze w kraju komunistycznym nie udało, ani w ogóle nie zdarzyło.

I to właśnie był paradoksalny problem i wewnętrzna sprzeczność „Solidarności”, nie zrozumiane przez lewicujący Zachód, kiedy nagle tajemnicze i zawile sprawy Wschodu podłożyły się

pod znajomy biało-czerwony schemat: klasowy, materialny bunt robotników w kraju komunistycznym, oto gratka, oto sprawa nareszcie jasna i oczywista.

Tymczasem rzekoma „jasność” tej sprawy mogła być niewątpliwa tylko dla ludzi nie znających istoty życia w komunizmie. „Solidarność” wystąpiła jako „przodująca klasa robotnicza”, której należy się więcej i inaczej, która żąda swych przywilejów od socjalistycznego państwa, ignorując fakt, że z tą zasadą właściwie organicznie powiązana jest jego niewydolność gospodarcza, gdyż doktrynę i władzę stawia się tu ponad interesami ekonomicznymi. Sama idea „przodującej klasy robotniczej” wywodzi się z marksizmu, on to, realizując swą wizję w nieuprzemysłowionej, zniszczonej powojennej Polsce, wyciągnął miliony ludzi ze wsi, wrzucając ich w pracę hutniczych kolosów, które po latach okazały się przestarzałe i nieopłacalne, bo u ich założenia stała ideologiczna doktryna państwowej gospodarki, nie oglądającej się na ekonomiczne straty. Szło po prostu o uprawdopodobnienie marksizmu, o dociągnięcie obrazu społecznego do wymagań teorii. A więc albo – albo: albo obalać system, uznając jego błędność, doktrynerskość, niezastosowalność, niepraktyczność, albo, przyjmując zasadniczo „socjalizm” taki czy inny, zdać się nadal na jego kierownicze „opiekunstwo”, skoro już powstał, choć, jak stwierdza Schaff, przedwcześnie i nie tam, gdzie trzeba. Ale faktów cofnąć się nie da, można je najwyżej próbować obalić.

I w tym dylemacie „Solidarność” się pogubiła, nie bardzo zresztą świadoma głębi sprzeczności, w jakie popadła – abstrahując zresztą od problemu narodowego, od niedostatecznego uświadomienia sobie przez dzisiejszą polską młodzież nierozwiązalnej zależności od Rosji Sowieckiej, dla której marksizm-leninizm gospodarczy jest skuteczniejszą metodą zniewalania „swoich” krajów, niż dla Rosji carskiej była rusyfikacja. Ale niezależnie już nawet od polskich fatalizmów historycznych i geopolitycznych, dylemat „Solidarności” nosił w sobie sprzeczność ogólniejszą, problematykę uniwersalną dla całego Wschodu – a także i dla nie bardzo rzecz rozumiejącego Zachodu. Frazeologia lewicowa przekreśla bowiem w tej pości światła dialektyczne możliwości antykomunistycznej opozycji, „naprawa so-

cializmu" wszakże to nie jest hasło zasadniczego buntu przeciw totalizmowi, Komunizmowi nie można atakować, mówiąc według dawnej terminologii „z lewa”, bo tam nic już nie ma, ta frazeologia i jej skutki są już wyczerpane. Uderzyć trzeba, choćby teoretycznie, programowo, „z prawa”, domagając się otwarcia restytucji nie państwowego, nie centralnego, lecz indywidualnego lub grupowego władania produkcją, oraz likwidacji przemysłowych „koleśów ideologicznych”, źródeł bankructwa gospodarki. Ale ta likwidacja musiałaby ugodzić doraźnie lecz dotkliwie w samychże likwidatorów, w robotników. „Klasa robotnicza”, klasa sowieckich ludzi nie może przecież obalać sowietyzmu, czyli samej siebie. I tak cud, że się na to porwała, może zresztą dlatego, że dowodzili nią ludzie społecznie nietypowi. Kuroń, Michnik, nawet Wałęsa i jego doradcy to nie są klasycy, marksistowskie robotnicy, to produkty chlubnej alienacji, nietypowości, wykorzenia. Wszak i Marks dlatego porwał się na system oparty o pracę najemną, że sam w tej pracy nigdy prawie nie uczestniczył, był wolnym, „wyalienowanym”, przywykłym nawet do biedy, inteligentem. Więc *vivat* alienacja, jako tak czy owak źródło opozycji w komunizmie! Natomiast chcąc przejść od sprzeciwu do nowego programu, chcąc konkretnie uleczyć bankrutujące przez komunizm społeczeństwo, trzeba by pójść przeciw robotnikom, przeciw rzekomo „przodującej” klasie, czyli przeciw fundamentalnej koncepcji, w jakiej wychowywano „postępowych” Polaków przez lat 40. Zaś lewicowej frazeologii wyrzec się tu nie mogli ani Kuroń, ani Wałęsa, ani inni ideolodzy i doradcy, zwłaszcza wobec poparcia okazywanego ruchowi przez „lewicowców” (choć dla siebie nadal wolnorynkowy) Zachód. Pójść zasadniczo przeciw mogły grupy społeczno-ideowe nie oderwane jeszcze od spraw ekonomii, związane z nią, tak jak to niegdyś surowo przykazywał nieszczęsny Marks, grupy nie oderwane od czynnego życia produkcyjnego i od autonomicznego, samodzielnego myślenia społecznego. Kto? Może chłopci, może księża, może sklepikarze? Ale nie pod czerwonym sztandarem i nie pod hasłem „ratowania socjalizmu”, czyli utrwalania społeczeństwa bezklasowego – instrumentu niwelacji, gładziszaltacji, biurokratyzacji, zobojetnienia, czyli – zniewolenia. Duchowego, poprzez sposoby materialne.

Na tym kończąc na razie to, zapewne nietypowe, oświetlenie problemu „Solidarności” chciałbym podkreślić rolę, jaką w niepowodzeniu tej grupy odegrał TERROR SŁÓW. Po dziś dzień częstokroć w dziejach ludzkich zbiorowości wielki wpływ na wypadki mają stare słowa, które po dziesięcioleciach i stuleciach niezauważalnie pozamianiały się znaczeniami i rolami. Przypominam dwa z nich: LEWICA i PRAWICA. Co one dzisiaj oznaczają i w jakich miejscach globu? A chodzi nie tylko o miejsca w znaczeniu geograficznym, lecz w znaczeniu społecznym, ideologicznym, moralnym, a także (i przede wszystkim, jak u Marksa) gospodarczym, produkcyjnym, technicznymi!

Czy stare słowa mają rządzić nami w nowej epoce, czy też nieporo, abyśmy je rządzili słowami?!

Warszawa, lipiec 1984

Stefan Kisielewski

Wydawnictwo PULS 22-23

PULS 22-23

W numerze

- J. JANOWSKI/Mowa sytych i mowa głodnych
- M. STEP/Trzy opowiadania
- P. NAS-SALSKI/Mistrzostwa święta
- J. KACZMARSKI/Widzenia na temat kodesa świata
- Puja '83: K. ORŁOS/Rozważania o pomniku... T. BUREK/Herbert — linia wier-
- ności
- PRZECHODZIEN/Raport o stanie przedzawalowym
- Polska '44-'84:
- PSEUDOŃMUS/40 lat
- A. BIEN/Czy w drogę tak daleką... J. KOWALSKI/Meto-
- dy i praktyki bezpieki w pierwszym dziesięcioleciu PRL
- M. BRONSKI/Polska li-
- teratura krajowa po wojnie
- M. CZECH/Luźne kartki
- J. PERKAL/Zamiast bilansu
- S. MROZEK/Na 40-tcie PRL oraz stała dziła
- Pojedynki — Archiwum
- emigracyjne — Recenzja — Muzeum ruchu rewolucyjnego — Przegląd kulturalny i
- niekulturalny — Grafika — Sow show
- Przewidywania roczne (4 numery) — pocztą zwykłą Ł15,00, pocztą lotniczą Ł19,00

Nowości

- Mowa do ludu. Szkice o języku polityki J. KARPINSKIEGO (Ł4,00)
- Poeta pamięta. Antologia poezji świadectwa i sprzeciwu 1944-1984 w opr.
- S. BARANCZAKA (Ł6,75)

Puls Publications: BCM Box 697, London WC1N 3XX

Marcin Król

W POSZUKIWANIU RACJONALNEJ NADZIEI

Artykuł Andrzeja Walickiego przeczytałem z wielkim zainteresowaniem. Teksty polemiczne (z wyjątkiem wypowiedzi Waldemara Kuczyńskiego) zdumiały mnie nie tym, że są polemiczne (bowlem polemika na tematy polityczne, nawet najostrzejsza, jest nie tylko na miejscu, ale po prostu niezbędna), lecz całkowitym brakiem dobrej woli: Ponieważ Andrzej Walicki często odwołuje się do tego, co sam kiedyś pisał, ośmielony tym trybem postępowania odwołałem się do swojej książki *Style politycznego myślenia**, w której – z mizernymi jak widać rezultatami – próbowałem wykazać, że w niektórych sytuacjach, takich jak nasza, właśnie styl politycznego myślenia bywa równie ważny jak jego treść. Innymi słowy, że w myśleniu politycznym, w przeciwieństwie do na bieżąco prowadzonej polityki, rozumienie i porozumiewanie się są niesłychanie istotne. Brak dobrej woli to przecież brak intencji rozumienia i przykro mi, że na tę okazję tak się z niej wyzuł Krzysztof Pomian. My wszyscy zajmujemy się wszakże tylko myśleniem, a nie bieżącą polityką i chociaż trzeba, żebyśmy się gwałtownie spierali, to kwestią pierwszorzędą dla naszej duchowo-politycznej egzystencji jest posiada-

* Libella, Paryż 1979.

nie owej intencji porozumienia. Sprawa to ważna tym bardziej, że – jak wynika chociażby z tekstu Walickiego – mamy wciąż wielkie i zrozumiałe trudności z wyrażeniem naszego myślenia politycznego. Brakuje języka, brakuje pojęć, brakuje precedensów, skoro autor zawsze piszący jasno, znakomicie konstruujący wywód i szybkim krokiem zmierzający do celu, tym razem wpadł w tyle pułapek i nie zdołał być konsekwentny.

Nie tylko na zasadzie dobrej woli, ale w zgodzie z moimi przekonaniem przyjmuję wstępne założenie Walickiego: „Panujący w Polsce system (...) może stać się lepszy lub gorszy”. Przyjmuję ponadto założenia dodatkowe, czy raczej hipotezy: sytuacja geopolityczna jest względnie trwała, trwała jest też „kierownicza rola Partii”. Przyjmuję więc, jak myślę, punkt wyjścia Andrzeja Walickiego i zgadzam się także z celem, jaki przyświeca jego rozumowaniu, to znaczy uważam za słuszne i niezbędne poszukiwanie możliwie najlepszych – ze społecznego punktu widzenia i z punktu widzenia interesów państwa polskiego – rozwiązań praktycznych. Innymi słowy: przyjmuję, podobnie zapewne jak Walicki, że w takiej sytuacji, w jakiej się znajdujemy, ważna jest nie tylko walka o stan świadomości społecznej, ale także o możliwość stwarzania realnych i konkretnych faktów w zakresie kultury i życia społecznego. Jestem przekonany, że odwaga, poczucie godności czy pewien etos czystości moralnej są niezbędne, ale wiem, że społeczeństwu choćby dla przeżycia równie niezbędne są fizycznie istniejące książki, instytucje, stowarzyszenia, uniwersytety, kluby, pisma, teatry, filmy itd. Takie zaś realia nie mogą w Polsce w naszych czasach istnieć bez co najmniej milczącego przyzwolenia władzy. I z tego względu musimy poszukiwać rozwiązań uwzględniających równocześnie interesy rozmaitych grup społecznych i interes czynnika rządzącego.

Tyle powiedziawszy, mogę podjąć polemikę, która nie będzie zresztą dotyczyła spraw szczegółowych, nie będzie zahaczała dziswnych sformułowań pojawiających się czasem w tekście na skutek rozpędu nieco demagogicznego, czasem zaś w rezultacie intelektualnej skłonności do formułowania reguł, prawidłowości, które w życiu politycznym rzadko się sprawdzają (przykłady: niezrozumiała dla mnie wypowiedź o stosunkach w Estonii lub

na Litwie oraz reguła, że władza w naszym kraju jest tym silniejsza i bardziej autonomiczna, im większe ma poparcie społeczne; co do tej ostatniej sprawy można powiedzieć, że bywa rozmaicie i jest to dobry przykład pokazujący, że myśl polityczna, inaczej niż filozofia polityczna, nie powinna poszukiwać reguł, tylko sposobów myślenia i działania).

Andrzej Walicki chce przede wszystkim powiedzieć, że musimy znaleźć *modus vivendi* z władzą, że cenny i społecznie niezbędny jest taki kształt wewnątrzpolskich stosunków, który umożliwi maksymalne wykorzystanie wszystkich marginesów swobody. Dla poparcia tej tezy poddaje krytyce intencje i sposoby działania tego, co się nazywa środowiskiem korowskim przed sierpniem 1980 roku oraz intelektualistów występujących w roli doradców „Solidarności” po sierpniu 1980. Nie mam zamiaru podejmować szczegółowej polemiki. Sądzę bowiem, że słuszność bądź niesłuszność obu taktyk (czy też tej samej taktyki w różnych postaciach) nie powinna być dzisiaj przedmiotem sporu, bo nie są one już aktualne. Nie znaczy to, że nie będą stosowane, ale że są anachroniczne i dlatego też nie warto w tę stronę kierować armat. Andrzej Walicki świetnie wie, jak ważna jest historia idei, historia sporów o idee, o wizje pożądanych kształtów polskiego państwa i społeczeństwa. Przedstawiając jednak postawy intelektualistów w latach 1976-1981 mówi o taktyce. Otóż historia taktyki politycznej nie uczy nas – moim zdaniem – niczego na użytek aktualnych wyborów. W zmienionej sytuacji taktyki ulegają zmianie. Jak poucza przykład Mochnickiego, można zachować te same poglądy ideowe, wielokrotnie i radykalnie zmieniając taktykę działania politycznego. Stąd dzisiaj z krytyki (czasem trafnej) postawy korowskiej nic nie wynika, przyszłość, a nie przeszłość powinna być przedmiotem refleksji, jeżeli chce się uniknąć dość beznadziejnych nietwórczych i obciążonych resentymentami sporów.

Ponadto jeśli nawet zgodzimy się z zarzutami Walickiego (a z wieloma zgodzić się można), to są one o tyle nieistotne, o ile w znacznym stopniu dzięki tamtej działalności powstała dzisiejsza, zmierzona i – w moim przekonaniu – bardziej korzystna sytuacja. Tu niezbędne jest wyjaśnienie:

Andrzej Walicki kończy swoją odpowiedź na polemiki osobistym i przejmującym wyznaniem powodów, dla których odkłada powrót do kraju. Pisząc o tym, uczynił tym samym publicznymi swoje osobiste sprawy i ja tylko o tym publicznym ich aspekcie się wypowiadam. Otóż powody przytoczone przez Walickiego świadczą o zdecydowanie błędnej ocenie aktualnej sytuacji umysłowej, moralnej i publicznej w Polsce. Nie chcę czynić łatwego zarzutu, że oddalenie emigracyjne uniemożliwia trafną ocenę. Myślę jednak, że błąd popełniony przez Walickiego stanowi dobry przykład do podjęcia w ramach dyskusji na temat tego, gdzie powinna rozwijać się polska myśl polityczna. Na pewno i na emigracji, i w kraju i – co równie pewne – nie przede wszystkim na emigracji. Ta błędna ocena stanowi źródło innych ważnych nieporozumień.

Dlaczego błędna? Walicki pisze, że sytuacja moralno-psychologiczna uniemożliwia dzisiaj takim ludziom jak on sensowną działalność, zgodną z przyjętymi i próbowanymi także przeze mnie założeniami. Otóż jest wprost przeciwnie. Pomijając aspekt moralny, ważny, ale w myśleniu politycznym przecież nie najważniejszy – moim zdaniem, sytuacja psychologiczno-umysłowa po raz pierwszy w powojennej historii Polski sprzyja działaniom podejmowanym na gruncie przyjmowanych przez Walickiego założeń. Sprzyja z dwóch co najmniej bardzo ważnych powodów. Pierwszy ma charakter negatywny, drugi pozytywny. Sprzyja, co nie znaczy, że ludzie tak myślący spotykają się z natychmiastową i powszechną aprobatą szeroko rozumianych środowisk inteligentkich (a może wręcz przeciwnie).

Powód pierwszy to psychologiczne i umysłowe skutki 13 grudnia 1981 roku, czyli powolne, ale nieuchronne odrzucanie złudzeń. A więc złudzenia rewizjonistycznego i postrewizjonistycznego, zarówno w wersji wewnętrzzpartyjnej, jak i zewnętrzzpartyjnej. Naturalnie, że w grupie rządzącej zawsze są ludzie bardziej i mniej „liberalni”, ale tak jest w każdej organizacji, zaś ten „liberalizm” ma charakter sytuacyjny. I jasne, że inteligencja woli „liberalów”, ale politycznie z tego podziału nic istotnego na dłuższą metę nie wynika, a próby manipulowania czy też grania na tych różnicach (przecież wbrew opinii Walickiego podejmowane także przez doradców „Solidarności”) nigdy skutków waż-

niejszych nie przyniosły. Nie lekceważę takich skutków jak przechanie jakiegoś filmu czy załatwienie komuś paszportu, ale okazało się wielokrotnie, że wewnętrzna spójność grupy rządzącej jest tak silna, iż próby jej rozbicia z zewnątrz kończą się fiaskiem. Mamy przecież do czynienia z partią leninowską i z systemem, a nie bezpośrednio i wyłącznie z poszczególnymi ludźmi.

Następne rozwiane lub rozwiewające się złudzenie, to nadzieja, że wielki demokratyczny i masowy nacisk od dołu doprowadzi do radykalnych zmian systemu. Doświadczenie „Solidarności” było niezbędnym dla przekonania się, że to niemożliwe.

Walicki sądzi, że można to było z góry przewidzieć. Nie wątpię, ale sądzę, że taka wiedza byłaby nieprzydatna. Albowiem inne, nie bezpośrednio polityczne skutki okresu „Solidarności”, takie jest uobywatelnienie wielkiej części społeczeństwa i praktyczna lekcja życia politycznego, stanowią wartość samą w sobie. Intelktualista, który by te skutki lekcewał z racji negatywnej oceny „wielkiej” polityki „Solidarności”, popełniałby tragiczny dla siebie błąd.

I wreszcie mniej ważne oraz słabiej obecne złudzenie, że Zachód, Stany Zjednoczone, itd. chcą i mogą wywrzeć skuteczny wpływ na sytuację w Polsce. Dzisiaj wiem, że raczej nie mogą i na pewno nie chcą. Lata 1980-1984 dobitnie ujawniły brak jakiegokolwiek poważnej, długofalowej koncepcji politycznej dotyczącej Polski. Ani Stany Zjednoczone, ani Wielka Brytania czy Francja nie sformułowały, w tym okresie żadnych propozycji, które podejmowałyby próbę znalezienia jakiegoś „pośredniego” rozwiązania sprawy polskiej. W okresie „Solidarności” możliwe było wywarcie wpływu na sytuację w Polsce (oczywiście nie wiadomo, czy wpływ taki przyniosłby pożądane rezultaty) przez udzielenie Polsce poważnych pożyczek, o które rząd Polski w końcu 1980 roku zabiegał. Pożyczki były minimalne, „małego planu Marshalla” nie stworzono. Potem karano polskie władze, nie biorąc pod uwagę ich uwikłania. Polityka USA i innych mocarstw zachodnich wobec Polski była i wciąż jest tylko funkcją ich polityki wobec Związku Radzieckiego; polityki polskiej państwa te po prostu nie mają, bo nie są nią zainteresowane. Podkreślam, mowa tu o polityce państw, nie o stosunku do Polski zachodniej opinii publicznej.

Wiemy już na pewno, że zmiany w Polsce, które musiałyby zakłócić europejski spokój, nie leżą w interesie Zachodu. Powoli zaczynamy pojmować konsekwencje tego faktu. Porządek pojałtański przeżywa naturalnie powolną ewolucję, zmienia się jak wszystko na świecie; ale nie ma w realnej perspektywie mowy o żadnych zmianach zasadniczych, celowo spowodowanych przez kraje zachodnie.

Na koniec złudzenie czy raczej błąd świeży i ostatnio dopiero naprawiany, a mianowicie nadzieje na to, że Kościół przejmie rolę politycznej opozycji. Choć są w Polsce ludzie, którzy absurdalność takich nadziei i rozmiar nieszczęść dla Kościoła i narodu, jakie mogłyby przynieść, rozumieli zawsze, to wielu innych, powodowanych zapewne naturalnym po 13 grudnia odruchem tego nie pojmowało. Stąd liczne nieporozumienia i najzupełniej niesłuszne pretensje do Kościoła. Nie uważam, że trzeba zawsze bezkrytycznie oceniać działalność Kościoła, ale nie wolno chcieć lub oczekiwać odeń tego właśnie, co byłoby zgubne. Jest to wciąż złudzenie obecne, ale mam wrażenie, że powoli wraca poczucie umiaru i świadomości tego, że o życiu publicznym powinny decydować siły i racje polityczne.

Drugim powodem, dla którego obecną sytuacją w swoim przekonaniu sprzyja myśleniu i ewentualnemu działaniu ludzi wychodzących z założeń podobnych do proponowanych przez Andrzeja Walickiego, jest oczyszczenie pola rozważań politycznych. Stefan Kisielewski od czterdziestu lat co pewien czas publicznie ubolewa nad tym, że w Polsce o polityce nie mówi się wprost, nie mówi się językiem polityki. Otóż dzisiaj można i trzeba mówić wprost. Można nie dlatego, że taki panuje liberalizm i swoboda słowa (choć i pod tym względem bywało znacznie gorzej), ale dlatego, że najzupełniej komiczne byłoby dzisiaj posługiwanie się językiem eżopowym lub strojenie w kostium ideologiczny tam, gdzie to jest zbędne, kiedy – jak mam wrażenie – nawet grupa rządząca tego nie oczekuje. Dzisiaj można wprost mówić o władzy, opozycji, interesie polskiego państwa i nie trzeba w tym celu ani udawać, że się ma materialistyczny światopogląd, ani że władza jest w zasadzie kochana przez wszystkich, tylko akurat występują jakieś minimalne niedociągnięcia we wzajemnych gorących uczuciach. Bardzo wiele spraw i postaw

ukazało się w ich naturalnym kształcie, a nawet słowo opozycja pojawia się w oficjalnych publikacjach nie opatrzone w wyłącz- nie negatywną ocenę.

Innymi słowy: dla bardzo wielu ludzi (a w tym, jak wiem na pewno: dla wielu przywódców „Solidarności”), chociaż naturalnie nie dla wszystkich, stało się jasne lub staje się jasne, że jest, jak jest. Są polskie władze, są polskie interesy i jest duża część społeczeństwa, która jest w opozycji w stosunku do tych władz, ale jest to opozycja na gruncie interesów polskich, interesów tego państwa polskiego, jakie istnieje w tej, a nie innej sytuacji geopolitycznej. Problemy są dwa. Jeden to ocena, jak duża część społeczeństwa jest gotowa zajmować stanowisko opozycyjne tego właśnie typu. Te oceny są oczywiście różne, ale moim zdaniem nie tyle o oceny idzie, ile o powiększenie grupy tak myślącej, myślącej politycznie, a nie tylko uprawiającej moralistykę.

Drugi problem, to jak taka opozycja ma szukać sposobów działania zmierzających w obecnym okresie nie do pracy państwotwórczej, lecz do przemiany świadomości szerokiej społecznych elit, która to przemiana umożliwi dopiero działania w interesie państwa; ale takie działania, które nie wymagają wyrzeczenia się imponderabiliów moralnych i narodowych. Dzisiaj często się sądzi, że wszelki kompromis przekreśla imponderabilia; wydaje się, iż wewnętrznie silne społeczeństwo może przestać zachowywać się jak obleżona twierdza i przestać żywić takie obawy. A polskie społeczeństwo jest dzisiaj wewnętrznie silne.

Kto tak myśli, ten więc, że w jego odczuciu innej drogi nie ma. Naturalnie można myśleć inaczej, można sądzić, że nie ma możliwości znalezienia sposobów działania służącego interesom państwa polskiego, ale wtedy trzeba robić coś innego. Co mianowicie, nie wiem; bo się nad tym nie zastanawiam.

W takiej sytuacji zadaniem politycznym inteligencji jest — jak zresztą zawsze — wydobyć na jasną myśl narodu (Maurycy Mochnacki); czyli możliwie precyzyjne opisanie sytuacji wyboru, w jakiej znajduje się w Polsce człowiek myślący o sprawach publicznych i pragnący uczestniczyć w życiu publicznym. A wobec tego przedstawienie możliwych sposobów działania, bo naturalnie sposoby te mogą być rozmaite. Odpowiada się na to często,

że dla ich znalezienia niezbędna jest dobra wola także czynnika rządzącego. Jest to racja, ale nie najważniejsza, bo w polityce liczą się nie tyle dobre intencje, co fakty i sity. Na istnienie bądź nieistnienie dobrej woli wpływu nie mamy, chociaż sądzę, że zawsze, a więc i teraz występuje pewna jej doza w grupie rządzącej. Czy wystarczająca? – nie wiem, ale wiem, że muszę jej istnienie zakładać i wiem, że muszę być w swoich ocenach ostrożny i wymagający.

Wybór, wobec jakiego stoimy, jest bardzo trudny, ale decyzji uniknąć się nie da: albo będziemy działali na rzecz takiego uformowania myśli i czynów, które sprzyja „wzięciu odpowiedzialności za państwo” w takim zakresie, jaki będzie możliwy, albo – moim zdaniem – Polska zostanie nieodwołalnie skazana na anachroniczne trwanie poza światem cywilizacji, Europy i życia twórczego. Szanse powodzenia w przypadku podjęcia takiej pracy formacyjnej są niewielkie, przeszkody ogromne, ewentualność zagubienia się między wymaganiami polityki a wymaganiami imponderabiliów jest poważna, a zagubienie takie mogłoby wszystko zepsuć. Jest to jednak ten rodzaj ryzyka, który wiąże się z niewielką nadzieją, ale nadzieją racjonalną. Ja tylko tak umiem myśleć o życiu politycznym, co nie znaczy, że kurczowe trzymanie się imponderabiliów, symboli i sztandaru narodowego, po prostu trwanie na pozycjach obronnych, wyklucza nadzieję, nadzieję jednak nie do uzasadnienia na gruncie racjonalnego myślenia politycznego.

Marcin Król

Bogusław Gałęski

UWAGI O FUNDACJI ROLNICZEJ

Gospodarka polska jest w stanie rozpaczliwym, a najdotkliwszą konsekwencją tego są braki żywnościowe na rynku. Możliwości zakupu żywności na rynkach światowych w zamian za eksport artykułów przemysłowych są bardzo niewielkie. Żywność musi więc być wytworzona przez polskie rolnictwo, a ściślej przez polskie rolnictwo prywatne, bo na PGR-y w tym względzie liczyć nie można. W systemie ekonomicznym Polski nie istnieją bodźce, środki czy mechanizmy pozwalające liczyć na podniesienie produktywności rolnictwa bez zmian systemowych, a na to na razie się nie zanoszą. Pozostaje zatem pomoc z zewnątrz.

Powstająca pod egidą Kościoła fundacja rolnicza zasługuje, jak z tego wynika, na uznanie i poparcie. Projektowana pomoc ma jednak charakter akcji doraźnej, ograniczonej w czasie i zasięgu (środkach), nie stawia więc sobie zadania wprowadzenia zmian systemowych. Nie jest wykluczone, że do takich zmian może się przyczynić i szanse w tym zakresie warte są rozważenia. Najpierw jednak zająć się trzeba sprawami o bezpośrednim znaczeniu, a więc tym, jak pomoc wykorzystać, aby dała ona rezultaty w podniesieniu produkcji rolnej i polepszeniu zaopatrzenia ludności w żywność. Rozważyć zatem trzeba: po pierwsze, czy dobór celów szczegółowych działania jest trafny i czy podział środków między nimi odpowiada ich społecznej ważno-

ści; i po drugie, czy organizacyjna koncepcja pomocy zapewnia dotarcie środków do producenta i właściwe ich wykorzystanie.

Zarówno w generalnym programie działania, jak i w programie działania wstępnego (projekt pilotowy) najwięcej pieniędzy przeznaczonych jest na import i rozprowadzenie wśród rolników tych środków technicznych, które są na rynku wewnętrznym niedostępne: standardowych części do maszyn rolniczych, importowanych traktorów i kompletów maszyn, opon, instalacji elektrycznych i wodnych do użytku produkcyjnego i domowego. Ponieważ specyfikacji tych artykułów jeszcze nie dokonano, trudno ocenić, czy dobrane zostały te, które są rolnikom najbardziej potrzebne. Zanotować tylko trzeba, że dostawy docierałyby miały do rolnika przez „istniejącą sieć handlową” (Agroma, Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej) a więc sieć, której fundacja nie kontroluje.

Drugim, według wielkości środków, szczegółowym celem działania jest zaopatrzenie rolników w traktory produkowane w Ursusie, marki Massey-Fergusson MF-235. Zakup tej licencji i urządzeń produkcyjnych był w Polsce w swoim czasie ostro krytykowany. Tym razem chodzi o uruchomienie gotowej podobno linii montażowej i w tym zakresie fundacja ma udzielić Ursusowi pomocy dla zakupu importowanych części i komponentów. Sprzedaż dostarczonych przez Ursus traktorów odbywałaby się znów za pośrednictwem państwowej i spółdzielczej sieci handlowej. Zaopatrzenie w traktory Fergusson zajmuje w programie generalnym miejsce dopiero siódme, tu jednak przyjęto kolejność według podziału środków w projekcie pilotowym, gdyż jest on bliższy realizacji i bardziej sprecyzowany.

Trzecim celem szczegółowym w programie-pilocie (szósty w programie generalnym) jest utworzenie ośrodków maszynowych obsługujących sąsiedztwa. Zestawy traktorowo-maszynowe (4 typy standardowe) sprzedawane byłyby tym rolnikom, którzy działalność taką chcieliby podjąć i rozporządzałyby odpowiednimi środkami finansowymi bądź zapewniali spłacalność kredytów.

Punktem czwartym w programie pilotowym i czwartym także w programie generalnym jest rozwinięcie istniejących lub utworzenie nowych prywatnych przedsiębiorstw budowlanych. Od-

powiednie urządzenia do wyrobu materiałów budowlanych (podstawowe surowce uzyskane musiałyby być jednak z innych źródeł), oraz prowadzenie prac budowlanych i reperacyjnych dostarczone byłyby przez fundację. Kontrahentami fundacji byłiby prywatni przedsiębiorcy, w pierwszym rzędzie rzemieślnicy wiejscy.

Punkt piąty w projekcie pilotowym i w programie generalnym obejmuje zakładanie lub rozwinięcie punktów reperacyjnych, głównie punktów reperacji maszyn i urządzeń technicznych. Program fundacji przewiduje dostarczenie wyposażenia, częściowo importowanego, oraz kredytów dla rzemieślników wiejskich, na przykład kowali, i przeszkolenie ich w użytkowaniu dostarczonych środków technicznych.

Punktem szóstym w projekcie pilotowym i trzecim w programie generalnym jest utworzenie przedsiębiorstw prywatnych zajmujących się instalacją i konserwacją urządzeń wodnych i kanalizacyjnych, wyposażenie tych przedsiębiorstw w niezbędne urządzenia i podjęcie działań instalacyjnych niezależnych od programu rządowego. Instalacje byłyby w części subsydiowane przez fundację, w części zaś koszty pokryte by zostały przez użytkowników.

Punkt siódmy (drugi w programie generalnym) stanowi dostarczenie mechanicznych dojarek i chłodni dla producentów mleka oraz urządzeń chłodniczych i przerówczych dla zlewni mleka i mleczarni. Wśród mleczarni pierwszeństwo uzyskałyby te, które zaopatrują szpitale, szkoły, żłobki i przedszkola.

Akcją ósmą przewidzianą w projekcie i na tym samym miejscu w programie generalnym jest podjęcie produkcji wybranych środków chemicznych: pestycydów, środków dezynfekujących i konserwujących, środków weterynaryjnych, a w pierwszym okresie „acidolu”: środka dla konserwacji pasz. Produkcja prowadzona byłaby przez przedsiębiorców prywatnych, spółki i spółdzielnie. W podstawowe surowce przedsiębiorstwa te zaopatrywane by były przez państwowy przemysł chemiczny, któremu fundacja w zamian pomagałaby uzyskać zagraniczne licencje i importowane dostawy komponentów.

Punkt dziewiąty (dziesiąty w programie generalnym) stanowi utworzenie ośrodków reperacji i renowacji opon. Warsztaty te

prorowadzone byłyby przez rzemieślników wiejskich zainteresowanych taką działalnością, a wyposażenie dostarczone byłoby na warunkach kredytowych przez fundację.

Ostatni punkt w projekcie pilotowym i przedostatni w programie generalnym obejmuje zorganizowanie i wyposażenie przetwórci owoców i warzyw. Przetwórci prowadzone byłyby przez prywatnych przedsiębiorców lub grupy (spółki) związane na przykład z kołami gospodyń wiejskich i szkolnictwem rolniczym.

Streszczenie programu pozwala na sprawę popatrzeć konkretniej. Zarówno dobór celów szczegółowych, jak i alokacja środków budzić musi wątpliwości. W zaopatrzeniu rynku żywnościowego w Polsce kluczową rolę odgrywa mięso. Jest sprawą dyskusyjną, czy wzór spożycia jest w Polsce odpowiedni, a jeśli nie, to co można zrobić, by go zmienić. Na pewno jednak nie można tego dokonać w krótkim czasie i w ramach akcji doraźnej. W programie fundacji znaczenie dla poprawy zaopatrzenia rynku w mięso mają: środki konserwacji pasz i zwalczania szkodników, materiały i urządzenia budowlane, instalacje wodne. Znaczenie też mają środki transportu pod warunkiem dostępności paliw. Najbardziej wydatną pomocą dla hodowców byłoby dostarczenie pasz przemysłowych. W programie nie ma jednak o tym mowy; znaczniejszego więc wzrostu hodowli w efekcie działań fundacji trudno oczekiwać.

W lepszej sytuacji znalazło się mleko (drugi pod względem nakładów punkt w programie generalnym). Problem zaopatrzenia w mleko polega w Polsce nie na tym, że mleka nie ma lub że jest go za mało, lecz przede wszystkim na tym, że jest ono zanieczyszczone w stopniu groźnym dla zdrowia, że jest nienależycie konserwowane i niszczone przez nieterminową i w ogóle źle funkcjonującą dystrybucję. Działalność fundacji wywrzeć może wpływ na konserwowanie i przetwórstwo mleka, sprawy inne (dystrybucja) znajdują się poza zasięgiem działania fundacji.

Najważniejszą pozycją w programie fundacji jest zaopatrzenie w traktory i maszyny. Przeszło 50% środków w różnych postaciach na ten cel jest przeznaczonych. Rolnicy polscy chcą oczywiście traktorów i maszyn bardziej może niż innych środków produkcji. Na wzrost produkcji rolnej i zaopatrzenie rynku w

traktory i maszyny mają jednak wpływ pośredni: przez zmniejszenie nakładu pracy w uprawach polowych i ułatwienie transportu. Zaoszczędzony czas i energia wydatkowana być może przez rolników na podjęcie produkcji innych, bardziej pracochłonnych upraw (warzywa) lub rozszerzenie hodowli. Czy tak się jednak stanie, trudno przewidzieć. Zależy to od zaopatrzenia w środki w programie nie uwzględnione (pasze) i od czynników ekonomicznych (ceny), na które fundacja nie ma wpływu.

Reasumując: działanie fundacji – tak jak wytycza je dobór celów szczegółowych i alokacja środków – może przynieść wzrost produkcji rolnej i warto o to zabiegać. Nawet jeśli zwiększona produkcja znajdzie dotarcie do rynku, a na to fundacja nie ma wpływu, nie można oczekiwać jednak odczuwalnej poprawy zaopatrzenia w żywność, gdyż działanie fundacji skierowane jest na dziedzinę mniej dla tej sprawy istotne. Rolnicy będą na pewno zadowoleni z możliwości kupna traktorów, być może będą je mogli produkcyjnie wykorzystać (paliwo), wydanej poprawy w zaopatrzeniu konsumenta trudno się jednak spodziewać.

Skuteczność pomocy zależy nie tylko od trafnego doboru szczegółowych celów i alokacji środków, lecz także – i w bardzo dużym stopniu – od organizacji działania. W tej sprawie nasuwają się wątpliwości większe niż w poprzedniej, zaś korekta programu trudniejsza jest do przeprowadzenia.

Koncepcja organizacyjna programu obejmuje: 1) współdziałanie z instytucjami (przedsiębiorstwami, centralami, agencjami, spółdzielniami) prowadzonymi lub kontrolowanymi bezpośrednio przez administrację państwową; 2) wykorzystanie istniejących i utworzenie nowych przedsiębiorstw prywatnych i zakładów rzemieślniczych; 3) prowadzenie transakcji (kredyty, sprzedaż, rozdzielnictwo środków, pobieranie opłat) bezpośrednio z wybranymi rolnikami. W wielu punktach koncepcja jest niesprecyzowana. Nie wiadomo na przykład, na jakich zasadach dokonywać się będzie kontraktów: rolników, rzemieślników, przedsiębiorców. Wszystkich przecież działanie fundacji nie obejmie) i jakimi środkami kontroli nad ich działalnością fundacja będzie dysponować. Przy braku sprecyzowania w tym zakresie program fundacji obfituje nie tylko w przesadnie optymis-

tyczne przewidywania skutków (stereotypowy język programów FAO i innych organizacji tego typu), lecz także w stwierdzenia pozwalające przypuszczać, że autorzy nie zdają sobie sprawy z realiów systemu ekonomicznego, w ramach którego działanie ma być prowadzone, lub że uważają te realia za nieistotne. Przypomnieć trzeba, że jest to system gospodarki administrowanej, w której działalność ekonomiczna prowadzona jest według innych zasad, podporządkowana innym celom i oceniana (wynagradzana i karana) według innych kryteriów niż w systemie gospodarki rynkowej. Firmy zagraniczne prowadzące operacje na terenie Polski mogą z funkcjonowaniem systemu ekonomicznego Polski mniej się liczyć, gdyż obchodzi je w końcu tylko zysk. Fundacja chce jednak działać nie tylko w Polsce, ale i dla polskiego społeczeństwa. Konsekwencje a jeszcze bardziej niebezpieczeństwa współpracy z układem gospodarki administrowanej nie mogą być dla tego celu działania obojętne.

Pomińmy sprawę, czy uruchomienie montażu traktorów marki Ferguson lub zakup nowych licencji dla polskiego przemysłu chemicznego przyniesie jakąś, i jaką, korzyść społeczeństwu polskiemu. Doświadczenia lat siedemdziesiątych nie były w tym względzie zachęcające. Ważniejszy jest fakt, że współdziałanie z układem gospodarki administrowanej obniża może skuteczność akcji podjętej przez fundację, a naraża ją także na niebezpieczeństwo wykorzystania środków na cele fundacji obce. Układ gospodarki administrowanej nie służy robieniu interesów, lecz manipulacji społeczeństwem i kontroli nad społeczeństwem. Nie ma w nim żadnych mechanizmów motywacyjnych, aby z podjętych zobowiązań produkcyjnych czy dystrybucyjnych się wywiązać, chyba że służy to celom pozaekonomicznym organizacji lub dogadza jednostkom w osiągnięciu ich celów osobistych z celami organizacji nie tożsamych. Uzyskując jako pośrednik szanse manipulowania środkami fundacji, ośrodki decyzji w układzie administrowanym wykorzystywać je będą – bo zgodne jest to z zasadami funkcjonowania tego systemu – do wywierania nacisku na jedne grupy, faworyzowania innych, lub dla rozszerzania zakresu władzy klik usadowionych na różnych piętrach hierarchii. W związku z tym powstaje także realne niebezpieczeństwo korupcji, trudno bez niej coś w tym układzie przeprowadzić, a ko-

rupcja działa zawsze na dwie strony. Niebezpieczeństwa te grożą wykrzywieniem działalności prowadzonej przez fundację, przechwyceniem środków i poważnym obniżeniem skuteczności pomocy. Grożą także rozczarowaniem tych grup społecznych, które z działalnością fundacji wiążą nadzieje na poprawę i od których (rolnicy, grupy związane z działalnością parafialną itp.) skuteczność działania fundacji w największym stopniu zależy.

Nie mniejsze i po części z tego samego źródła płynące niebezpieczeństwa pojawiają się w sferze współpracy fundacji z istniejącymi przedsiębiorstwami prywatnymi. Przedsiębiorstwa te dopuszczone do działania w ramach lub na marginesie, układu gospodarki administrowanej znajdują się w sytuacji, która spycha je w działalność spekulacyjną i opanowane są w dużej mierze przez gangi żerujące na przymusowej sytuacji konsumenta. Nie mistyfikując jej, spekulację traktować trzeba jako przejaw działania praw rynkowych w warunkach administracyjnych ograniczonej wymiany i braku podstawowych produktów. Zasadą działania systemu gospodarki administrowanej jest ograniczenie wymiany, zaś niedostatek produktów jest w jej ramach zjawiskiem trwałym. Ze względu na zasadniczą niezdolność gospodarki administrowanej do zaspokojenia potrzeb konsumenta, działalność przedsiębiorstw prywatnych jest tolerowana i tak zwany „drugi układ gospodarczy” poważnie wzrósł ostatnio we wszystkich krajach, gdzie ten system ekonomiczny działa.

Ograniczenia i nadzór administracyjny nad przedsiębiorstwami prywatnymi dopuszczonymi do działania korumpować musi obie strony, zaś koszty tego płaci konsument. Wysokie, w stosunku do poziomu płac, ceny nie pobudzają jednak wzrostu produkcji. Spekulacja polega na monopolu sprzedawcy i w tych warunkach wysokie zyski osiąga się nie z rozwinięcia produkcji, ale z utrzymywania, czy nawet wywoływania niedostatku produktów na rynku. Na spekulację nie ma innego środka (doświadczenia wojenne i powojenne wyraźnie o tym mówią) jak zniesienie ograniczeń administracyjnych i otwarcie rynku dla swobodnej konkurencji. Tylko wtedy powstają impulsy dla wzrostu produkcji artykułów najbardziej pożądaných. Na takie zmiany systemową jak dotąd w Polsce się nie zanoszą, a wprowadzone modyfikacje („reformy”) dopuściły do korzystania ze spe-

kulacji także przedsiębiorstwa należące do układu administrowanego i dały szersze możliwości bogacenia się klikom i jednostkom na różnych piętrach nadzoru. Spekulacyjny charakter działalności ekonomicznej uzyskał zatem trwalsze podstawy i oddziałuje na każdą inicjatywę gospodarczą, jaką się w Polsce podejmuje. Doświadczyły tego przedsiębiorstwa polonijne (i wszystkie zresztą firmy zagraniczne w Polsce). Istnieją silne oczekiwania, że fundacja uwikłań takich uniknie, lub przynajmniej, że będą miały one charakter marginesowy i będą mogły być potraktowane jako nieuniknione koszty, które trzeba było i warto było ponieść. Niebezpieczeństwo jednak, że fundacja przekształcona zostanie w element rynku spekulacyjnego operującego w symbiozie z układem administrowanym jest bardzo realne i problem, jak tego uniknąć lub co zrobić, by koszty tego były jak najmniejsze, jest sprawą poważną, wartą przemyślenia.

Trzeba się liczyć wreszcie, że skoro pomoc fundacji nie obejmie wszystkich rolników a tylko niektórych, to powstają niebezpieczeństwa przechwycenia tej pomocy przez grupy rolników najbogatszych, dysponujących największymi środkami na zakup materiałów i urządzeń, w szczególności traktorów, przez fundację dostarczonych. Grupy, o których mowa, nastawione są na bogacenie się, a to w Polsce niekoniecznie wiązać się musi z rozwijaniem działalności produkcyjnej. Weźmy dla przykładu traktory. Przy braku paliwa i monopoli państwa na rozprawdzanie materiałów pędnych, smarów etc. traktory mogą w ogóle stać. Ale mogą być również wykorzystane dla uzyskania przydziałowych paliw i sprzedania ich z zyskiem na czarnym rynku. Nie jest obojętne, kto traktory te dostanie i jak je będzie wykorzystywał. Dysponująca największymi kapitałami grupa najbogatszych rolników wcale nie gwarantuje najbardziej społecznie pożądanego i skutecznego wykorzystania pomocy, jaką fundacja polskiemu rolnictwu przynosi.

Czy wobec tak realnych niebezpieczeństw wykrzywienia działalności fundacyjnej istnieją szanse, by pomoc dotarła do rolników i wykorzystana została na cele produkcyjne? Szanse takie istnieją. Stwarza je, po pierwsze, patronat Kościoła, który w największym stopniu zapewnić może uczciwe rozdzielnictwo. Pokazała to nadzorowana i organizowana przez Kościół akcja

pomocy żywnościowej dla Polski. Szanse, że pomoc nie zostanie roztrwoniona – jak to stało się z kredytami w latach siedemdziesiątych, które teraz trzeba spłacać – mogłyby być bardzo wzmocnione, gdyby przy parafiach powstały grupy rolników zorganizowane dla podjęcia współpracy z fundacją. Opinie tych grup pomóc mogłyby już w korekturze programu. Główną ich rolę byłoby jednak zabezpieczenie dotarcia środków przez fundację rozdzielanych do odbiorców, to jest rolników (wymagałoby to nadzoru nad transportem i składowaniem), opiniowanie i nadzór nad rozdziałem środków wśród tych rolników, którzy dają największe szanse ich produkcyjnego wykorzystania, zorganizowanie grup (spółdzielni – niekoniecznie formalnych, a na pewno powstających poza istniejącymi organizacjami spółdzielczymi) dla prowadzenia działalności przekraczającej siłę i możliwości pojedynczego producenta (głównie punkty 3, 4, 5 i 6 programu), zorganizowanie i nadzór na transakcjami kredytowymi z fundacją (być może w formie parafialnych kas), zorganizowanie wreszcie sprzedaży produktów rolnych.

Trzeba jeszcze raz o tym powiedzieć, że nawet jeśli pomoc dotrze do rolników i zostanie przez nich produkcyjnie wykorzystana, to stanowi to ważną, ale częściowo zaledwie odpowiedzialny problem, jak poprawić zaopatrzenie kraju w żywność. Tak, jak bez paliw traktory będą stały, tak bez zapewnienia skupu produktów (a tu bardzo ważne są ceny), transportu, magazynowania i sprzedaży (tu znowu ważne ceny) wzrost produkcji, nawet jeśli nastąpi, nie będzie mógł się wyrazić w poprawie zaopatrzenia ludności. Na tę sferę działalności gospodarczej fundacja nie ma wpływu. Działalność taką jednak mogłyby podjąć grupy rolników współpracujących z fundacją przez nawiązanie bezpośrednich kontaktów z konsumentem. Oznaczałoby to formowanie się układu niezależnego tak od centralnego monopolisty i dystrybutora, to jest instytucji scentralizowanego układu gospodarki administrowanej, jak w znacznej mierze niezależnego także od spekulacyjnego rynku i wpływającego nań ograniczająco. Powstanie układu niezależnego, konkurencyjnego w stosunku do gospodarki administrowanej i spekulacyjnego rynku, byłoby już jednak poważną zmianą w systemie ekonomicznym Polski.

Warto przyrzeć się tej sprawie uważniej, gdyż jest ona decydująca dla szans odrodzenia się polskiego rolnictwa i polskiej gospodarki w ogóle, zaś fundacja (a raczej grupy producentów współpracujące z fundacją) może oddziaływać jako ważny impuls.

Szansę na zmiany systemowe nie są wielkie, ale zmiany te mają charakter decydujący. Rolnictwo w Polsce, i nie tylko w Polsce, zostało zniszczone wskutek zasadniczych wad monopolistycznego i centralnie administrowanego systemu gospodarczego, narzuconego społeczeństwu przez władze polityczne. W ramach tego systemu rolnictwo i w ogóle sektory służące potrzebom konsumpcyjnym, są na drugim planie wobec sektorów służących celom politycznym i militarnym – utrzymaniu i rozszerzeniu kontroli nad społeczeństwem – oraz wobec sektorów pracujących dla eksportu im podporządkowanym. Funkcjonowanie systemu oparte na decyzjach politycznych skutecznie przeciwdziało rozwojowi sektorów obsługujących konsumenta (nawet gdyby istniały w nich mechanizmy motywacyjne rozwoju), gdyż w przeciwnym razie nastąpić by mogło przesunięcie środków na ten cel, a więc ograniczenie sektorów dla władzy podstawowych. W wyniku tego w Polsce i w innych krajach bloku, rolnictwo nie ma szans wyjścia ze stagnacji. W stosunku do prywatnego rolnictwa w Polsce, stagnacyjne działanie systemu wzmocnione zostało przez planową politykę „ograniczania i wypierania” sektora traktowanego jako potencjalnie niezależny, a więc i obcy. Zaniechanie kolektywizacji nie przyniosło zaniechania „socjalistycznej przebudowy rolnictwa” a iluzję, że cel taki może być osiągnięty przy produkcyjnym rozwoju rolnictwa prywatnego, szybko się rozwiały. Polityka rolna lat siedemdziesiątych nastawiona była nie na rozwój gospodarki prywatnej, ale na jej eliminację i zastąpienie przez gospodarstwa państwowe, przy tolerancji dla „wyspecjalizowanych” przedsiębiorstw prywatnych, które w symbiozie z gospodarką państwową nastawione były na działalność spekulacyjną.

Bez zmian systemowych rolnictwo w Polsce (jak inne działy obsługujące konsumenta) nie może się na trwale podźwignąć. Żadna pomoc doraźna i żadna fundacja same z siebie zmian takich nie dokonają. Zmiany zależą od sił masowych w społeczeństwie. Są one w pewnym zakresie możliwe (wskazuje na to przy-

kład Węgier), jeśli władze polityczne zdecydowane byłyby poważnie potraktować postulaty konsumentów i rolników wbrew opozycji grup interesów wyrostłych i okrzeplonych na gruncie administrowania gospodarką. Siły polityczne kontrolujące gospodarkę polską nie wydają się być skłonne do wprowadzenia zmian systemowych mimo społecznej presji. Najlepiej stanowisko tych sił wyraził R. Kosolapow (*Prawda* z 4-go marca 1983 r.) stwierdzając, że źródłem konfliktów w Polsce jest układ kapitalistyczny (prywatne rolnictwo) tolerowany przez władze. Teraz, gdy prywatne rolnictwo korzystać będzie z pomocy zagranicznej, i to pomocy udzielanej pod patronatem Kościoła, polskie rolnictwo określane będzie zapewne jako „imperialistyczna agentura”. Z takim stanowiskiem trzeba się liczyć, to znaczy liczyć się trzeba z tym, że dysponujące dużymi środkami siły polityczne dążyć będą do wyeliminowania fundacji tym bardziej, im większe sukcesy ona odniesie, nie dając się zmienić w instrument działania władz lub zepchnąć do układu spekulacyjnego, a przeciwnie, stworzy okazję i impuls dla powstawania niezależnego układu gospodarczego.

Wyłomy w systemie gospodarki administrowanej centralnie nie są zjawiskiem nowym (precedens stanowił pod tym względem NEP), zawsze jednak były ustępstwem na krótki okres. Czy nabrać mogą trwałości zależy od presji społecznej z jednej strony, nacisków zewnętrznych z drugiej i w niemałej mierze od układu sił (grup interesów) wewnątrz klasy rządzącej. Szanse sukcesu presji społecznej są niewielkie, ale są to szanse jedyne, próbować ich trzeba, gdyż nie ma innej alternatywy.

Osobną sprawą, o której trzeba w końcu powiedzieć, gdy omawia się program działania fundacji rolniczej, jest kierunek rozwoju polskiego rolnictwa, zakładając, że będą możliwości wyboru. Czy kierunek ten wyprowadzić można z programu fundacji? Jest to sprawa bardzo kontrowersyjna. Program pomocy utrzymany jest w schematach akcji podejmowanych dotąd dla krajów rozwijających się. Technologiczny i organizacyjny wzór rolnictwa, określający kierunki działania pomocy, jest wzorem rolnictwa USA i krajów Europy Zachodniej. W tych krajach jednakże rolnictwo przeżywa trudne problemy przeinwestowania, a więc rosnących kosztów produkcji oraz niekorzystnych

(ekologicznie, ekonomicznie i w szerokim zakresie społecznie) konsekwencji stosowanej i rozwijanej technologii (*hard technology*). Oparta na tych wzorach pomoc dla rolnictwa w Trzecim Świecie przyniosła wiele efektów niepożądanych, między innymi w postaci zależności od korporacji produkującej i sprzedającej technologię rolniczą oraz spauperyzowania podstawowych warstw ludności rolniczej, które straciły możliwości samozaopatrzenia. Nie można sądzić, że w Polsce, kraju o bardzo ograniczonych zasobach ziemi użytkowej rolniczo, dużych zasobach źle wykorzystanej pracy, niedostatku środków, fałszywej strukturze przemysłu plecami odwróconego od rolnika i konsumenta, technologiczny profil rolnictwa, dający się odczytać z programowej koncepcji fundacji, da wyniki lepsze niż gdzie indziej. Poszukiwanie rozwiązań właściwych leży raczej na drodze nowatorstwa przede wszystkim technologicznego (*soft technology*). Tego elementu nowatorstwa w programie fundacji nie ma. Czy wynika stąd, że należy ją odrzucić? Nie, ze względów przedstawionych wyżej należy ją przyjąć z uznaniem i wykorzystać tak szeroko, jak warunki na to pozwolą. Nie należy z niej jednak wprowadzać pożądanego profilu technologicznego polskiego rolnictwa na przyszłość.

Bogusław Gałęski

zachód wobec wschodu

Jańczak Borygo

BORYGO KONTRA BESANÇON

Krajowca urlopującego się od męczącej i skrzeczącej nadwiślańskiej rzeczywistości czy obolałego neo-emigranta czeka na Zachodzie wiele miłych wrażeń. Oto media tamtejsze pełne są sygnałów o przebudzeniu się Zachodu do bezkompromisowej walki z komunizmem. Nie są to już jakieś oderwane moralno-polityczne inicjatywy. Podczas specjalnych sesji naukowych analizuje się różne perfidie sowieckiego systemu. Oddaje się głos świadkom i dokumentom. Demaskuje się komunizm historycznie, aktualnie i jako przyszłe niebezpieczeństwo dla ludzkości. I wreszcie problem traktowany jest poważnie, to jest skomercjalizowany przez film, sensacyjną prasę i powieść.

Do lektur poważnych należą sowieciologiczne eseje Alaina Besançona. Jak prosto i logicznie potrafi Besançon sformułować to wszystko, co nieraz chodziło człowiekowi po głowie. Jak mógł Związek Radziecki wśród absurdów i zbrodni dotrwać aż do roku 1984? Jakim sposobem wciąż jeszcze w tymże bieżącym roku 1984 jest tolerowany na świecie? Co za pech, że Besançon czy ktoś inny w porę nie wpadł na tę uderzającą antykomunistyczną prawdę i nie rozgłosił jej publicznie. Czytelnik Besançona gotów się w tym miejscu zgorszyć nawet własnym kosztem: jak mógł się łudzić, jak śmiał myśleć kategoriami układów, kompromisów, może nawet wypada przyznać się samemu sobie, współzycia z demonicznym tworem komunizmu. Demonicznym, tak, skoro,

jak podkreśla Besançon, nie podobnym do niczego dotąd w historii. I tajemniczym, bo zrozumiałym wyłącznie dla tych, którzy go doświadczyli. I do potęgi demonicznym, bo wspartym na ciemnych stronach natury ludzkiej.

A więc Besançon podjął się opisanego nieopisanego. Nazwania rzeczy po imieniu. Ale raz po raz chłód, precyzja opisu splata się z pamfletową namiętnością w stylu de Maistre'a czy Blois. Osobistą namiętnością: Besançon traktuje zwalczanie komunizmu jako misję. A zwłaszcza nie może sobie darować własnego komunistycznego epizodu: że też się mógł dać tak nabrać. I szczególniejszą awersją żywi do rozmaitych poputczyków, popleczników, sympatyków, którzy mogliby wiązać z komunizmem jakieś umysłowe nadzieje. Czytając Besançona, ma się chwilami wrażenie, że właśnie tacy ludzie naiwni i niemądrzy stanowią główną groźbę dla wolnego świata.

A co proponuje Besançon zrobić z samym komunizmem? Otóż właściwie nic. Z genezy opisu i oceny Besançona wynika, że właściwie należałoby komunizm niezwłocznie wypalić ogniem i żelazem, popioły wrzucić do rzeki zapomnienia. A jednak Besançon wojny nie lansuje. To rozumiałe, tylko że jednocześnie odmawia sensu wszelkim przefargom. Powołuje się na Lenina, na słynny sznur, który kapitaliści plotą dla własnej zguby. Wydawałoby się, że sprawą odnośnych resortów wolnego świata (wojskowych i kontrwywiadowczych) jest odpowiednio zabezpieczyć się przed groźbą. Że wystarczy nie dać się powiesić, patrzeć na ręce, nie dowieść i należy dalej się targować, bo nie ma innego wyjścia. Lecz nie, Besançon czuje się intelektualnie obrażony. Nie chce uczestniczyć w beznadziejnej sprawie. Według niego bilans odprężenia jest fatalny, a komunizm nie daje się reformować. Besançon obraża się trochę jak lekarz, któremu pacjent się nie poprawia, misjonarz, który nie znajduje sukcesów wśród dzikusów, człowiek interesu, którego partner chce wykiwać. A poza tym ma przecież jasne i proste wyjście. Pozostawić komunizm jako przypadek beznadziejny samemu sobie. Przede wszystkim nazwać i opisać. Następnie zbojkotować. Odmówić racji bytu.

Przednia myśl, wtóruje Besançonowi w duchu jego nadwiślański entuzjasta i zaraz się zastanawia, jak z kolegami przyczyniał się do jej realizacji. To przykre, ale nie jest pewne, czy kolpor-

towanie ulotek, kółka samokształceniowe, nawet wysmarowanie hasła na murze posuwa sprawę naprzód. Może nawet jest niepożądane z punktu widzenia globalnej strategii antykomunistycznej, bo wynikałoby z tych działań, że przy komunistach da się jeszcze coś zrobić. A równocześnie nasz wolnościowy turysta podejrzewa, że chce mu się popsuć tę chwilę radości, jaką sprawia nagłe poczucie bezpieczeństwa, swobodny dostęp do wszelkiej zakazanej lektury, ogólna obfitość i beztroska, nawet jeśli nie bierze czynnego w niej udziału. Słyszy bowiem od ludzi znających się na rzeczy, że dał się okrutnie nabrać. Tłumaczą mu emigranci warszawscy, jak nie zaznali spokoju w Mediolanie, bo Brigade Rosse sterowane z Moskwy destabilizowały biedne włoskie państwo. W Paryżu znów, mówi życzliwy Francuz, uwaga z mówieniem przez telefon, bo komunistyczni łącznościowcy kierowani przez członka partii, ministra poczt i telegrafów Fitermana gotowi są wszystko podsłuchać i przekazać gdzie trzeba. My tu sobie gadamy na słoneczku, a za rogiem aktywiści partyjni, nie tracąc ani minuty czasu, wciskają ludziom *l'Humanité*. Podobno we Florencji śpiewacy pokłócili się z dysydemem teatralnym Lubimowem? Ani chybi ręką Berlinguera. Więc wobec tej całej grozy dobrze wychowany krajowiec powinien czuć się głupio. Oto wygodnie umościł się w brzuchu czerwonego wieloryba, podczas gdy Zachód ma niemiłą perspektywę połyku jeszcze przed sobą. A poza tym skoro front walki z komunizmem ustala się gdzieś na Sekwanie, nie wypada upominać się o Wisłę czy Dunaj. Trudno wytłumaczyć, że narażony jest Teatr na Tagance czy Uniwersytet Warszawski bardziej niż powiedzmy Uniwersytet Paris-St. Denis, skoro tu na miejscu ludzie są wyraźnie przeciążeni czujnością, zmęczeni niefrasobliwą ślepotą własnego społeczeństwa.

Cały ten snobizm mógłby się wydać naszemu bohaterowi sympatyczny: w końcu ludzie mieszkający na Zachodzie tłumaczą mu się, nawet (do pewnego stopnia) zazdroszczą. Ale za pozą, za tą modą kryje się sporo prawdziwego strachu. A kto się boi komunizmu na Zachodzie? Otóż właśnie zawodowcy, ci co alarmują, co chcą bronić wolnego świata. W tym momencie nasz bohater odczuwa coś w rodzaju zgorznienia. Oczywiście, sam się boi i raczej miałby się czego bać. Tyle że umówił się z kolegami, że nie będą się wzajemnie zastraszać. Tymczasem efektowne de-

monologiczne wywody Besançon'a i idiotyczne filmy z „każebe” w roli głównej (przepraszam z góry za to zestawienie) próbują zafascynować normalne zachodnie społeczeństwo sposobami absolutnie niedostępnymi dla radzieckiej maszyny propagandowej. Wyobraźmy sobie miny funkcjonariuszy policji politycznej w Moskwie, gdyby mogli się zapoznać z rolą, jaką ich resort odgrywa w pseudopolitycznym showbusinessie na Zachodzie. Przede wszystkim KGB jako instytucja sataniczna musi być atrakcyjna, musi być równorzędnym przeciwnikiem CIA. Kogóż więc zatrudnia? Na przykład zagadkowo piękne kobiety przeszkolone w chwytach miłosnych. Są tam szachiści i telepaci. Sprzedajni geniusze elektroniki, precyzyjni mordercy. Pieniędzy mają w bród, czasem po efekciarsku płacą czystym złotem. To prawda, że przy okazji łamią wszelkie prawa boskie i ludzkie, ale czymże innym jest ostry non-konformizm. I tak śmieszac, tumaniając, straszac publiczność wszystko banalizują. Uznaje się zbrodnie za normę postępowania szatańskiej instytucji. Więc kiedy tajna policja odbije komuś nerki w jednej ze stolic Układu Warszawskiego, trudno udawać zdziwienie, kto chce może nawet mówić o względnej liberalizacji systemu. A swoją drogą, obywatel świata zachodniego, który wybiera się za żelazną kurtynę, uprzytomni sobie być może w porę tę czy inną anegdotę. Namyslił się; czy warto narażać siebie i dzielnych dysydentów przez jakieś telefony albo spotkania. Ponieważ (tu następuje zwulgaryzowanie myśli Besançon'a, który za reklamę policji politycznej nie odpowiada rzecz jasna) może mieć do czynienia z ludźmi nieobliczalnymi, inaczej skonstruowanymi mentalnie. I często szlachetna emocja, albo pokusa spróbowania politycznego safari zostają podważone. Natomiast utwierdza się przekonanie, że jednak najlepiej można się przeciwstawić komunizmowi u siebie na miejscu, w przyzwoitych, bezpiecznych warunkach.

Zresztą, co się dziwić amatorom, ochotnikom, skoro zdaniem piszącego te słowa pod pseudonimem, boi się komunizmu sam Alain Besançon, autor książek konspiracyjnie tłumaczonych, drukowanych, czytanych w wielu krajach bloku wschodniego. I nie można się Besançonowi dziwić, skoro żywi przekonanie, że Zachód nie potrafi sprostać odprężeniu, że przegrywa na nim. Ze swojego punktu widzenia Besançon ma rację. Do rozgrywki

w stylu *détente* przystępowałby bowiem niewygodnie uzbrojony. Na komunizm pragnie stosować wyłącznie antykomunizm, chociaż w tej płaszczyźnie przeciwnik radzi sobie doskonale, a w repertuarze nienawiści i pogardy jest nie do pobicia. Gorzej natomiast idzie komunizmowi z religią, tolerancją i demokracją. Nie rozumie tych pojęć, może je tylko niszczyć. W otwartej konkurencji, dla której *détente* stwarza jednak pewne szanse, komunizm rozmiękcza się i rozpuszcza od religii – tolerancji – demokracji niczym chłytynowy pancerz pod wpływem odpowiedniego enzymu. Lecz Besançon chciałby używać religii w konkretniejszym celu instrumentalno-politycznym (patrz znany artykuł „Drugie milczenie Kościoła”, *Kultura* nr 3, 1983). Tolerancji zaś czy demokracji wyraźnie nie chce stosować wobec wrogów demokracji oraz tolerancji. Besançon z natury swojej umysłowości nie wierzy w utopię, nie lubi jej. Co do naprawiania świata nie bez racji pamięta ten motyw z demagogii komunizmu. I znów emocjonalnie nie chce o nim słyszeć, nawet jeśli miałby podziałać w odwrotnym, zbawiennym kierunku.

Jako pesymistyczny demonolog Besançon zbliża się do Zinowiewa, który obwieścił światu narodziny *Homo Sovieticus*. Stosunek Zinowiewa do własnego odkrycia zawierał od początku element fascynacji. Z upływem czasu, sądząc po deklaracjach pisarza, w których coraz trudniej dopatrzeć się czystej przewrotności intelektualnej, stosunek ten niepokojąco pozytywnieje. Besançon jest wprawdzie zupełnie niewrażliwy na uroki *Homo Sovieticus*, ale zdaje się wierzyć w zaistnienie takiej nowej rasy ludzkiej, ponieważ to by pasowało do wizji świata, którą uprawia. W myśl bezwzględnej logiki Zinowiewa, jego bezlitosnej obserwacji, społeczeństwo radzieckie jako masa jest z siebie zadowolone. Tym samym nie można, nie warto, nie wypada nawet podejmować jakichś wysiłków na rzecz liberalizacji tamtejszych stosunków. Odwrotnie Sołżenicyn, który twierdzi, że na bezkręśnych obszarach między Baltykiem a Pacyfikiem ludzie cierpią, tęsknią do spirytualizmu, do wolności, przeklinają reżim. I tutaj Besançon, który przed paroma laty przenikliwie skrytykował antyzachodnie kompleksy w harwardzkim przemówieniu Sołżenicyna*, zdaje się w decydujący sposób oddalać, i tym wy-

* A. Besançon, „Sołżenicyn i Zachód”, *Aneks* nr 22.

rażniej zbliżać do Zinowiewa. Ten ostatni bowiem zwalnia Zachód z wszelkiej filantropii moralnej, obiektywnie ośmiesza różne rachuby na przepływ idei, na duszę rosyjską, na radziecką rewolucję technokratyczną, itd. itp. Besançon to chyba urzędnik, nie musi się patyczkować, wnikać w radzieckie uwarunkowania, narażać na niejasne sytuacje. Uważając komunizm za groźną chorobę ludzkości, Besançon brzydzi się jej, boi się zarażenia, nie poczuwa się jako człowiek Zachodu do jakiegś współodpowiedzialności, stawia diagnozę i zaleca izolację.

Tylko że Sołżenicyn w swoim uporczywym, być może naiwnym, zapewne nie odpowiadającym aktualnej rzeczywistości, przecenianiu potrzeb duchowych i obywatelskich człowieka znajdującego się od sześćdziesięciu lat pod władzą radziecką, ma jakiś pomysł przeciwdziałania sowietyzacji, poczynając od jej źródła. Natomiast ambicje Zinowiewa i Besançona, przy wszystkich między nimi różnicach, łączą się głównie w satysfakcji nazwania rzeczy po imieniu. I w ogóle mało realne próby naprawiania świata zdają się uważać za grzech przeciwko rozumowi ludzkiemu. Sołżenicyn wierzy w Boga, w naród rosyjski, w zwycięstwo dobrego nad złem. I ta wiara jest stokroć istotniejsza, również politycznie, od wszelkich anachronizmów, jakie im towarzyszą. Natomiast Besançon starannie, elegancko oczyszczony ze złudzeń, chce postawić do kąta połowę świata i nie mieć dla tej połowy żadnego pozytywnego pomysłu i sam grzęźnie w nieładnej, niemądrej i niebezpiecznej utopii.

Spośród całego bogactwa idei, które Zachód mógłby skutecznie przeciwstawić komunizmowi, Besançon najbardziej przywiązany jest do własności prywatnej. Dokonano już rehabilitacji tego pojęcia, uznano, że pomysłowość jednostki składa się na dobro ogółnośpoleczne, że własność prywatna decyduje o niezależności, o wolności. Pisze Besançon, że prywatny dom otoczony gazonem „nie mieści się” w pejzażu radzieckim. Przyjmuje ten widoczek jako symbol życia zachodniego. Tylko że wobec demonicznej według Besançona siły komunizmu wartość samoobronna właściciela domku z gazonem jest względna. Stuprocentowa skuteczna w obrębie własnej parceli, nieporównanie słabsza, gdyby chodziło o sąsiada, zaś dalsze zagrożenie czy zaangażowanie traci już abstrakcją. Trudno wytłumaczyć właścicielowi ta-

kiego domku, żeby na przykład nie handlował z dęmonem, który podobno niby chce mu rozjechać gazon czołgami, ale póki co dobrze płaci. Ponieważ dzięki korzyści handlowej można będzie jeszcze powiększyć gazon, umocnić wolność.

Otóż Zachód powinien być, jeśli rozwijać dalej styl rozumowania Besançon, takim wielkim, gustownym domem pośrodku gazonu chronionym przez płot wystarczająco wysoki, aby mieć święty spokój i nie interesować się tym, co się za owym płotem dzieje. I akurat takie ogrodzenie powstaje w postaci europejskich Pershingów. My z drugiej strony płotu bardzo się cieszymy z ich perfekcji, staramy się sobie wytłumaczyć, że jest ona po naszej stronie. Ale jeśli ma to być futurystyczna wersja chińskiego muru albo Linii Maginota, jeśli Pershingi mają wraz ze swoimi kuzynami SS-20 przypieczętować podział świata, to podobają się nam znacznie mniej. Nie modlimy się o żadną wojnę powszechną ludów, nie potrafimy sobie nawet jej wyobrazić. Natomiast doskonale możemy sobie wyobrazić zimną wojnę. A więc odcięcie od cywilizacji i kultury zachodniej. Rozszerzenie formuły Urbana, iż „rząd sam się wyżywi” na sferę kontaktów ze światem. Ten kontakt utrzymywalibyśmy wówczas za pośrednictwem swoich przedstawicieli. Oni właśnie, pijąc w naszym imieniu wino Chablis do odpowiedniej ryby, informowaliby nas o kryzysie gospodarczym i moralnym Zachodu. Wcale nie jest wykluczone, że ignorancja z propagandą potrafiłyby wywołać w naszym społeczeństwie nastroje antyzachodnie, oparte na kompleksie ubogich, opuszczonych krewnych. Od Związku Radzieckiego nikt się w Polsce niczego zbyt miłego nie spodziewa, natomiast żale, pretensje wobec Zachodu mają już długą historyczną tradycję.

Po prostu, jeżeli świat zostanie przedzielony płotem rakietowym, my znajdziemy się po tej ciemniejszej stronie i wkrótce wolno będzie mówić nie tyle o różnicach ustrojowych, ile obiektywnych, cywilizacyjnych. Ten bogaty świat miałby lepszych piłkarzy, śpiewaków operowych, ludzie zajmowałiby się ochroną środowiska i liberalizmem. A po drugiej stronie płotu oświetlenie byłoby słabsze, kuchnia niesmaczna, chemizowana, gorszy orgazm i cięższy przemysł. Ten ostatni świat dostarczałby pierwszemu surowców oraz wyjątkowych talentów, które aby się tam dostać musiałyby przebić się u siebie i zapłacić odpowienie fry-

cowe. I tak jak kiedyś byłby porządek. Miejsce urodzenia decydowałoby o losach człowieka. Jeśli ktoś urodziłby się w Chabrowsku, musiałby zostać geniuszem, aby zrównać się z mieszkańcami Paryża. Byłby to system skrajnie motywacyjny i frustrujący zarazem. Ale tu pamiętajmy o zawsze obecnych w historii niecierpliwych barbarzyńcach, którzy nie mają nic do stracenia. O słynnym wierszu Kafawisa: „ci ludzie byli jakimś rozwiązaniem”, o wielkiej niszczącej sile, jaką stwarza nierówność narodów, egoistyczny podział świata. O tym, że póki nie wszyscy bagatelizować będą głodujących analfabetów i bez zastrzeżeń popierać restaurację dla psów, utopia pozostanie potężną bronią, która może być użyta dla dobra albo na zgubę ludzkości.

(Tu autor zawstydzony własnym użytkowym moralizowaniem musi się przyznać, że boi się zimnej wojny, że to jemu osobiście wygląda ona nieładnie, niemądrze, niebezpiecznie, że pewnie wolałby w dwuznacznej atmosferze odprężenia przechować się do lepszych czasów.)

Dobrze się czyta Besançon'a na Zachodzie, ale jeśli się wraca, lepiej się jego wywodami zbytnio nie przejmować. Przykra sprawa, ale nam, chytrym i naiwnym wolnościowym kombinatorom z drugiej strony płotu nic ciekawego właściwie nie proponuje. Ani emigracji ogólnonarodowej, ani światowego powstania. Zapewne izolacja obozu jest życzeniem wielu radzieckich przywódców, ale nie należy im sprawy ułatwiać, podobnie jak nie przystoi Zachodowi się samozastraszać. Dla nas wnioszek z lektury Besançon'a: trudno, ale niestety interesy ludzi miłujących wolność niekoniecznie bywają identyczne; bezpieczniej może dla własnego samopoczucia schronić się w lokalny, sprawdzalny światek małych sukcesów i porażek politycznych, nie zastanawiając się zbytnio nad przyszłością globu. I według wypróbowanej metody, z odrobiną kokieterii, z nieco wypielegnowaną naiwnością, być przygotowanym na najgorsze, spodziewać się najlepszego. Co mimo wszystko brzmi lepiej niż słowa Herberta z 1956 roku: „będziemy uprawiali / nasz kwadrat ziemi / nasz kwadrat kamienia / z lekką głową / papierosem za uchem / i bez kropki nadziei w sercu”.

Alain Besançon

ODPOWIEDŹ

Mój przyjaciel Aleksander Smolar streścił mi artykuł „Borygo kontra Besançon”, ale nie jestem pewien, czy w pełni pojąłem argumenty mego krytyka. Proszę go więc – i czytelników tych uwag – o wyrozumiałość, jeżeli moja odpowiedź nie jest w pełni zadowolająca.

1. „Nie mogę sobie darować, iż byłem komunistą”. Byłem nim istotnie w latach studiów (od 1951 do 1956). Fakt ten, dość powszechny w moim pokoleniu, długo wydawał mi się jedynie młodzieńczym głupstwem. Ale z czasem, gdy jako historyk dokonywałem bilansu komunizmu, gdy poznawałem go bezpośrednio w czasie podróży do ZSRR i Polski, coraz bardziej byłem skłonny widzieć w tej omyłce młodości poważny błąd; błąd trudny do wybaczenia szczególnie przeze mnie samego, pomimo okoliczności łagodzących, które można by przywołać.

2. „Nie proponuję, co zrobić z komunizmem”. Istotnie, nie mam do zaproponowania żadnego programu politycznego opozycjonistom żyjącym w „państwie diamentu” *, albowiem oni sami muszą go sformułować, uwzględniając warunki kraju i podejmując rzeczywiste ryzyko, od którego nie mogę ich uwolnić.

* Aluzja do formuły, którą posługiwał się kardynał Wyszyński (przyp. red.).

Mogę natomiast przyczynić się do pogłębienia wiedzy na temat komunizmu. Komunizm opiera się na uwiedzeniu intelektualnym, na zatruciu umysłów i nie można prowadzić z nim skutecznej walki bez głębokiego zrozumienia jego istoty i bez uwolnienia naszych myśli od pomieszania pojęć, które w tym przeszkadzają. Wrogość w żadnym wypadku nie wystarczy, co historia aż nadto dobrze pokazuje. Partia komunistyczna będąca u władzy godzi się z tym, że jest nienawidzona, wie bowiem, iż jej władza opiera się na swego rodzaju tajemnicy co do jej celów i podejmowanych działań; nie jest natomiast skłonna tolerować ujawnienia owej tajemnicy. W analizie, która powinna być możliwie najbardziej chłodna i koherentna, nie ma miejsca na oburzenie moralne. Może się ono jednak wyrażać w stylu.

3. „Chciałbym używać religii w celu politycznym”. Nie rozumiem tego zarzutu. Religia, która by abstrahowała od wymiaru politycznego, byłaby religią fałszywą, albowiem dążyłaby do oderwania człowieka od jego natury *zoon politikon*. Nadto sprzyjałaby dążeniom komunistów pragnących zniszczyć życie zbiorowości, które jest w sposób naturalny polityczne i społeczne. To, co się dzieje w Polsce, nie daje się opisać jako przeciwstawienie religii polityce, którą mieliby reprezentować komuniści. To komunizm przeciwstawia się naturze, która jest zarazem polityczna, religijna, intelektualna, ekonomiczna i inna jeszcze...

4. „Opowiadam się za Zinowiewem przeciwko Sołżenicynowi”. Jest wręcz przeciwnie. Zinowiew przedstawił, w formie bardziej artystycznej niż pojęciowej, niezwykle głęboką i dokładną wizję komunizmu, która pod wieloma względami istotnie zbieżna jest z moją analizą. Jego stosunek do komunistycznego „zła” zabarwiony jest jednak pewną życzliwością, która wynika, jak się zdaje, z zafascynowania siłą. Sołżenicyn na pewno nie osiągnął tej głębi w analizowaniu „zła”, ale zdecydowanie trwa w przekonaniu, że „dobro” jest silniejsze i w końcu zwycięży. Jest to wybór metafizyczny, który w pełni podzielam.

5. „Jestem przywiązany do własności prywatnej”. Jest tak w istocie i to dla wielu powodów, z których najważniejszym jest oczywiście nierozzerwalny związek, jaki istnieje między własnością prywatną i wolnością. Wielcy myśliciele starożytni i najlepsi

nowożytni twierdzili, iż własność jest „święta”. Mieli rację w tym sensie, że odbudowanie jej, gdy uległa zniszczeniu, jest rzeczą bardzo trudną. Będzie to zadanie epoki post-komunistycznej. W międzyczasie byłoby rzeczą dobrą przywrócenie jej racji bytu przynajmniej w umysłach.

6. „Jestem przeciwny *détente*”. *Détente* jest sposobem postępowania świata komunistycznego w pewnych okolicznościach historycznych, mających w perspektywie służyć osiągnięciu zwycięstwa. Trudno – wydaje mi się – być zarazem wrogiem komunizmu i zwolennikiem *détente*, gdy *détente* jest bronią wybraną przez przeciwnika i przezeń stosowaną, gdy tylko uzna to za stosowne. W tej wojnie, której nie pragnęliśmy, ale która została nam narzucona, *détente* jest bronią niebezpieczną, ponieważ żeruje na naszym pragnieniu pokoju. Należy zachować świadomość, iż wojna trwa nadal i obrócić przeciwko wrogowi broń, która w nas mierzy. Wymaga to sztuki politycznej; sztuki, w której naród polski poczynił w ostatnich latach wielkie postępy.

Alain Besançon

ZESZYTY LITERACKIE

W numerze 8 (JESIEŃ 1984): Proza i poezja: Adam ZAGAJEWSKI, Nowe wiersze: Danił KIS, Czerwone znaczki z Leninem; Konrad W. TATAROWSKI, Ta chwila; Sasza SOKOŁOW, Palisandria; Jacek BIERZIN, Kiedy przyjdzie wiatr. Spojrzenia: Adam ZAGAJEWSKI, Solidarność i samotność. Europa środkowa: Aleksander SOŁŻENICYN, Pisarz-konspirator; Ludvik VACULIK, Czeski sennik. Interpretacje: Aleksander WAT, Kartki na wietrze; Jacek TRZNADEL, Zawsze jest jutro – o Mironie Białoszewskim; Milan KUNDERA, A jeśli powieś naprawdę zniknie. Listy z Paryża: Wojciech KARPINSKI, Czerwone koło. Emigracje: Maria KURECKA, Emigracja zaczęła się już w Monachium. Sylwetki: Ewa BIENKOWSKA, Portret kondotiera na tle pojazdu. Teatr: Andrzej LIEDER, Jeremiasz XX wieku – o „Katastrofie” Samuela Becketta. O książkach: Stanisław BARAŃCZAK, Skrzyżowanie. Notatki, Nowe publikacje, Noty o autorach.

Do nabycia w redakcji

(Cahiers Littéraires, 37 rue Geoffroy St. Hilaire, 75005 Paris).

Cena pojedynczego egzemplarza wraz z przesyłką – 41 FF (6,00 \$ USA);

poczta lotniczą – 50 FF (7,50 \$ USA).

Prenumerata roczna – 145 FF (20,00 \$ USA); poczta lotniczą – 180 FF

(25,00 \$ USA).

Georges Nivat

SPÓR O ROSYJSKI NACJONALIZM

„Całą moją argumentację dotyczącą tego sporu można by sprowadzić do mniej więcej takiego rozumowania: Rosja jest narodem chrześcijańskim i dlatego powinna zawsze postępować po chrześcijańsku. Wówczas argumenty moich przeciwników wyglądałyby w przybliżeniu tak oto: lud rosyjski jest najbardziej chrześcijański, tylko on jest autentycznie chrześcijański, tym niemniej jednak musi postępować pogańsko, kierując się swoimi własnymi interesami oraz prawem siły”¹.

Dyskusja z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku może rzucić światło na spór dzisiejszy: jaka jest natura rosyjskiego nacjonalizmu? W maju 1982 r. prezydent Reagan zaprosił przedstawicieli rosyjskich dysydentów: Sołżenicyna (zamieszkałego w Vermont), Siniawskiego (który przybył z Paryża), Czalidzego (który przyjechał z Nowego Jorku), pastora Vinza, Pawła Litwinowa, generała Grigorenko i parę innych osób. Sołżenicyn odmówił siedzenia przy jednym stole z ludźmi, którzy nazywają go „rosyjskim Chomeinim”². Co więcej, właśnie niedawno wiódł w czasopiśmie *Foreign Affairs* ostrą polemikę z doradcą prezydenta do spraw rosyjskich, historykiem Richardem Pipesem. W liś-

cie wyjaśniającym przyczyny odmowy Solżenicyn odcina się od zaproszonych na owo przyjęcie „politycznych emigrantów” i „radzieckich dysydentów”. „Nie jestem nacionalistą – pisze – lecz patriotą”. Gdyby rosyjscy patrioci doszli do władzy, dodaje, pierwszą ich czynnością byłoby przywrócenie niezależności ziemiom leżącym na zewnątrz ZSRR (w Afryce, Azji, Ameryce Środkowej, Europie Wschodniej), natychmiastowe przerwanie zbrojeń i otwarcie granic emigracji. „Ale, o dziwo, wcale nie zadowoliliby to pańskich doradców. Nazywają oni ten program «skrajnym rosyjskim nacionalizmem», wówczas gdy niektórzy pańscy generalowie proponują, by jednym nuklearnym wybuchem zmieść ludność rosyjską z powierzchni ziemi”.

Tytuł artykułu w *Foreign Affairs* mówi dokładnie to, co chce powiedzieć: „O niebezpieczeństwach jakie niesie Ameryce niewłaściwe zrozumienie Rosji”³.

W Związku Radzieckim, wśród dysydentów i w Stanach Zjednoczonych trwa spór na temat charakteru i żywotności rosyjskiego nacionalizmu. Dyskusja ta wiąże się z innymi kwestiami: czy ideologia sowiecka jest martwa? Czy naród rosyjski jest wchłaniany przez nację sowiecką, albo – mówiąc językiem demografii – czy traci swoją żywotność (spadek 1,5% rocznie w stosunku do innych narodów)? Czy duchowość rosyjska ma szanse odrodzenia zarówno w swojej tradycyjnej formie religijnej (prawosławie), jak w formach nowych? Debata ma aspekty historyczne, ekonomiczne, demograficzne, ideologiczne. Zajmiemy się przede wszystkim stronami polemicznymi. Dlaczego samo przypuszczenie, że znowu ożyje idea rosyjskiego nacionalizmu wywołuje tyle namiętności, a czasami nawet zlej wiary? W XVI wieku mnich Filoteusz rzucił znaną formułę: „Moskwa – trzecim Rzymem”. Współczesna rosyjska myśl nacionalistyczna ma dwa oblicza. Dla jednych neonacionalistów hasło „Moskwa trzecim Rzymem” jest prawdziwsze niż kiedykolwiek. Według innych – przeciwnie, odnowa narodowa wymaga właśnie zrezygnowania z jakichkolwiek pretensji do ideologicznego panowania na tej ziemi. Tylko prawidłowa ocena tych dwóch twarzy, „rzymskiej” i „antrzymskiej” może pomóc Zachodowi w rozstrzygnięciu pytania, czy Zachód ma się obawiać rosyjskiego nacionalizmu, czy też może mu zaufać?

Kiedy mowa o rosyjskim nacjonalizmie istnieje pokusa, by wszelkie rozważania rozpoczynać od schizmy między słowianofilami i okcydentalistami. Rozłam ów pojawił się w latach trzydziestych XIX wieku w kółku studentów zgrupowanych wokół Stankiewicza, z którego wyszli Bieliński i Bakunin, Hercen i Granowski, bracia Aksakowowie i Samarin. Trzeba znowu wrócić do poetyckich i płomiennych *Dzienników* Hercena, w których znajduje się najlepszy opis narodzin owego rozłamu. Słowianofile zarzucali swoim przeciwnikom, że są „niemieckimi Rosjanami”. Okcydentaliści drwili ze staroruskich strojów „Słowian”. Często wszak zapomina się, że obydwa obozy łączyła wspólna „okcydentofobia” – Hercen jest tego najlepszym przykładem. Gdy tylko lepiej poznał paryskich czy londyńskich mieszczan, wydali mu się straszniejsi niż rosyjski barin. Zniesienie pańszczyzny chłopskiej uważano za dowód „słowiańskości” raczej niż „zachodniości”. Znane są wszakże i słynne przypadki „nienawiści do ojczyzny”: będzie to *casus* Czaadajewa, który uznany został za szalonego, ponieważ twierdził, że Rosja jest krajem pozbawionym kultury, przypadek Piecznerina, który został irlandzkim mnichem...

Bardziej współczesny i bliższy dyskusji dzisiejszej jest spór z lat osiemdziesiątych. Znane jest nacjonalistyczne stanowisko Dostojewskiego na temat „problemu wschodniego”. Znana jest również jego definicja *uniwersalności* Rosji: Rosja – której wcieleniem jest Puszkina – zawiera w sobie wszystkie inne europejskie narodowości: francuską klarowność, angielski realizm, niemiecki pociąg do filozofii ⁴.

Otóż dzisiaj w Związku Radzieckim znowu wypływa na powierzchnię nowa idea uniwersalności rosyjskiej kultury – przeciwstawionej „ograniczonej” naturze francuskiej, niemieckiej, angielskiej itd. Setna rocznica śmierci Dostojewskiego w 1981 roku stała się okazją do zaskakującego powrotu tej idei, głównie w „nacjonalistycznym” piśmie *Nasz współczesny*. Właśnie na Dostojewskiego powołuje się Wadim Kozinow (urodzony w 1930) definiując „ogólnoludzki charakter rosyjskiego narodu” ⁵.

„Porównywanie Rosji ze starymi potęgami europejskimi, których historia toczyła się w kierunku diametralnie naszemu przeciwnym i dawno już wydała swe owoce, jest zabiegiem zby-

tecznym. Wiadomo, że charakter narodu Francuzów, Anglików czy Niemców jest tak odrębny, silny i swoisty, iż nie są oni zdolni do wzajemnego zrozumienia, wówczas gdy Rosja może równie łatwo pojąć francuską socjalność co praktycznego ducha angielskiego albo zawiloci niemieckiej filozofii. Jedni widzą w tym naszą wyższość; inni ze smutkiem stwierdzają nasz brak charakteru, który jest wynikiem reform Piotra (...). Opinia ta nie jest błędna, ale pierwsza również nie jest pozbawiona słuszności”.

Spór w kwestii naśladowania przez Rosję Zachodu bynajmniej nie jest zakończony. Rosyjska kultura często jest przedstawiana jako błada i nieforemna kopia Zachodu⁶. Nowością jest to, że dzisiaj w Związku Radzieckim teza o *uniwersalności* podejmowana jest tu i ówdzie przez obrońców „ducha” Rosji.

Sołowjow głosił *uniwersalizm* i przeciwstawiał się ówczesnym skrajnie słowianofilskim poglądom, przede wszystkim Danilewskiemu. Danilewski w książce *Rosja i Zachód* podał swego rodzaju typologię narodów, w której model słowiański przeciwstawiony był modelowi „germańsko-romańskiemu”. Sołowjow odróżnia ideę narodową od nacjonalizmu. Rosyjską ideę narodową charakteryzuje – wedle Sołowjowa – *samowyrzeczenie* i *uniwersalizm*. Świadectwem samowyrzeczenia jest między innymi „przywołanie Wargów”, aby rządzili krajem oraz przeprowadzona przez Piotra I-go europeizacja. Nacjonalizm byłby równoznaczny ze zwyrodnieniem rosyjskiej idei narodowej. Sołowjow zwalcza rosyjski nacjonalizm: ulec mu – to znaczy wyrzec się *uniwersalizmu* i popaść w *kanibalizm*. Przypominam te podstawowe pojęcia „rosyjskiego problemu narodowego” u Sołowjowa (który głosił połączenie Cerkwi prawosławnej z Kościołem Piotra w jeden „Kościół uniwersalny”), ponieważ odegrały one podstawową rolę w formowaniu się nacjonalizmu Sołżenicyna. W *Pierwszym kręgu* sprzątaczkę szaraszki Spirydon, który reprezentuje udrecony lud rosyjski, zadziwia Nierżina definicją granicy między dobrem i złem, podaną w formie przysłowia: „Wilczur ma rację, a ludożerca nie”. „Kryterium Spirydona” – to świadomość i również według Sołowjowa świadomość jest podstawowym kryterium etyki narodowej (tak samo zresztą jak osobistej). Zaś pojęcie samowyrzeczenia znajduje się u podstaw tez Sołżenicyna, które wyłożył w „O samowyrzeczeniu i samoogra-

niczeniu jako kategoriach życia narodowego”⁷. „Lepiej wyrzec się patriotyzmu niż świadomości” – powiada Sołowjow, podejmując myśl uprzednio już wyrażoną przez Hercena w „Listach do przeciwnika”. Przeciwnikami Sołowjowa byli słowianofile, Strachow oraz Danilewski, a nadto Katkow i „uczniowie Iwana Groźnego”. Był jeszcze Dostojewski, zmarły w 1881 roku. Dostojewski, który był przyjacielem młodego filozofa i którego nacjonalizm niebezpiecznie balansował między „uniwersalizmem” a szowinizmem. Bezinteresowną i uniwersalistyczną *rosyjską ideę* przeciwstawiał Dostojewski myśli katolickiej i myśli socjalistycznej. Kościół „jako ideał społeczny” – ta myśl Dostojewskiego odegrała niezwykle ważną rolę w koncepcji „teokratycznej” Sołowjowa, jednakże filozof nie utożsamiał Rosji z „niewiastą obleczoną w słońce” z Apokalipsy, do czego skłonny był Dostojewski pod koniec życia. Sołowjow całkowicie odrzuca nacjonalistyczny mesjanizm na rzecz uniwersalistycznego mesjanizmu Bożoczołowieczeństwa. W swoich „Trzech mowach ku pamięci Dostojewskiego” Sołowjow nie uznaje w pisarzu proroka „nowego słowa”; które Rosja powinna powiedzieć światu, słowa powszechnego pojednania między łacińskim Zachodem i muzułmańskim Wschodem...⁸.

Czy Sołowjow miał rację, czy tkwił w błędzie? On sam pod koniec życia odczuwał silne wątpliwości. Rok przed śmiercią, w 1899, w *Trzech rozmowach* prorokuje nieuchronne nadejście „Antychrysta”. Rosja pogromów w latach 1903-1906, Rosja „czarnych sotni”, sprawy Bejlisa (1911 r.), nikczemnych antysemickich pamfletów jednego z najświetniejszych i najbardziej oryginalnych myślicieli początku XX wieku, Wasilija Rozanowa – ta Rosja niestety świadczy, że rację miał zrozpaczony Sołowjow w swoich ostatnich latach. Ale Rosja „srebrnego wieku”, okresu Błoka i Biełego, wieczornych uniwersytetów, nadzwyczajnego kulturalnego i społecznego rozwoju w latach 1907-1914 zaprzecza tej prognozie. Kraj, który potrafił sam siebie analizować, krytykować, osądzać – a to właśnie charakteryzuje Rosję 1909 roku – nie jest krajem, który umiera na zaskorupienie i szowinizm. Rok 1914 jest, być może, okresem, w którym Rosja najmniej dręczy się chorobliwym problemem tożsamości... Jednakże moment wybuchu wojny łączy się z eksplozją nacjonalizmu, z chwilową mobilizacją wokół cara.

Revolucja Październikowa 1917 roku często była interpretowana z perspektywy rosyjskiego nacjonalizmu. Według dzisiejszych poglądów Sołżenicyna, rewolucja komunistyczna była gwałtem dokonany na ludziach rosyjskich przez obcych: obcą ideologię, obcych „najeźdźców” (Łotysze, Żydzi, Węgrzy). Wbijający internacjonalizm z lat dwudziestych wygnał ze szkół i z nauczanej historii jakiegokolwiek odwoływanie się do narodu rosyjskiego. Historia rosyjska była długim ciągiem chłopskich powstań i zdegenerowanych carów. Piotrowi I przywrócono tytuł „Wielkiego”, zniszczono rosyjski Kościół, skarby sztuki rosyjskiej sprzedano na licytacjach. Jednakże Michał Heller i Aleksander Niekricz w swojej znakomitej książce *Utopia u władzy*⁹ słusznie zauważyli, że znaczna część rosyjskiej inteligencji emigracji jednoczy się pod znakiem „narodowego bolszewizmu”. W Szanghaju, Sofii czy Pradze historycy, geografowie, etnologowie, powołują do życia pojęcie „euroazjatyizmu”. Powracają do typologii Danilewskiego i dodają do niej jeszcze „euroazjatyckie” powołanie Rosji. W 1918 roku, poeta Aleksander Błok wprost rzucił Zachodowi wyzwanie: „Tak, jesteśmy Azjatami”. Uczni zwolennicy „euroazjatyizmu” argumentują: Rosja ma więcej krwi hazarskiej, połowieckiej, tatarskiej, mordwińskiej czy czuwaskiej niż krwi romańsko-germańskiej... „Niezmierzona Rosja, obejmująca jedną szóstą ziemi jest obecnie *no man's land*. Dopóki nie podzieli ją albo nie oddadzą jednemu ze swoich, fałszywi germano-romanie nie będą uważali wojny za skończoną” – pisał w 1922 profesor Trubeckoj¹⁰.

Bolszewicy usiłują wytorzystać nie tylko postawę „euroazjatycką”, ale również przeniknąć do innych emigracyjnych organizacji, zwłaszcza monarchistycznych. Michał Agurski w swojej niezmiernie interesującej, choć miejscami ekstrawaganckiej książce o *Ideologii narodowo-bolszewickiej* ryzykuje tezę, że Dzierżyński zatrudnił w tym celu trzech monarchistów: generała Zajączkowskiego, Jakuchowa i Potapowa. Rozmowy toczyły się również z wielkim księciem Mikołajem Mikołajewiczem¹¹.

Jakkolwiek było, dojście do władzy Stalina, odsunięcie niemal wszystkich przywódców pochodzenia żydowskiego (Trocki, Zinowiew, Kamieniew), wkrótce potem likwidacja bohaterów Rewolucji potwierdzają zrodzoną w 1919 roku tezę, że istnieje

opozycja między *bolszewikami* i *komunistami*, że pierwsi są Rosjanami i nacjonalistami, drudzy zaś – to internacjoniści, Żydzi, ludzie o nastawieniu antyrosyjskim... Historyk Ustriałow, jeden z ojców ideologii „euroazjatyizmu” i „smienowiechostwa”¹² nader udatnie reasumuje ten pogląd w książce, która została wydana po rosyjsku w Szanghaju w 1934 roku. „Rewolucja Piotra I-go była od początku do końca «rewolucją od góry». Bolszewizm rozpoczął się jako «rewolucja od dołu». Ale druga rewolucja (ofensywa socjalistyczna w latach 1928-1932) jest również rewolucją od góry, jest autorytarna, przeprowadzana przez elitę kierownictwa, przez etatową władzę”¹³. Książka Ustriałowa jest panegirkiem „dyktatora” Stalina, wprost porównywanego z Iwanem Groźnym (aczkolwiek już Aleksy Tołstoj i następnie Sergiusz Eisenstein, dwaj inni emigranci, którzy powrócili do Związku Radzieckiego, wykorzystali tę analogię w literaturze i i kinematografii). „Okrutny humanizm” Stalina jawi się autorowi jako odpowiedź na kryzys „dawnej polis”. „Lud rosyjski posiada cechę, która nie zaniknęła po dziś dzień – jest nią forma samopodporządkowania się, «dobrowolnego poddania» w imię wielkiej misji państwa...” Radziecki dyplomata S. Dmitriewski, który stał się dysydem i uczniem Ustriałowa, napisał książkę zatytułowaną *Stalin*, która jest apologią tego „cesarza ludu” i w której nazywa Stalina „azjatyckim Robespierrem”. Dmitriewski, kiedy został zwolennikiem „euroazjatyizmu” i był „głęboko przekonany, że Stalin szczerze pragnie dobra ludu”, wyraził w 1930 roku obawę, że Stalinowi nie starczy sił, by opanować „lumpenproletariat”¹⁴. Rok później Dmitriewski nie ma już wątpliwości: narodowi komuniści „przekraczają próg czystego rosyjskiego nacjonalizmu”.

W 1935 Stalin znowu zezwala na nauczanie historii. „Wulgarna” szkoła socjologiczna Pokrowskiego zostaje potępiona. Powraca do łask burżuazyjny historyk Tarłé. W przededniu wojny ponownie pojawiają się stopnie, mundury. Podczas wojny Cerkiew prawosławna odzyskuje prawo obywatelstwa. w 1949 reżim zaczyna prowadzić politykę zasadniczo antysemicką. Pogromy kulturalne, zabójstwa żydowskich aktorów, pisarzy i poetów (przeważnie komunistów), spisek żydowskich lekarzy, wzmożony szowinizm na wszystkich płaszczyznach (ze straszli-

wymi rezultatami w wielu dziedzinach nauki: biologii, genetyce, chemii, medycynie). Stalinizm 1950 roku – to konfrontacja z Zachodem, rosjołatria, podtrzymywanie marksistowskiej ideologii w formie super uproszczonej, eliminacja Żydów z życia kulturalnego: mroczne oblicze rosyjskiego nacjonalizm pokazało, co z sobą niesie. W 1947-1948 Rosjanie na emigracji zalecali, ponad dwadzieścia lat po „zmianie drogowskazów” (smienie wiech), „powrót do ojczyzny”. Przywódcy ruchu, „radzieccy patrioci”, zostali wyrzuceni z Francji przez socjalistycznego ministra Jules Mocha. Lew Kopielew w trzecim tomie swoich *Pamiętników* przedstawia portret jednego z przywódców, Igora Kriwoceina: „Patriota, a nawet nacjonalista rosyjski, wierzący prawosławny, uważał, że radziecki rząd był prawowitym spadkobiercą cesarstwa rosyjskiego i, rzecz jasna, był najpotężniejszy, najbardziej wpływowy, najbardziej znaczący ze wszystkich dawnych wcieleń rosyjskiej potęgi. Wspólnie negowaliśmy wszystko co «amerykańskie», od planu Marshalla i bomby atomowej po *rock'n roll* i Hollywood, zgodnie też pragnęliśmy zwycięstwa Korei Północnej”. Jednym z nieoczekiwanych rezultatów tego spotkania – na katordze – marksisty i emigranta było odkrycie emigracji przez uwięzionych radzieckich intelektualistów. Właśnie w gułagu Sołżenicyn i tysiące innych dowiedzieli się, że istnieje inna Rosja, że Bunin zdobył literacką nagrodę Nobla, Bierdiajew – wpłynął na francuską myśl społeczną, a Remizow oczarował publiczność *Nouvelle Revue Française*. „Było to niemal jak sen, w który nie ma się odwagi uwierzyć: był to powrót historii, która zniknęła na zawsze” – pisze Sołżenicyn w *Archipelagu Gułag*. Obecnie szeroko praktykowana jest „pośmiertna repatriacja” rosyjskiej emigracji. Kuprin (który, co prawda, wrócił w 1939 do Związku Radzieckiego) i Bunin (który przecież pozostał zajadłym antybolszewikiem) uchodzą za radzieckich klasyków. Remizow doczekał się pierwszego wydania. Na temat Diagilewa pełno jest wyczerpujących publikacji. Nader prawdopodobne są następne „rehabilitacje”, na przykład Szmielewa.

W myśl często sprawdzającego się prawa wahadła Chruszczow, aby zrekompensować niezbyt „ortodoksyjne” reformy ekonomiczne, prowadził „politykę internacjonalistyczną” – bardziej ortodoksyjną z marksistowskiego punktu widzenia; kon-

sekwencją był powrót do walczącego ateizmu i prześladowania chrześcijan.

Za Breżniewa Związek Radziecki powoli się modernizuje, cały czas wszakże zbrojąc się do ostateczności. Kiedy trzeba, Związek Radziecki broni swego imperium, ale potrafi również się wycofać (z Korei, z Austrii). Językiem imperium jest język rosyjski (w 1978 wystąpiły rozruchy w Tbilisi, kiedy próbowano zlikwidować gruziński – wedle konstytucji oficjalny język Gruzji); naród rosyjski jest najważniejszy, jest „wielkim bratem” narodów radzieckich i satelickich; w pewnych sferach rusyfikacja jest masowa (na Litwie, w Kazachstanie). Jednakże nazwę „radziecki” powoli zastępuje słowo „rosyjski”. Za granicą niemalże zapomniano, że Związek Radziecki to przede wszystkim Rosja. Przyzwyczajono się do myśli, że nastąpiła transfuzja krwi: krew rosyjska stała się „radziecka”. I kiedy porusza się „problem narodowy” w Związku Radzieckim, jest zrozumiałe samo przez się, że mówi się o narodach nierosyjskich.

I oto powoli w samej Rosji pojawia się pytanie: czy nie *wynaradawia* się nas, Rosjan, jeszcze bardziej radykalnie niż inne narody Związku Radzieckiego? Wydaje mi się, że można wyróżnić trzy podstawowe przyczyny powrotu rosyjskiego nacjonalizmu. Pierwszą jest reakcja na gwałty dokonane w celu „wynarodowienia” (burzenie kościołów, zniszczenie rosyjskiej wsi). W literaturze radzieckiej czasami wspomina się nawet o najbardziej wstydliwych aspektach „wynaradawiania” – o fizycznej likwidacji znacznej części inteligencji, chłopstwa, „drobnej burżuazji”. Drugim powodem jest miejsce, jakie zajmuje nacjonalizm w ruchu dysydenckim, który jest zresztą zjawiskiem o wiele szerszym. Trzecim jest wyczerpanie się w Rosji ideologii marksistowskiej, ideologiczna pustka i jej konsekwencje: głód ducha.

Ryzykowną rzeczą byłoby wykraczanie poza dane wypływające z tych trzech zjawisk. Dodałbym, że wyjątkowa gwałtowność polemik wśród emigrantów radzieckich ustawia badacza w sytuacji niezwykle delikatnej. Wspomniane zjawiska często poddają się dwójakiej interpretacji, zależnie od tego, czy próbuje się je naświetlić jako wyraz jasnej, czy też mrocznej strony rosyjskiego nacjonalizmu.

Zwrot nastąpił najprawdopodobniej w 1966 roku, to znaczy w czasie procesu Daniela i Siniawskiego oraz początku aktywności

ruchu dysydenckiego, który w ciągu ośmiu lat zdołał stworzyć rodzaj opinii publicznej, choć oddziaływającej w bardzo ograniczonym kręgu. Mamy zatem dwa rodzaje ruchów, które mimo iż istnieją jednocześnie, są heterogeniczne. Powrót do świadomości narodowej ma aspekty oficjalne oraz nielegalne; jest to ruch szerszy i bardziej zróżnicowany niż ruch dysydencki. W 1966 roku powstało „Towarzystwo ochrony pomników starej kultury”. Odrestaurowano kościoły i klasztory, odkryto i ponownie wydano pomniki średniowiecznej literatury rosyjskiej. Wartość naukowa tych odkryć jest ogromna. Przewodniczy tej odnowie członek Akademii, Dymitr Lichaczew – człowiek, który przeżył obóz. Jest on autorem fundamentalnej pracy *Poetyka starorosyjskiej literatury*, wydanej w 1967 i wznowionej w 1979 roku. Lichaczew stał się głównym obrońcą skarbów i pomników starorosyjskiej kultury. Zaproponował restaurację, a nawet odbudowanie zabytku architektonicznego moskiewskiego baroku, wieży Suchariewa. W „Uwagach o rosyjskim charakterze” Lichaczew określa charakter rosyjski jako umiłowanie przestrzeni i wolności, związane z dobrocią... Daleko odeszliśmy od stalinowskiej szkoły okrucieństwa, czujności, walki. „Każdy człowiek jest nosicielem przeszłości i charakteru narodowego – pisze Lichaczew. Jeżeli człowiek nie chroni w sobie pamięci o przeszłości, unicestwia tym samym część swojej osobowości. Odrywając się od narodowych, rodzimych i osobistych korzeni skazuje się na przedwczesny uwiąd”. W 1966 ukazują się *Listy z rosyjskiego muzeum*¹⁵ Włodzimierza Sołouchina, pierwszy protest przeciwko „wynaradawianiu”. Sołouchin pyta, dlaczego mamy szukać gdzie indziej, kiedy rosyjski pejzaż i jego malarze ofiarowują cały „ocean piękna”. Oplakuje zniszczenie i wandalizm, jakiemu podległy rosyjska architektura i krajobraz. Protesty rosły. W Moskwie, Pskowie, Nowogrodzie czy Suzdału kościoły i monastera zostały odrestaurowane. W 1976 została wydana ustawa o „konserwacji i użytkowaniu historycznych i kulturalnych zabytków”. Również ekologia stała się orężem w walce neonacjonalistów. Przesadny kult industrializacji nie jest już nietykalny. W maju 1981 pisarz Walentin Rasputin uderzył na alarm w sprawie ochrony jeziora Bajkał. Wieki całe po protopopie Awakumie Rasputin śpiewa o „perle Syberii”: „O, duch Bajkału ma

swoistą moc, co zmusza nas do wiary w stare legendy i pyta nas z trwogą: czy naprawdę człowiek ma prawo wszędzie postępować według swego widzimisie?” Rasputin, którego *Pożegnanie z Matroną* jest jednym wielkim płaczem nad staroruską cywilizacją chrześcijańską (książka opowiada o zagładzie wioski podczas spuszczenia wody z zapory), powtarza nieustannie, że istota rosyjskiej natury i starej chłopskiej (chrześcijańskiej) kultury rosyjskiej polegała na miłości i dobroci, że została skażona i należy ją na nowo ożywić, zanim będzie za późno.

Tej odnowie – względnej rzecz jasna – towarzyszy dziwna rewidzja ocen: z jednej strony celebrowanie „klasycznych” czysto rosyjskich wartości: malarzy Waśniecowa, Roehricha (który, mimo że emigrant, ma wiele wydań albumów i reprodukcji), Kustodijewa, Wróbla; z drugiej strony pejoratywna ocena awangardy z lat dwudziestych, zrehabilitowanej podczas „odwilży”. W *Prawdzie* z 20 września 1980, malarz Ilja Głazunow, stojący na czele oficjalnego ruchu neonacjonalistycznego, pisał: „Smutnej pamięci Proletkult walczył przeciwko klasycznej tradycji w imię «nowości» pojętej jako negacja kultury przeszłości. Abstrakcjonizm został proklamowany «sztuką proletariacką». Wielu artystów uznano za wrogów nowej proletariackiej sztuki i z tego tytułu prześladowano”. W 1979 dwie wiekie wystawy Głazunowa, w Moskwie a następnie w Leningradzie, odniosły olbrzymi sukces: podjęta na nowo stara rosyjska tematyka rozentuzjzmowała publiczność, o czym świadczy „księga pamiątkowa”, która – przemyciona na Zachód – została opublikowana w Niemczech.

W latach „odwilży” dokonywała się pośmiertna rehabilitacja albo powrót artystów, którzy byli twórcami awangardy. (*Ludzie, lata, życie* Erenburga zainicjowały proces i oto znowu pojawił się Babel, Mandelsztam, Zabołocki i tyłu innych, w tym Meyerhold, który nie był Żydem, lecz którego często uważano za Żyda.) W latach siedemdziesiątych natomiast „nacjonałści” wysuwają przebiegle oskarżenia wobec bohaterów awangardy. Czy twórcami awangardy nie byli częściej Żydzi niż Rosjanie? Wedle tego przedziwnego odczytania historii, autentyczna rosyjska kultura była w latach dwudziestych prześladowana przez „kosmopolitów”, którzy znajdowali się u władzy i dopiero w latach trzydziestych znowu zaczęto „szanować klasyczne wartości i ludową

twórczość" (Głazunow). 21 grudnia 1977 roku odbyła się w moskiewskim Domu Literatów „twórcza dyskusja” poświęcona zagadnieniu: „Klasyczna tradycja i my”. Referat Palewskiego – wicedyrektora Instytutu Literatury Światowej – zawicrał tezy neonacjonalistyczne: sztuka awangardy – twierdził Palewski – jest demoralizująca i martwa. „Bułhakow był dla Meyerholda niezbędny, ale Meyerhold wcale nie był potrzebny Bułhakowski”. Inaczej mówiąc, autor *Mistrza i Małgorzaty* (prześladowany ale nie zgładzony, Rosjanin czystej krwi, którego dzieła wydano ćwierć wieku po jego śmierci) reprezentuje dziedzictwo klasyczne oraz jego etyczne wartości, natomiast Meyerhold jest przedstawicielem awangardy, która pasożytniczo żywi się wartościami klasycznymi, zupełnie ich nie rozumiejąc.

Swego czasu, w 1937, Stalin z pompą uczcił setną rocznicę śmierci Puszkina. Stalinowska *Klasyka* – to powrót do tradycyjnych wartości, to zasklepienie kultury.

W dysydenckim piśmie *Poiski* (Poszukiwania), którego jeden z twórców wyemigrował, zaczęto wykazywać, że ów „neoklasycyzm” nie jest logicznie spójny. Raisa Lert pisze: gdyby „neoklasyści” wyciągnęli ostateczne konsekwencje ze swoich tez, musieliby stwierdzić, że cała sztuka lat dwudziestych jest wroga tradycji rosyjskiej, ponieważ „zarówno rewolucja jak i elementy obce, które przeniknęły do kultury rosyjskiej, są tradycji tej przeciwstawne”. Jednakże nie mówią tego jeszcze, w każdym razie nie do końca, albowiem „nie mogą jeszcze zrezygnować z marksizmu”¹⁶.

Autor, który ukrywa się pod – wziętym z Bułhakowa – pseudonimem Poniriew, doprowadza tezę Palewskiego do zdumiewającej finezji: „Wielka klasyczna tradycja lat trzydziestych – to Kiteż płynący strumieniami, to zwrócona Ołczynna: lata dwudzieste, szalone, skażone przez obmowy i kłótnie nie chciały już kontynuować tradycji”. Ów Kiteż lat trzydziestych ma znaczyć, że „mimo Stalina” i masakr. w sposób niewidzialny, tajemniczy, w momencie najgorszego despotyzmu Rosja zmartwychpowstała. Zauważmy w tym momencie dziwną zbieżność z tymi, którzy jak Solżenicyn czy ojciec Dudko czynią z męczeńskiej Rosji model chrześcijaństwa XX wieku.

Jakkolwiek rzeczy by się miały, dzisiejszy Związek Radziecki toleruje a może zachęca (obydwie interpretacje są dopuszczalne)

do obrony rosyjskiego nacjonalizmu. Jaskrawy dowód tego mieliśmy jesienią 1980 roku, w sześćsetletnią rocznicę zwycięstwa Dymitra Dońskiego nad Złotą Hordą na Kulikowych Polach. Mieliśmy wówczas cały wachlarz tekstów, od prostacko szowinistycznych po natchnione czy poetyckie. Panegiryk Feliksa Kuzniecowa („Pole rosyjskiej chwały”) można zaliczyć do tradycyjnego stalinowskiego gatunku. Eugeniusz Jewtuszenko w nie kończącym się poemacie pisał:

*Dla Rosjan, których rumaki drżały ongiś pod strzałami
Ludzkość zrodziła się tutaj, nad rzeką Niepriadwą.
Kto gardzi tą rzeką jako małym strumykiem, nie jest
[Rosjaninem!
Jeśli nie kochasz swojego ludu, nie pokochasz żadnego.*

Władza waha się między dwoma stanowiskami wobec tendencji nacjonalistycznych, którym pozwala się w mniejszym lub większym stopniu wyrażać. Po samobójstwie w lutym 1982 r. przewodniczącego KGB generała Cwiguna i śmierci Susłowa, pojawił się w *Prawdzie* artykuł Kulechowa potępiający „neodostojewską” postawę Kożinowa, o którym wspominaliśmy na początku tego eseju. Czyżby echo prawdziwej polemiki? Wyraz innej, poważniejszej, walki o władzę po Breżniewie? W rok po dojściu do władzy Andropowa można zauważyć, że znacznie zmniejszyła się tolerancja wobec „neonacjonalistów”. Spektakularnemu zaostrzeniu radzieckiej polityki towarzyszy wznowienie tradycyjnego ideologicznego sposobu mówienia oraz wzmożona aktywność policji. Na razie „nacjonalizm” nie odgrywa w tym żadnej roli.

Czynnik nacjonalistyczny odegrał nader ważną rolę w ruchu dysydenckim, którego jest jednym z dwóch składników. Dyskusję Sacharowa z Sołżenicynem na temat dróg odnowy wywołała w latach 1972-1973 różnica zdań w kwestii problemu narodowego*. Z jednej strony „ruch demokratyczny”, neomarksistowski, którego przedstawicielami są Roy i Żores Miedwiediewowie, ruch liberalny z Sacharowem czy Amalrikiem na czele. Z

* Patrz *Aneks* nr 7-8 (przyp. red.).

drugiej, „ruch narodowy”, który neguje tezę o „konwergencji”, głoszoną przez Sacharowa na Wschodzie i Pisara na Zachodzie, który odrzuca fałszywy ideał „innego socjalizmu”, który nie chce znowu małpować Zachodu. Przypomnijmy tezy Solżenicy-na: „W Związku Radzieckim ci, którzy «myślą inaczej», wyznają następujące poglądy: dążyć należy do *wolności* oraz systemu parlamentarnego z pluralizmem partyjnym (...). Ta niemalże całkowita jednomyślność jest odbiciem naszej tradycyjnej bierności w stosunku do Zachodu: droga Rosji ma tylko powtarzać wybory Zachodu, szukanie innych jest zbędne. Jak powiedział Sergiusz Bulhakow: okcydentalizm jest duchową kapitulacją przed kulturowo silniejszym”¹⁷.

W ruchu dysydenckim obrońcą owej „rosyjskiej drogi” jest na przykład „Wszechrosyjski socjal-demokratyczny związek wyzwolenia ludu”, podziemna organizacja, która założona została w Leningradzie w 1964 r. przez garstkę młodych ludzi, wkrótce aresztowanych. Ich przywódca, Ogurcow, jest nadal, od piętnastu lat, w więzieniu; inni, jak Eugeniusz Wagen, zostali zwolnieni i wyemigrowali. Dewizą tych młodych ludzi jest korporacjonizm, ich biblią – *Dziennik pisarza*. W swoim programie piszą: „Nie, problem bolszewizmu nie jest problemem rozwiązywalnym mechanicznie, po prostu siłą. Jest to przede wszystkim problem wewnętrzny, duchowy. Nie można zbrojnie uwolnić Rosji i ludu rosyjskiego od bolszewików, niczym od bandy zbójców, którzy go trzymają w więzieniu. Trzeba nam wiary i idei. Ratunkiem dla konających dzisiaj społeczeństw będą związki i stowarzyszenia, które będą miały mocną podstawę, które będą natchnione wiarą. To one stworzą nowy zrab społeczeństwa”¹⁸. Na emigracji Wagen założył pismo *Wieczie*. *Wieczie* – to historyczna nazwa średniowiecznego zgromadzenia ludowego, coś w rodzaju „land-gemeinschaft”, które zbierało się w Nowogrodzie i wybierało księcia. Jest to również tytuł pierwszego nacjonalistycznego pisma, które wydane zostało w samizdacie w 1973 r. Redagował je Władimir Osipow (aresztowany w 1974 i skazany na osiem lat obozu). Szczególnie znacząca jest droga Osipowa: początkowo „liberał” i współtowarzysz Edwarda Kuzniecowa, następnie pozyskany został dla idei nacjonalistycznej i w 1974 uwięziony już jako „nacjonalistyczny” opozycjonista. Pismo *Wieczie* porusza

podstawowe zagadnienia: odcina się od stalinowskiego pseudonacjonalizmu („namiastki”), snuje rozważania nad Dostojewskim, czujnie śledzi tendencje w Związku Radzieckim, przedrukowuje nawet fragmenty tekstu Lichaczewa „Uwagi o rosyjskim charakterze”, polemizuje z tymi, którzy ostrzegają przed „nacjonalistycznym niebezpieczeństwem”. *Wieczie* opublikowało również kilka wyraźnych antysemickich artykułów, co wywołało gwałtowny atak Etkinda w *Syntaxis*. Wszakże zasadnicza tonacja *Wieczie* jest niewątpliwie „sołżenicynowska”. Musimy zatem powrócić do Sołżenicyna, dal on bowiem najlepszą formułę nowego rosyjskiego nacjonalizmu poczynając od *Domu Matryony* przez *Listy do przywódców* i trzy artykuły w almanachu *Iz spod głęb*, następnie – po roku 1974, to jest roku deportacji – w „Mowie Harvardzkiej” (1978) oraz polemice w *Foreign Affairs* (1980). Jego poglądy zawarte w wyżej wymienionych tekstach można zreasumować w postaci pięciu tez.

1) Podstawą rosyjskiego charakteru narodowego jest poczucie winy, rezygnacja z ziemskich dóbr, swego rodzaju asceza (myśli bardzo zbliżone do poglądów Lichaczewa i inspirowane przez słowianofilów Chomiakowa i Kirejewskiego). Jeśli Rosja czyni zło, to z zasady kieruje się ono przeciwko niej.

2) Ów narodowy charakter znajduje najlepszy wyraz w prawosławiu i w prawosławnej schizmie starowierów, w duchu oporu i poświęcenia, którego wcieleniem jest rosyjska inteligencja, ale która zarazem sprawiła, że opór i poświęcenie realizowane są w błędny sposób; wreszcie, jego przejawem jest kolonizacja surowych północno-wschodnich ziem, z których Rosja właściwie nikogo nie wywłaszczyła.

3) Rewolucja bolszewicka była gwałtem dokonany na Rosji, częściowo przez obcych; gwałtem przejawiającym się we wszystkich dziedzinach: zaszczepienie okrucieństwa, walcząca ateizm państwa, ekspansja zewnętrzna.

4) Odrodzenie dokona się przez jednostkowe „rewolucje moralne”. Można nawet zachować państwo radzieckie, ale rzeczą niezbędną jest zwrócenie wolności działania prawosławiu, skończenie z ateizmem państwa, zwrócenie wolności wszystkim nierosyjskim narodom.

5) Zachód stale popełnia błąd łącząc komunizm i Rosję. Kiedy tylko pojawia się rosyjska myśl narodowa – bije na alarm. Udaje, że nic nie wie o rzeczywistych zbrodniach i przypisuje rosyjskiemu nacjonalizmowi zbrodnie urojone.

Wedle Sołżenicyna, w rezultacie tego błędu Zachód „wist na włosku”, to znaczy liczy tylko na „niezgodę między ZSRR i Chinami”; Sołżenicyn przepowiada, że owe nieporozumienia wkrótce się skończą.

Powyższe poglądy zostały gwałtownie zaatakowane przez część „ruchu demokratycznego”¹⁹. Przed rokiem 1974 istniała rozbieżność poglądów, teraz jest to zasadnicza różnica celów. Almanach ZSRR — *Demokratyczne alternatywy*, który ukazał się w roku 1976 pod redakcją Władima Bekicerkowskiego²⁰ pierwszy ostro przeciwstawił się tezom zawartym w *Iz spod glyb*. Aleksander Janow stwierdził, że Sołżenicyn znajduje się „wpół drogi do Leontjewa”, to znaczy autorytarnej myśli słowianofilskiej. Wedle Janowa, rosyjska myśl nacjonalistyczna zawsze patrzyła na politykę przez pryzmat kategorii moralnych, co doprowadziło myśl słowianofilską do degeneracji w postaci pogromów z „czarnymi sotniami”. Pociąg Sołżenicyna ku myśli słowianofilskiej nieuchronnie rzuca go w ramiona „nowej prawicowej opozycji”. Rozważania na temat słowianofilów Janow rozpoczął jeszcze przed emigracją, w radzieckim czasopiśmie *Woprosy filozofii*. Później jego wywody stały się bardziej radykalne: rosyjska opozycja polityczna zaczyna od walki z despotyzmem i zawsze kończy na jego apologii...

W 1978 r. Andriej Siniawski wraz z żoną założyli pismo *Syntaxis*, aby złamać monopol na prasę o inspiracji neonacjonalistycznej. W pierwszym numerze zamieszczony jest inny artykuł Janową*. Tym razem Janow omawia wydany w samizdacie tekst niejakiego Gennadija Szymanowa, moskiewskiego winiarza, samouka, który wymyślił coś w rodzaju „radzieckiej teokracji”. Cytowane przez Janową fragmenty z Szymanowa sprawiają wrażenie, że mamy do czynienia z nekaniem przez wi-

* Patrz Aleksander Janow „Państwo idealne Gennadija Szymanowa”, *Aneksy* nr 22 (przyp. red.).

zje paranoikiem. „Jeżeli założymy, że w Związku Radzieckim partia komunistyczna wkrótce przekształci się w partię prawosławną, będziemy mieli prawdziwie idealne państwo” – pisze Symanow w artykule *Idealne państwo*. Według Janowa, *casus* Szymanowa dowodzi, że istnieją tajne porozumienia między pravicowym skrzydłem w radzieckim rządzie i pravicowym skrzydłem w ruchu dysydenckim.

*Syntaxis*²¹ zwalcza wydawany przez Maksimowa *Kontynent*. Na piśmie wyraźnie odciska się literacki temperament Siniawskiego: paradoksalny, błyskotliwy, prowokacyjny. Siniawski zapowiada „prawosławny faszyzm”, który będzie w Rosji „taką profanacją, jakiej nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić”. Siniawski ściąga na Rosję główny paradoks swojego dzieła: pisarstwo jest buntem przeciwko śmierci, pisarz jest zawsze „Żydem” w społeczeństwie. Poszukiwanie sytuacji granicznych pcha go ku zawężaniu pola fikcji. Być może również jego stały model *obóz*, który służy jako źródło tematów jego pisarstwa, wyjaśnia tę gigantomanię, której farnastyczny charakter sam czasami dostrzega: w obozie każdy nadyma swoją „ideę” aż do delirium. Faktem jest, że postawa Siniawskiego jest zasadniczo antysołżenicynowska: jest on w stosunku do Zachodu bardziej czujny i wrażliwy, mniej manichejski, uważnie wsłuchuje się w chór głosów niezwykłych czy dziwacznych – jest dla Zachodu rozmówcą, mimo swe paradoksy, nieskończenie bardziej zrozumiałym niż Sołżenicyn. W swojej prozie z pogranicza pamfletu i fikcji nieustrudzenie obnaża „rosyjską chorobę”, żądanie natychmiastowego Królestwa Bożego.

W *Syntaxis* ukazał się jeden z najsensowniejszych tekstów krytykujących „neonacjonalizm”, *Parafrazy i hołdy*. Napisany przez, zmarłego dwa lata temu, krytyka Leonida Pińskiego, potępia „glebofilów”, zwolenników „zakorzenienia” za ich miłość „nadmierną, niegodną, nierozumną, miłość wyłączną, która oczernia inne narody”. „Rzeczą najokropniejszą i największym nieszczęściem – pisze – jest zapomnienie, nieświadomość, niezdolność przejścia od innych nowej drogi (co robią dzisiaj Niemcy i Japończycy, dwa wielkie narody)... Rzeczą jeszcze gorszą jest to, że narodowe wady i braki uważane są za cnoty! Jest to charakterystyczne dla antylogiki kompleksu niższości, który

w myśl prawa nadkompensacji przekształca się w arogancję". Odnajdujemy tu, choć w formie mniej skrajnej, argument Janowa o niebezpiecznej powtarzalności rosyjskiej historii. W jednym autor ma rację: naród nie może określić się, zrozumieć i rozwijać bez odniesień, stosunków i wymiany kulturalnej z innymi narodami.

Te zażarte polemiki między *Syntaxis* i *Kontynentem*, między „ruchem demokratycznym” i Sołżenicynem, między Michałem Agurskim, który z Izraela popiera „rosyjskie” tezy Sołżenicyna i grupą Janowa świadczą tylko o coraz większej żywotności tych idei, które właściwe są każdej emigracji. Wedle diagnozy Agurskiego jest to „syndrom nienawiści” (który tłumaczy on przez fakt przynależności do partii antysołżenicynowskich, takich jakie istniały w ZSRR). Dodajmy, że trzecia emigracja, to nie to samo co pierwsza; nie zna od dzieciństwa zachodnich języków. Poza nielicznymi wyjątkami jest uwięziona w getcie językowym i kulturowym. Zarówno wśród lewicy, jak prawicy emigracyjnej zarysowuje się wyraźnie ruch odmowy (Siniawski jest jednym z nielicznych, którzy mu nie ulegli). Dawid Markisz, pisarz, który wyemigrował ze Związku Radzieckiego do Izraela, opisał *itinerarium* pewnego emigranta, który rozczarowany i zawiedziony, chce wrócić do ZSRR, usiłuje załatwić swój powrót przy pomocy układnych artykułów przeznaczonych dla radzieckiej propagandy, mimo to nie otrzymuje powrotnej wizy do „nie-wolności” i ginie od kuli straży przygranicznej na wschód od Helsinek. „Wszystko czego pragnę dzisiaj, to wrócić i bynajmniej nie dlatego, że tutaj czy tam jest tak samo, takie samo gówno... Tutaj jest wolność, to prawda, ale ja nie wiem co mam począć z moją wolnością, natomiast dzięki mojej «nie-wolności» jestem pisarzem”²². Taką samą tonację znajdziemy w „skandalicznych” powieściach Limonowa, który w *Dzienniku pechowca*²³ również opisuje proces odrzucenia, buntu, ekshibicjonizmu. Bohater Limonowa, rosyjski poeta, twardy żołnierz i powstaniec spod Greenwich Village, obecnie w Nowym Jorku oplakując „w swoim marynarskim berecie rosyjską Rewolucję”.

Najmocniejszy wyraz dał tej beznadzieli Aleksandr Zinowiew, autor *Przepastnych wyżyn*. „Mamy to, czego chcieliśmy” – pisze w *Syntaxis*. Zinowiew dowodzi, że dzisiejszy „realny

komunizm” świetnie zaspokaja głębokie pragnienie mas ludowych. Historia – twierdzi – jest martwa. „Stacyjna” socjologia, klatka dla drapieżników bez klów, bezosobowi biurokraci zajęli miejsce historii. Ze wszystkich radzieckich narodów – wywodzi dalej – naród rosyjski jest najbardziej „skomunaryzowany” to znaczy zdepersonalizowany. Bierność, uległość i pokora, „szerość duszy rosyjskiej”, czyli właśnie cechy sławione przez sławianofilów, „niesłuchanie ułatwiły eksperyment komunistyczny”. „Jest to jedna z przyczyn wyjaśniających, dlaczego komunizm przerwał front obrony cywilizacji właśnie w Rosji, a nie gdzie indziej”. Zinowiew zatem z szyderstwem i mściwym okrucieństwem obraca przeciwko „neosławianofilom” ich własną broń. „Obecnie, rzeczywiście sytuacja narodu rosyjskiego jest taka, że wszystkie poglądy na temat rozróżnienia między «rosyjski» a «radziecki», walką o wyzwolenie narodu rosyjskiego od sowietyzacji, o rozwój jego rdzenia narodowego – wszystkie te pomysły są praktycznie nierealizowalne i teoretycznie niedorzeczne”²⁴.

Wizja Zinowiewa jest jeszcze bardziej przerażająca niż ta, którą daje Szigalew w *Biesach* Dostojewskiego. „Sytuacja niewolników – twierdzi – odpowiada nam. O wiele łatwiej i prościej jest być niewolnikiem, aniżeli nim nie być. To my sami, wspólnym wysiłkiem, przemieniamy się w niewolników, dzięki czemu stajemy się niewolnikami drugiego”.

Wspominałem już o trzeciej przyczynie odrodzenia rosyjskiej myśli nacjonalistycznej. Nazwałem ją „duchowym pragnieniem”. Niezależnie od reakcji na coraz większe „wynaradawianie”, niezależnie od tego, że część ruchu dysydenckiego została opanowana przez ideę narodową, owo „duchowe pragnienie” ma zakres niezwykle szeroki oraz głębokie oddziaływanie. Nie jest to tylko powrót do religii, moda na prawosławie (w 1982 żona Breżniewa brała udział w nabożeństwie wielkanocnym), moda, którą obnaża autor *Parafraz i hołdów*. Religia, która powinna umrzeć, nie umarła – oto punkt pierwszy. Wznawia się chrześcijańskiego filozofa Fiodorowa, współczesnego Tołstojowi autora *Filozofii wspólnego czynu*, dzieła poświęconego problemowi wskrzeszenia zmarłych. Niedawno ukazała się historia Kościoła, książka, która bynajmniej nie jest zwykłą antyreligijną propa-

gandą. Prawosławni popi znowu wygłaszają kazania i chrzczą dorosłych. Epizod z zaarrestowaniem i samokrytyką ojca Dudko wykazuje dobitnie, że władza pozostaje czujna i że umie manipulować nacjonalizmem, który u takiego człowieka jak Dudko jest z pewnością szczery. Kazania ojca Dudko odznaczały się nadmiernym nacjonalizmem. Dowodem są jego zachwyty nad wspomnianą już wystawą Glazunowa. Zaarrestowany został w styczniu 1980 roku i w czerwcu tegoż roku wystąpił w telewizji z samokrytyką. Wydaje się, że śledczy, którzy przekonali Dudko, by wystąpił z samokrytyką, grali na strunie nacjonalizmu. Tekst tej samokrytyki ukazał się w *Izwestii* z 21 czerwca 1980. Słowo Bóg pisane jest przez duże B. Dudko twierdzi, że chciał walczyć ze społecznymi wadami: z pijaństwem, przestępstwami, moralnym spustoszeniem, ateizmem. I wcale nie to jest przedmiotem stawianych mi zarzutów – mówi. Przeciwnie, żałuje, że zwracał się do Zachodu: „Czy naprawdę myślisz, że Zachód zrozumie nas lepiej niż my rozumiemy sami siebie? Nawet Rosjanie, którzy żyją tam? Są daleko, odseparowani od Ojczyzny i niewiele wiedzą o tym, co się u nas dzieje”. Od lektury tego wyparcia się robi się niedobrze. Tekst ten wykazuje całą dwuznaczność neo-nacjonalizmu o inspiracji religijnej. Jednakże nie powinien nam zasłonić wymiarów zjawiska.

Od paru lat rzym zezwała na wyrażanie w literaturze pewnej problematyki duchowej. Wykroczyliśmy już poza opowiadania Tendriakowa, który w latach sześćdziesiątych nieśmiało wprowadził do literatury radzieckiej tematykę religijną. Autorzy tak zwanej prozy o tematyce wiejskiej, poszukując korzeni narodowych, wyszli daleko poza etnografię, ekologię czy portret chłopa. U Wiktora Astafiewa czy Walentina Rasputina wyraźnie ujawnia się poszukiwanie etyki, dobra, wiary. Opowiadanie Astafiewa *Car-Ryba*²⁵ jest całkowicie zanurzone w poczuciu sacrum, oparte jest na pojęciu grzechu, skruchy i ascezy. Bohater staje się baptystą i „zaczyna żyć tak, jak gdyby całe życie było wielkim postem”. Owo poszukiwanie zbawienia jest, u Astafiewa czy Rasputina, zawsze związane z rosyjską przyrodą. „W głębi tych lasów wyczuwało się sekretny oddech, niezwykle delikatny. I wydawało się, że na niebieskach można dojrzeć coś, co miało znaczenie, co w tajemniczym ruchu chmur być może

było skrzydłami aniołów, i wierzono w wieczną łaskę, w zniknięcie zła i w zmartwychwstanie duszy" (Astafiew).

Dzisiejsza ideologiczna pustka wymaga wypełnienia czymś. Władza zezwala na publikowanie tego rodzaju tekstów, ponieważ „człowiek musi czymś żyć”. Naturalnie, ideologiczny cenzor widzi w tym tylko drugorzędne, infantylne niebezpieczeństwo idealizmu; daje *imprimatur*, ponieważ uznano, że obecnie pożyteczna jest pewna doza nacjonalizmu, bierności, „rosyjskości”. Władimir Sołouchin, jeden z protagonistów odnowy poczucia narodowego, opublikował w marcu 1981 roku w piśmie *Nasz współczesny* tekst głęboko spirytualistyczny: „W XX wieku żaden rozsądny człowiek nie wątpi, że w świecie, we Wszechświecie, w całej różnorodności życia przejawia się wyższa rozumna zasada. Problemem nie jest istnienie owej wyższej zasady; prawdziwym pytaniem jest, czy zasada ta wie o mnie i czy ma wobec mnie jakieś projekty?” Ten tekst Sołouchina, *Kamienie na drodze*, został ostro zaatakowany. W piśmie *Nauka i religia* opublikowana została w 1981 roku seria artykułów o rosyjskich starcach. Dowodzi się w nich, że rola starców została przez takich radzieckich autorów jak na przykład Sołouchin „wyidealizowana”.

Członek Akademii, Lichaczew, wydając Hilariona *Rozmowy o prawie i łasce* (1050) pisze: „Dzieło to, przez sam swój temat, skierowane jest ku przyszłości Rosji”. Prawo, wedle Hilariona, zostało dane ludowi; łaska zaś skierowana jest do wszystkich. Kożinow omawiając tę publikację stwierdza, że teoria Hilariona jest najczystszy wyrazem rosyjskiej świadomości.

Konkluzje powyższych rozważań na temat nowego sporu o rosyjskim nacjonalizmie są zróżnicowane. Oskarżenia, które szaleją w środowisku rosyjskiej emigracji, są przesadzone: ani Sołżenicyn nie jest Chomeinim, ani Ogurcew czy Wagin nie są „czarnosecińcami”. Zarzut, który Sołżenicyn wysuwa wobec Zachodu i rosyjskich „okcydentalistów” jest uzasadniony: rosyjski nacjonalizm nie może być narażony na wieczną podejrzliwość. I odwrotnie, jasno widać, że na odnowę nacjonalizmu czyhają dwa niebezpieczeństwa: z jednej strony skażenie przez sowiecki ekspansjonizm i z drugiej – zasklepienie się w chłopskiej i prawosławnej Rosji, która już dzisiaj nie istnieje. To są niebezpieczeństwa. Nie wszyscy im podlegają i nie mogą one

zmniejszyć prawomocności myśli i prawa do istnienia rosyjskiego nacjonalizmu, pod warunkiem, że zachowa on tolerancyjność.

„Nie, dosyć już odwilży! Jesteśmy krajem północnym. Łagodny przymrozek jest tym, czego nam potrzeba” – mówi jeden z „nacjonalistycznych” bohaterów w sztuce Gorensteina, emigracyjnego dramaturga. W sumie, neo-okcydentaliści czynią neo-słowianofilów odpowiedzialnymi za ów „ponowny mróz”, zarzucają, że go sobie upodobałi, że są godnymi uczniami Konstantego Leontjewa, który był w XIX wieku ojcem tej idei. Obecnie wszakże obydwie partie są ofiarami tego samego „przymrozka” i przykro jest patrzeć, jak padają pod uderzeniami rąk. Koniec końców skrajności się stykają i Aleksander Zinowiew, którego ogromne dzieło ma moc hipnotyzującą, jest tego najlepszym przykładem. Uważa on, i inni również tak sądzą, że spór, z którego zdaje sprawę niniejszy artykuł, jest nic niewart i bez przyszłości: dyskutujemy nad zdechłą szkapą... Nie istnieje już ani naród, ani Rosja, ale *homo sovieticus*. Rosjanin stał się *homo sovieticus* z „ratorium” właśnie z powodu skłonności Rosji do „komunaryzmu”, stadności. W rezultacie, Rosja sama się unicestwiła przez to, że jest rosyjska.

Nie sądzę, aby teza Zinowiewa dała się utrzymać do końca. W dzisiejszym Związku Radzieckim naród rosyjski nie umarł. Nowomowa nie całkowicie wygnała język rosyjski. W przyszłości rosyjski nacjonalizm musi zachować jakąś formę przejawiania się. Wzrost mniejszości narodowych, „wynaradawianie” doznawane od dziesięcioleci, a zwłaszcza „duchowe pragnienie” muszą z czasem sprowokować reakcję. Pragnienie wymaga zaspokojenia.

Tłum. W.

George Nivat

PRZYPISY

- 1 Włodzimierz Solowjow, *Problem narodowy w Rosji*, t. II, Petersburg, 1891.
- 2 Patrz Walery Czafidze: „Chomienizm czyli nacjonal-komunizm” w *Nowoje Russkaje Slowo*, 27 październik 1979. W tym dużym i interesującym artykule Czafidze analizuje ideologię Solżenicyna, którą określa jako „autorytarną” i która –

jak twierdzi – związna jest z izolacją Rosji, jej nieprzenikliwością na demokrację, z nacjonalizmem i prawosławiem. Sołżenicyn odpowiedział na te ataki artykułem „O kulgarskich sztuczkiach”.

³ *Foreign Affairs* 1980, numery z wiosny, lata i jesieni. Wiele amerykańskich historyków polemizuje z Sołżenicynem, między innymi Tucker, autor biografii Stalina i czeski emigrant, Loeb. Tylko John Dunlop bierze stronę Sołżenicyna.

⁴ Patrz *Dziennik pisarza*, 1880.

⁵ Wadim Kozinow. „I każdy naród w swej głębi zzywać mnie będzie...” w: *Nasz współczesny*, luty 1981. Kozinow jest współpracownikiem moskiewskiego Instytutu Literatury Światowej, Instytutu, w którym pracuje wielu uczonych o postawie „neonacjonalistycznej”, jak np. Palewski czy Awierincew, słynny bizantolog.

⁶ „W Rosji zgodniejsze z danymi historycznymi są rozważania w kategoriach importu raczej, aniżeli autonomicznego kryzysu” (Alain Besançon: *Les Origines intellectuelles du léninisme*, Calmann-Lévi, 1979, s. 82).

⁷ Artykuł ukazał się w zbiorze *Iz spod głąb* (Spod ruin).

⁸ *Trzy mowy* ukazały się w 1982 i 1983 r. wraz z „Obroną Dostojewskiego przed oskarżeniem o «nowy» chrześcijaństwo”. Oskarżenie takie rzucił Konstanty Leontjew.

⁹ Michał Hełfer i Aleksander Nickriez, *L'Utopie au pouvoir, histoire de l'URSS de 1917 à nos jours* (Utopia u władzy, historia ZSRR od 1917 do naszych dni), Paryż, Calmann-Lévi, 1982, s. 120-125.

¹⁰ Książę N. S. Trubeckoj, „Rosyjski problem” w: *Na Putiach*, Moskwa, Berlin, Ed. Helikon, 1922.

¹¹ Michał Agurski, *Ideologia nacjonal-bolszewizmu* (Ideologia narodowo-bolszewicka), Paryż, Ymca-Press, 1980.

¹² Nazwa emigracyjnego ugrupowania, które głosiło ideologię współpracy z władzą radziecką. W 1921 ukazał się w Pradze almanach pt. *Smiena wiech* (Zmiana drogowskazów), w latach 1921-1922 wychodził także w Paryżu dziennik pod tymże tytułem. Tytuł nawiązuje do zbioru artykułów *Wiechy* (Drogowskazy), który ukazał się w Rosji w 1909 r. i był krytyką rosyjskiej radykalnej inteligencji (przyp. tłum.).

¹³ N. W. Ustriałow, *Naszje wriemia* (Nasz czas), Szanghaj, 1934.

¹⁴ S. Dmitriewski, *Russkaja sud'ba* (Los Rosji), Berlin 1930. W cytowanej wyżej książce Agurski przedstawia dziwną karierę tego radzieckiego odstępcy, który przepowiedział ewolucję reżimu stalinowskiego ku narodowemu socjalizmowi. Dmitriewski w swojej książce *Stalin* (Paryż, 1931) daje apologię tego apostoła „rosyjsko-azjatyckiego mesjanizmu” i czyni Trockiego odpowiedzialnym za stworzenie fałszywego obrazu Stalina.

¹⁵ Przetłumaczone na francuski i opublikowane w Paryżu w 1967.

¹⁶ *Poiski*, Paryż, 1980, t. II („Dyskusja o dyskusji” ciągnęła się w dwóch następujących numerach).

¹⁷ A. Sołżenicyn „Kiedy wraca oddech i świadomość”, W: *Iz spod głąb*.

¹⁸ *Wszecchosyjski społeczno-chrześcijański związek wyzwolenia ludu. Program, procesy, uwięzienia i obozy*. Teksty zebrane przez Johna Dunlopa. Paryż, Ymca-Press, 1975.

¹⁹ Sołżenicyn z szyderstwem ochrzcił „ruch demokratyczny” skrótem na radziecką modłę: *dem-dwiż* (demokratyczeskoe dwiżenije). Czładzie, nie bez racji, zaprotestował przeciw tej oznace pogardy.

²⁰ SSSR — *Demokratyczne alternatywy*. Aix-la-Chapelle, 1976.

²¹ Wydanych już zostało jedenaście numerów w języku rosyjskim. Po francusku ukazał się wybór artykułów z *Syntaxis: Syntaxis, reflexions sur le sort de la Russie*. Paris, Albin Michel, 1981.

²² Dawid Markisz wydał w Paryżu *Il était une fois en Asie soviétique*. Ed. Mercure de France, 1981.

²³ E. Limonow, *Journal d'un raté*. Tłum. na francuski A. Pingand, Paryż, Albin Michel, 1982.

²⁴ Aleksander Zimowiew, *L'Occident et nous*. Lausanne 1980.

²⁵ Wiktoria Astafiew, *Le Tsar-poisson*, tłum. na franc. J. C. Lanne, Paryż, Julliard, 1980.

NAKŁADEM «ANEKSU»

Leszek Kołakowski

**CZY DIABEŁ MOŻE BYĆ ZBAWIONY
i 27 INNYCH KAZAŃ
poświęconych kulturze, chrześcijaństwu,
socjalizmowi i Polsce**

WTOMIE MIN.: Szukanie barbarzyńcy, Mała etyka, Fabuła mundi i nos Kleopatry, Intelktualści, O tak zwanym krzysie chrześcijaństwa, Odwet sacrum w kulturze świeckiej, Diabeł, Samozatrucie otwartego społeczeństwa, Wolność i wolność. Marksistowskie korzenie stalinizmu, Ludobójstwo i ideologia, Tezy o nadziei i beznadziejności, Sprawa polska, O nas samych i inne eseje.

Str. 320

Cena £6,50; US \$14,00

NARODOWA DEMOKRACJA

Antologia myśli politycznej *Przeglądu Wszechpolskiego*
1895 — 1905

Wybór, wstęp i opracowanie Barbary Toruńczyk

Str. 320

Cena: £ 6,00; US\$ 14,00

pamięci Orwella

Leszek Kołakowski

TOTALITARYZM I ZALETY KŁAMSTWA

Kwestionuje się czasami prawomocność pojęcia „totalitaryzm” na tej zasadzie, że doskonały model społeczeństwa totalitarnego nie istnieje nigdzie i że w żadnym z krajów mających być jego wcieleniem (Związek Sowiecki, szczególnie za Stalina, Chiny, Mao Tse-tunga, Niemcy hitlerowskie) nie udało się nigdy zrealizować ideału absolutnej jedności politycznego kierownictwa i nieograniczonej władzy.

Nie jest to jednakowoż poważna przeszkoda. Uznaje się przecież powszechnie, że większość pojęć, którymi posługujemy się przy opisie zjawisk społecznych na wielką skalę, nie ma doskonałych odpowiedników empirycznych. Społeczeństwo kapitalistyczne nigdy nie istniało w absolutnie czystym stanie, co nie przeszkadza nam rozróżniać między gospodarką kapitalistyczną i przedkapitalistyczną, a rozróżnienie to jest bardzo użyteczne. Okoliczność, iż nie istnieje nic takiego, jak całkowita wolność, nie umniejsza w niczym trafności czy jasności rozróżnienia między despotyzmem a wolnością polityczną. Można zgoła twierdzić, że najlepsze przykłady totalitarnych społeczeństw były bliższe pojęciowemu ideałowi, niż jakiegokolwiek społeczeństwo kapi-

talistyczne – abstrakcyjnie doskonałemu opisowi. (Pośród argumentów mających rozprawić się z pojęciem „totalitaryzmu” najbardziej absurdalny jest ten, który powiada, że Związek Sowiecki, na przykład, jest w gruncie rzeczy ustrojem „pluralistycznym”, ponieważ w politycznym establiszmentie zawsze istnieją jakieś kliki i grupy walczące o władzę i wpływy. Lecz jeśli to ma być objawem pluralizmu, to pojęcie to jest bezużyteczne i bezsensowne, jako że w tym sensie wszystkie reżimy polityczne w historii ludzkości były „pluralistyczne”.)

Nie istnieje jakaś jedna przyczyna, której możemy przypisać odpowiedzialność za powstanie ustroju dążącego do nadania państwu totalnej władzy nad wszystkimi dziedzinami ludzkiego życia, do całkowitego zniszczenia społeczeństwa obywatelskiego oraz do rozciągnięcia własności państwowej na wszystkie rzeczy i wszystkich ludzi. Z pewnością ludzie zawsze byli żądni władzy jako wartości samej w sobie, nie tylko jako środka do zdobycia bogactwa czy innych dóbr; nie znaczy to jednak, że zjawisko totalitaryzmu można przyczynowo wyjaśnić, odwołując się do żądzy władzy właściwej ludzkiej naturze. Pragnienie władzy i walka o władzę są niemal powszechne, nie są natomiast tendencje totalitarne. Większość znanych nam z historii despotycznych reżymów nie była totalitarna; nie miały one wbudowanej tendencji do regulowania wszystkich sfer ludzkiej działalności, do totalnego wywłaszczenia ludzi – fizycznie i umysłowo – i do przekształcania ich w państwową własność. Bez względu na to, czy termin ten nadaje się do opisu pewnych historycznych epok w starożytnych Chinach, w Rosji carskiej, w niektórych teokratycznych społeczeństwach i zbiorowościach religijnych, współczesny totalitaryzm jest nierozzerwalnie związany z historią idei i ruchów socjalistycznych. Nie znaczy to, że wszystkie odmiany socjalizmu są z definicji totalitarne. Europejskie wersje totalitaryzmu – rosyjski bolszewizm, niemiecki nazizm i włoski faszizm – stanowiły bękarcie pomiotu tradycji socjalistycznej; w dzieciach z nieślubnego łoża wszelako podobieństwo do rodziców jest też zachowane i można je bez trudności dostrzec.

Idea socjalistyczna pojawiła się w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku jako moralna reakcja intelektualistów na społeczne nieszczęścia spowodowane industrializacją – nędzę i bezna-

dziejność życia klasy robotniczej, naznaczonego kryzysami, bezrobociem i rażącymi nierównościami, na rządzącą ludzkimi motywacjami chciwość, która przyczyniała się do rozkładu tradycyjnych wspólnot. Pod wieloma względami taki obraz stosunków społecznych powstałych w wyniku rewolucji przemysłowej wyraźnie zbiegał się z atakami romantyków i wyłaniających się ideologii nacjonalistycznych. W socjalizmie chodziło przede wszystkim o „sprawiedliwość społeczną”, choć nigdy nie było zgody co do znaczenia tego mglistego terminu. Wszystkie wersje socjalizmu pociągały za sobą wiarę w społeczną kontrolę produkcji i podziału dóbr materialnych (ale niekoniecznie zniesienie prywatnej własności czy gospodarkę kontrolowaną i kierowaną przez państwo). Wszystkie też przepowiadały, że społeczna kontrola zapewni powszechny dobrobyt, zapobiegnie marnotrawstwu, zwiększy wydajność i wykorzeni „niezapracowany dochód” (jeszcze jedno pojęcie, które nie miało nigdy zadowalającej definicji). Większość z tych odmian socjalizmu nie była otwarcie czy świadomie totalitarna, niektóre zaś silnie podkreślały wartość kulturalnej swobody.

Wszelako w tych wersjach socjalizmu, które w pogoni za sprawiedliwą i wydajną gospodarką odwoływały się do władzy państwa, można znaleźć – przynajmniej z perspektywy czasu – zapowiedzi totalitarnej filozofii. Marksizm był w dziewiętnastym wieku niejednokrotnie atakowany, przede wszystkim przez pisarzy wywodzących się z tradycji anarchistycznej, jako program nieograniczonej tyranii państwa. Dalszy bieg historii dobitnie potwierdził tę ocenę. Paradoksalnie jednak despotyczny charakter marksowskiego socjalizmu w pewnej mierze był ograniczony przez ten składnik doktryny, który w jej późno-dziewiętnastowiecznej wersji znalazł się na pierwszym planie, a który w końcu został (słusznie) zdyskredytowany jako zabobonne myślenie życzeniowe: było to pojęcie determinizmu historycznego, którego pewne wątki Marks zapożyczył od Hegla i od saint-simonistów. Dla marksistów Drugiej Międzynarodówki deterministyczna wiara była z jednej strony źródłem ideologicznej ufności, z drugiej zaś ostrzeżeniem, że biegu historii nie wolno gwałcić. Była to naturalna podstawa ewolucyjnego ujęcia socjalizmu i taką właśnie rolę odegrała w „centrowej” ortodoksji socjaldemokra-

tycznej. Kryzys idei socjalistycznej, który ujawnił się na początku dwudziestego wieku, wyrażał się, pośród innych oznak, w twierdzeniu (niecałkiem bezpodstawnym), że jeżeli socjaliści mają zdawać się na „prawa historii” i oczekiwać, że „gospodarcza dojrzałość” kapitalizmu zapewni im rewolucję, to mogą również dobrze pożegnać się z wszystkimi nadziejami socjalistycznymi. Dla tych krytyków liczyła się tylko rewolucyjna woła i polityczna sposobność do zdobycia władzy; dali oni początek dwóm totalitarnym wersjom socjalizmu: faszystowskiemu i bolszewickiemu (Domenico Settembrini bardzo przekonująco podkreśla zasadnicze podobieństwo między postawami ideologicznymi Lenina i Mussoliniego).

W obu formach totalitarnego socjalizmu – nacjonalistycznej i internacjonalistycznej – społeczna kontrola produkcji dla wspólnego dobra uchodzi za rzecz konieczną. Model, stworzony w Związku Sowieckim, Chinach i innych krajach komunistycznych, okazał się bardziej konsekwentny i bardziej odporny niż faszystowska lub nazistowska odmiana. W ramach tego modelu dokonano całkowitej nacjonalizacji środków produkcji, podziału i informacji w mniemaniu, że położono w ten sposób podwaliny pod Wielką Niemożliwość – wszechobejmujące, powszechne planowanie. Całkiem konsekwentny ustroj totalitarny zakłada całkowitą państwową kontrolę działalności gospodarczej; dlatego da się pomyśleć tylko w ramach socjalistycznego reżymu. Faszizm i nazizm nie usiłowały przeprowadzić całkowitej nacjonalizacji (ich panowanie było względnie krótkotrwałe; Związek Sowiecki czekał dwanaście lat, nim upaństwowił produkcję rolną i samych chłopów). O tyle więc były mniej totalitarne, o ile pozostawiały pewne segmenty społeczeństwa w mniejszej zależności gospodarczej od władzy państwowej. Nie oznacza to jednak, że były „lepsze” w ludzkich kategoriach; pod wieloma względami nazizm był bardziej barbarzyński niż bolszewizm.

W obu wypadkach panująca ideologia podkreślała ideę sprawiedliwości społecznej głosząc zarazem, że pewna wybrana część ludzkości (wyższa rasa czy naród, postępująca klasa lub przodująca partia) ma naturalne prawo do ustanowienia nie kontrolowanych przez nikogo rządów na mocy historycznego przeznaczenia. W obu też zdobycie władzy dokonało się pod

hasłami, które odwoływały się do zawiści i pobudzały ją jako główną siłę napędową rewolucji. Jak w wielu (choć nie we wszystkich) ruchach rewolucyjnych, to, co było sprawiedliwością w założeniach doktrynalnych, było w praktyce i psychologicznie zawiścią. Bezpośrednim celem było zniszczenie istniejących elit – arystokratycznych czy merytokratycznych, plutokratycznych czy intelektualnych – i zastąpienie ich klasą polityczną parweniuzy. Nie trzeba dodawać, że egalitarne składniki ideologii, o ile w ogóle odgrywały jakąkolwiek rolę, nie były w stanie długo przetrwać zdobycia władzy.

II

Zbyteczne dowodzić, że żadne nowoczesne społeczeństwo nie może się obyć bez zasady prawomocności władzy i że w społeczeństwie totalitarnym ta prawomocność może być tylko ideologiczna. Totalna władza i totalna ideologia warunkują się wzajem. Ideologia jest totalna w dużo mocniejszym sensie, przynajmniej co do swoich roszczeń, niż jakkolwiek znana nam z historii religijna wiara. Nie tylko rości sobie pretensje do objęcia całej rzeczywistości, nie tylko występuje jako nieomylna i obligująca, jej cel (na szczęście nieosiągalny) wykracza poza ścisłą kontrolę i władzę nad osobistym życiem każdego poddanego: ideologia ma zastąpić życie osobiste i przekształcić ludzi w orbitki ideologicznych haseł. Innymi słowy, ideologia unicestwia osobową formę życia. Idzie więc znacznie dalej niż jakkolwiek religia.

Taka ideologia tłumaczy swoistą funkcję i swoiste znaczenie k ł a m s t w a w doskonałym społeczeństwie totalitarnym, funkcję tak osobliwą i twórczą, że nawet samo słowo „klamstwo” brzmi nieodpowiednio.

Kluczowe znaczenie kłamstwa w komunistycznym ustroju totalitarnym zauważył dawno Anton Ciliga w książce *Au pays du grand mensonge*, opublikowanej w roku 1930; trzeba było geniuszu Orwella, by objawić filozoficzną stronę sprawy.

Czym się zajmują pracownicy Ministerstwa Prawdy, gdzie zatrudniony jest w roku 1984 bohater Orwella? Dokładnie niszczą zapis przeszłości; drukują nowe, uaktualnione edycje starych

czasopism i książek i wiedzą, że w miejsce poprawionej wersji przyjdzie wkrótce kolejna wersja na nowo poprawiona. Ich celem jest sprawić, by ludzie zapomnieli wszystko – fakty, słowa, zmarłych, nazwy miejscowości. Z opisu Orwella nie wynika, do jakiego stopnia udaje im się wymazać przeszłość; niewątpliwie starają się usilnie i mają imponujące wyniki. Ideal całkowitego zapomnienia nie został jeszcze osiągnięty, ale należy oczekiwać dalszych postępów.

Zastanówmy się, co się dzieje, kiedy ideał zostaje skutecznie zrealizowany. Ludzie pamiętają to tylko, czego ich dziś pamiętać nauczono, a zawartość ich pamięci zmienia się z dnia na dzień, jeśli zachodzi potrzeba. Wierzą naprawdę, że coś, co się wydarzyło przedwczoraj i co wczoraj przechowywali w pamięci, nie wydarzyło się wcale i że zamiast tego wydarzyło się coś zupełnie innego. W końcu przestają być ludzkimi istotami. Świadomość jest pamięcią, jak powiedział Bergson. Stworzenia, których pamięć można skutecznie manipulować, programować i kontrolować z zewnątrz, nie są już osobami w rozpoznawalnym sensie słowa, nie są więc już ludźmi.

Do tego właśnie dążą nieustannie totalitarne reżimy. Ludzie, których pamięć – osobista lub zbiorowa – została znacjonalizowana, stała się własnością państwa, plastyczną całkiem i całkiem dającą się nadzorować, są w pełni zdani na łaskę swoich władców; pozbawiono ich tożsamości; są bezsilni i niezdolni do kwestionowania czegokolwiek, w co im się karze wierzyć. Nigdy się nie zbuntują, nigdy nie będą myśleć, nigdy nic nie stworzą. Przekształcono ich w martwe przedmioty. Mogą być nawet szczęśliwi i pokochać Wielkiego Brata, na czym też polega najwyższe i ostateczne osiągnięcie Winstona Smitha.

Ten użytek czyniony z kłamstwa jest interesujący nie tylko politycznie, lecz również epistemologicznie. Rzecz w tym, że jeżeli fizyczne ślady pewnych wydarzeń oraz ich wspomnienie w ludzkich umysłach są całkowicie wykorzenione, jeżeli zatem nie istnieje już żaden sposób ustalenia, co jest „prawdziwe” w normalnym sensie słowa, nie pozostaje wówczas nic oprócz powszechnie narzucanych wieżeń, które oczywiście można naziątrz wymazać. Nie da się zastosować żadnego kryterium prawdy z wyjątkiem tego, co w danym momencie ogłasza się za praw-

dę. I tak kłamstwo rzeczywiście staje się prawdą lub przynajmniej zanika różnica między prawdą i kłamstwem w ich zwykłym znaczeniu. Na tym polega wielkie poznawcze zwycięstwo totalitaryzmu: nie można go już oskarżać o kłamstwo, ponieważ udało mu się znieść samą ideę prawdy.

Tak oto widać różnicę pomiędzy zwyczajnym kłamstwem politycznym a jego totalitarną apoteozą. Kłamstwem posługiwano się w celach politycznych zawsze. Ale trywialne kłamstwa i przeinaczenia, do jakich uciekają się politycy, rządy, partie, królowie i przywódcy dalekie są od kłamstwa, które jest samym rdzeniem systemu politycznego, sercem nowej cywilizacji. Te pierwsze używane są w określonych celach, są narzędziem osiągnięcia określonych korzyści. Normalne kłamstwo polityczne pozostawia w stanie nienaruszonym różnicę między prawdą a fałszem. Z historii Kościoła znamy wiele zafalszowań, zniekształceń i legend, fabrykowanych dla określonych celów. Z czasów Konstancyna pochodził rzekomo dokument uzasadniający roszczenia Kościoła do politycznego zwierzchnictwa. Został on zdemaskowany jako fałszerstwo przez wielkiego kościelnego uczonego i za takie w końcu uznany; podobnie było z wieloma innymi legendami, które katolicy i protestancyjscy historycy po zbadaniu odrzucili. Upamiętnienie Trzech Króli stanowiło środek do podbudowania doktryny, na mocy której Kościół zgłaszał roszczenia do zwierzchnictwa nad władzą świecką. Lecz Kościół nie napisał na nowo Ewangelii według św. Mateusza, by uzasadnić legendę i każdy może zajrzeć do tekstu i stwierdzić, że nic nie wskazuje na to, by trzej mędrcy, którzy przybyli odwiedzić Dzieciątko Jezus, byli w rzeczy samej monarchami. Opowieść pozostała jako niewinne wydarzenie folklorystyczne. Nikt nie wie, kto wstawił „comma Johanneum” do tekstu apostołskiego listu; był to z pewnością niemiły problem. w końcu jednak katolicyjscy redaktorzy Nowego Testamentu uznali ów fragment tekstu za interpolację.

W ciągu ostatnich kilku stuleci tak katolicka, jak i protestancka kultura wydały wielu wybitnych historyków, którzy – miast posługiwać się *pia fraus* dla ozdoby annałów Kościoła – byli pionierami w krytycznym badaniu kościelnych dokumentów. Opublikowali oni wiele dzieł o nieprzemijającej wartości (a gdzieś są

komunistyczni historycy, zasługujący na taki sam szacunek?). Kościół oczyścił się z fałszerstw i zyskał na tym. Ale tamte fałszerstwa miały wyraźnie określone cele, w przeciwieństwie do kłamstwa współczesnego totalitaryzmu, którego ostatecznym celem jest całkowite umysłowe i moralne wywłaszczenie człowieka.

Destrukcyjne działanie totalitarnej maszyny, bez względu na to, czy ten przymiotnik jest oficjalnie używany *, opiera się na ogół na szczególnego rodzaju prymitywnej filozofii społecznej. Głosi ona nie tylko, że wspólne dobro „społeczeństwa” stoi wyżej niż interesy jednostek, lecz również, że samo istnienie jednostek jako osób da się zredukować do istnienia społecznej „całości”; innymi słowy, egzystencja osobowa jest w jakimś dziwnym sensie nierzeczywista. Jest to wygodna podstawa dla każdej ideologii niewolnictwa.

III

Przez cały czas mówię, oczywiście, o idealnym społeczeństwie totalitarnym, którego istniejące ustroje są (lub były) tylko mniej lub bardziej udanymi przybliżeniami. Późniejszy stalinizm (i maoizm) był przybliżeniem całkiem niezłym. Jego triumf polegał nie na tym po prostu, że praktycznie wszystko było bądź zafałszowane, bądź przemilczane – statystyki, wydarzenia historyczne, wydarzenia bieżące, nazwiska, mapy, książki (niekiedy pisma Lenina) – lecz również na tym, że mieszkańcy kraju przyuczani byli do rozpoznawania tego, co politycznie „słuszne”. W umysłach funkcjonariuszy granica między tym, co „słuszne” a tym, co „prawdziwe” – tak jak to zazwyczaj pojmujemy – była rzeczywistość zamazana; powtarzając ciągle te same absurdy, zaczęli oni sami w nie wierzyć lub przynajmniej na poły wierzyć. Masowe i głębokie zepsucie języka stworzyło w końcu ludzi, którzy nie byli w stanie dostrzec własnego zakłamania.

Wydaje się, że ten sposób postrzegania świata w znacznym stopniu istnieje nadal, mimo że wszechobecność ideologii zosta-

* Przymiotnik ten używany był w pozytywnym sensie przez Mussoliniego i Gramsciego, lecz nigdy przez id ologów radzieckich ani – o ile mi wiadomo – przez nazistów.

ła ostatnio nieco zredukowana. Kiedy sowieccy przywódcy powiadają, że „wyzwolili” Afganistan, lub że w Związku Sowieckim nie ma więźniów politycznych, można z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że mówią to, co myślą: język pogmatwali do tego stopnia, że dla sowieckiej inwazji nie potrafią użyć innego słowa jak „wyzwolenie” i nie mają zupełnie poczucia gróteskowego dystansu między językiem a rzeczywistością. Trzeba ostatecznie wiele odważyć, by zdobyć się na całkowity cynizm; ci, którzy okłamują siebie samych, pojawiają się wśród nas dużo częściej niż doskonali cynicy.

Oto drobna i niewinna anegdota. W roku 1950 poszedłem w Leningradzie do Ermitażu w towarzystwie kilku polskich przyjaciół; mieliśmy przewodnika (wicedyrektora muzeum, jeśli dobrze pamiętam), który najwyraźniej był znającym się na rzeczy historykiem sztuki. W pewnym momencie – nie wolno przecież przepuścić żadnej okazji do pouczeń ideologicznych – powiedział nam: „Mamy, towarzysze, w naszych piwnicach mnóstwo obrazów zdegenerowanych i zepsutych malarzy burżuazyjnych. Wiecie, te wszystkie Matisy, Cézanny, Braque’i i tak dalej. Nigdy ich nie wystawialiśmy w muzeum, ale pewnego dnia pokażemy je może ludziom, by mogli sami zobaczyć, jak nisko stoczyła się sztuka burżuazyjna. Towarzysz Stalin uczy nas przecież, że nie należy upiększać historii”. W Ermitażu byłem ponownie z innymi przyjaciółmi w roku 1957, w czasie względnej „odwilży” i przydzielono nam tego samego człowieka jako przewodnika. Zaprowadzono nas do sal pełnych nowoczesnego malarstwa francuskiego. Nasz przewodnik powiedział nam: „Widzicie tutaj arcydzieła wielkich malarzy francuskich – Matisse’a, Cézanne’a, Braque’a i innych. I – dodał (przecież nie można tracić okazji) – czy wiecie, że burżuazyjna prasa oskarżała nas, że nie chcemy wystawiać tych obrazów w Ermitażu? A to dlatego, że kiedy odnawiano niektóre sale w muzeum i trzeba je było na jakiś czas zamknąć, pewien burżuazyjny dziennikarz był tutaj i potem wystąpił z tymi śmiesznymi oskarżeniami. Ha, ha!”

Czy przewodnik kłamał? Nie jestem pewien. Gdybym przypomniał mu o jego poprzedniej wypowiedzi – czego nie zrobiłem – zaprzeczyłby po prostu wszystkiemu ze szczerym oburzeniem i prawdopodobnie uznałby, że to, co nam powiedział, było

„słuszne” i wobec tego prawdziwe. Prawdą w tym świecie jest to, co służy „słusznej sprawie”. Psychologiczny mechanizm działający w umysłach, które zostały odpowiednio wytrenowane i przerobione w totalitarnej maszynie do mięsa, jest materiałem dla analiz profesora Festingera.

Kłamstwo na użytek doraźny nie jest samo w sobie szczególnie interesującym zjawiskiem, nie jest też warte badania, o ile jest kłamstwem czystym i zwykłym, wymyślonym dla określonych celów. Jakiś minister powiedział, że nie spał z tą panią, ale naprawdę z nią spał; jakiś prezydent oświadczył, że nie wiedział, co robili jego podwładni, ale naprawdę wiedział. W takich faktach nie ma nic tajemniczego ani fascynującego; są to zwykłe produkty uboczne życia politycznego. Kłamstwo staje się interesujące w ustrojach totalitarnych nie z uwagi na jego zasięg i częstotliwość, lecz na jego funkcje społeczne, psychologiczne i poznawcze. Byłoby czymś bardzo powierzchownym wyobrażać sobie, że kłamstwa sowieckiej prasy są po prostu wzmocnionym i natężonym normalnym politycznym kłamstwem. Oczywiście, jeśli ktoś chce kolekcjonować polityczne kłamstwa, wystarczy mu jakikolwiek numer *Prawdy* lub *Literaturnej gazety*. Każdy numer jest pełen bezpośrednich kłamstw, przemilczeń i opuszczeń; i za każdym razem cel, któremu służą, jest oczywisty. Stają się one godne uwagi dopiero w kontekście wielkiej maszyny edukacyjnej, zaprojektowanej do budowy Nowej Cywilizacji.

Poznawczy aspekt tej maszyny polega na tym, że niweczy ona rozróżnienie między prawdą i „słusznością” polityczną. Jej funkcja psychologiczna jest istotna dlatego, że szkoląc ludzi w tej konfuzji i wszczepiając w nich wiarę, że nic nie jest samo w sobie prawdziwe i że prawdą może być cokolwiek na mocy dekretu władzy, stwarza nowego „socjalistycznego człowieka”, pozbawionego woli i oporu moralnego, odartego ze społecznej i historycznej tożsamości. Sztuka zapominania historii jest kluczowa: ludzie powinni wiedzieć, że przeszłość można zmieniać z dnia na dzień – od prawdy do prawdy. W ten sposób odcięci są od tego, co byłoby źródłem siły w utwierdzaniu własnej tożsamości poprzez odwołanie się do zbiorowej przeszłości. Rzecz nie w tym, że nie ma nauczania historii (choć w Chinach Mao Tse-tunga nauczanie historii podobno niemal zanikło; nie były dostępne

żadne książki z wyjątkiem dzieł Mao i technicznych podręczników), lecz w tym, że ludzie wiedzą, iż to, czego ich dzisiaj uczą, jest prawdziwe „obiektywnie”, a zarazem prawdziwe na dzisiaj tylko i że ich władcy są panami przeszłości. Jeżeli się do tego przyzwyczają, stają się ludźmi bez świadomości historycznej, to znaczy bez zdolności do określenia siebie inaczej, jak tylko w stosunku do państwa: są istotami pozbawionymi osobowości, *perduta gente*.

Ale ta umysłowa i moralna sterylizacja społeczeństwa najeżona jest niebezpieczeństwami. Działa dopóty, dopóki totalitarny reżym w stosunkach z poddanymi wymaga tylko zwykłego, biernego posłuszeństwa. Jeśli natomiast w chwili kryzysu wymaga osobistej motywacji, machina przestaje funkcjonować. Stalinizm znalazł się w stanie takiego kryzysu w czasie wojny z Niemcami, kiedy jedynym sposobem zmobilizowania mas rosyjskich do obrony było porzucenie marksizmu-leninizmu i odwołanie się do specyficznie rosyjskich symboli historycznych i uczuć narodowych jako oręża ideologicznego. Idealne społeczeństwo totalitarne, złożone z plastycznych przedmiotów, jest silne we względnie stabilnych warunkach; przy braku stabilności staje się nieodporne. Dlatego, między innymi, doskonałego ustroju totalitarnego (lub „wyższego stadium socjalizmu”) nigdy nie da się zbudować.

Bez względu na to, jak wielkie poczyniono postępy w realizacji wielkiej ambicji totalitaryzmu – całkowitego zawłaszczenia ludzką pamięcią – cel ostateczny jest nieosiągalny, i to nie tylko dlatego, że pamięć ludzka jest odporna. Nie dlatego również, że ludzka istota jest rzeczywistością ontologiczną. Można ją unieruchomić przemocą, ale przy pierwszej okazji będzie ona zawsze próbowała odzyskać swoje prawa. Nawet w najbardziej sprzyjających warunkach masowego procesu fałszerstwa nie można doprowadzić do końca: potrzebna jest znaczna ilość fałszerzy, którzy z koniecznością muszą znać różnicę między tym, co autentyczne i tym, co sfalszowane (prostym przykładem jest oficer w kartograficznym biurze wojskowym, który musi mieć do dyspozycji mapy niezafalszowane po to, by móc je fałszować). Władza słów nad rzeczywistością nie może być nieograniczona, ponieważ rzeczywistość, na szczęście, narzuca swoje własne nieodparte

warunki. Władcy krajów totalitarnych chcą oczywiście prawdziwych informacji, ale raz po raz padają nieuchronnie ofiarą własnych kłamstw i doznają niespodziewanych porażek. Zaplątani we własne sidła, chwytają się niewygodnych kompromisów pomiędzy własną potrzebą prawdy i quasi-automatycznym działaniem systemu, który produkuje kłamstwa na użytek wszystkich, włącznie z ich producentami.

Krótko mówiąc: ponieważ totalitaryzm oznacza całkowitą kontrolę państwa nad wszystkimi dziedzinami życia oraz nieograniczoną władzę sztucznej ideologii państwowej nad ludzkimi umysłami, może on dojść do doskonałości tylko wówczas, jeżeli uda mu się wyeliminować opór zarówno naturalnej, jak i umysłowej rzeczywistości, czyli, innymi słowy, całkowicie znieść rzeczywistość. Dlatego, kiedy mówimy o totalitarnych reżymach, nie mamy na myśli systemów doskonałych, lecz raczej takie, które dążą bezustannie do osiągnięcia doskonałości, do wchłonięcia wszystkich kanałów ludzkiej komunikacji i wykorzystania wszystkich spontanicznie powstających form życia społecznego.

W tym sensie wszystkie ustroje sowieckiego typu są totalitarne, choć różnią się między sobą stopniem swoich dokonań – dystansem dzielącym ich rzeczywiste warunki od niedoścignionego ideału.

Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć po pierwsze, że w krajach komunistycznych środkowej i wschodniej Europy ów dystans był zawsze większy niż w radzieckiej metropolii, a totalitaryzm nigdy nie doszedł do sowieckiego stopnia doskonałości; po drugie, w samym Związku Sowieckim jesteśmy świadkami narastania tego dystansu, ruchu odchodzącego od totalitarnej perfekcji. Nie możemy jednak twierdzić, iż znamy dokładnie znaczenie tego procesu, czy że możemy przepowiedzieć jego przyszły przebieg.

Powolny, ale rzeczywisty, wsteczny ruch sowietyzmu nie ma nic wspólnego z brakiem totalitarnej woli wewnątrz systemu i jego klasy rządzącej albo z „demokratyzacją” reżymu. Polega on na ustępstwach niechętnie poczynionych na rzecz nieodpartej rzeczywistości, czy raczej przez nią wymuszonych. (Choć wydaje się to niewiarygodne, sowieckim ideologom wczesnych lat pięćdziesiątych udało się powstrzymać rozwój wojskowej technologii

przez obskuranckie ataki na „cybernetykę”.) Z oczywistych względów totalitarne państwa – na szczęście dla losu ludzkości, na nieszczęście dla pokoleń, które spędzają swe życie w tej ciemności – są nieuchronnie i beznadziejnie nieudolne w zarządzaniu gospodarką. Wszystkie reformy gospodarcze w krajach komunistycznych, o ile przynoszą jakiegokolwiek rezultaty, idą w tym samym kierunku: częściowego wyzwolenia mechanizmów rynkowych; innymi słowy, częściowego przywrócenia „kapitalizmu”. Wszechmoc ideologii okazała się katastrofalna w wielu dziedzinach podporządkowanych jej władzy, stąd jej panowanie trzeba było ograniczyć. Kryzys prawomocności ustroju jest równie oczywisty, jak rozpaczliwe poszukiwanie nowej formy ideologicznej. Skutek jest taki, że państwowa ideologia staje się coraz bardziej niekoherentna, bezsensowna i nieuchwytna.

Nie oznacza to, że możemy oczekiwać stopniowej korozji, która krok po kroku doprowadzi do cudownej mutacji i przekształci ustrój totalitarny w społeczeństwo „otwarte”. Historyczne analogie w każdym razie nie przydają się w tego rodzaju przewidywaniach. Dopóty na zsowietyzowanych terytoriach działa wbudowany w system totalitarny napęd wspierany przez interesy klas uprzywilejowanych, dopóty niewielkie są nadzieje na postęp, który doprowadziłby pewnego dnia niepostrzeżenie do przekroczenia granicy dzielącej despotyzm od demokracji. Przykłady Hiszpanii i Portugalii też nie są szczególnie przydatne, zarówno z uwagi na inny kontekst międzynarodowy tych krajów w chwili przemiany, jak i dlatego, że nie były one nigdy bliskie totalitarnej doskonałości. Popuśćmy wodze fantazji i wyobraźmy sobie dzień, kiedy sowiecki ustrój polityczny staje się mniej więcej podobny do ustroju Hiszpanii w ciągu ostatnich dziesięciu lat rządów Franco. W oświeconych i liberalnych kołach Zachodu obwołano by ten dzień największym triumfem demokracji od czasów Peryklesa i ostatecznym dowodem na nieskończoną wyższość „socjalistycznej demokracji” nad porządkiem burżuazyjnym.

Można sobie jednak wyobrazić względnie niegwałtowny upadek totalitaryzmu, skromne nadzieje na tego rodzaju rozwój wypadków znalazły największe dotychczas oparcie w przykładzie Polski z lat 1980-81. Pośród sowieckich protektoratów Poł-

ska, jak wiadomo, była mniej konsekwentna w totalitarnym postępie, pomimo wszystkich okropności stalinizmu. Mam silne wrażenie, że w pierwszych latach powojennych zaangażowani komuniści (a tacy istnieli wówczas, w przeciwieństwie do lat sześćdziesiątych i późniejszego okresu) byli umyślowo mniej zepsuci, lecz bardziej cyniczni niż w innych krajach – cyniczni nie w sensie niewiary w idee komunizmu, lecz w sensie nieobecności „falsywej świadomości”. Wiedzieli, że to, co partia próbuje przekazać „masom”, jest czystym kłamstwem i aprobowali to w imię przyszłej szczęśliwości socjalistycznego społeczeństwa.

Z drugiej strony, pomimo wszystkich wysiłków podejmowanych przez władców, pomimo przygniatającego ciężaru zorganizowanego załgania, kulturalna ciągłość Polski nie została naruszona. W czasie powojennych dziesięcioleci wszelkie złagodzenia warunków politycznych, bez względu na to, jakie przypadki historyczne były ich przyczyną, natychmiast wypychały na powierzchnię stłumioną tożsamość historyczną Polaków, ukazując jaskrawą i nieuleczalną niezgodność komunizmu z głęboko zakorzenionymi tradycjami, narodowymi, religijnymi i politycznymi formami myślenia i zachowania. Książki historyczne – wydawane w Polsce lub przemycane z zagranicy – jeżeli tylko nie były skażone oficjalnym zakłamaniem cieszyły się zawsze ogromną popularnością, nie tylko pośród inteligencji, lecz – szczególnie w ostatnich latach – pośród robotników i młodzieży.

Miesiące Solidarności zdawały się otwierać nową i nie zbadaną jeszcze drogę, na której nieudolny i nieruchawy system totalitarny można było ewentualnie popchnąć w kierunku ustrojowej hybrydy, gdzie znalazłoby się miejsce dla elementów rzeczywistego pluralizmu. Dyktatura wojskowa zgniotła na razie organizacyjną formę tego ruchu, nie udało się jej jednak zniszczyć nadziei. Fakt, że komunistyczna tyrania nie próbuje już nawet utwierdzać zasady własnej prawomocności i że zmuszona była do wystąpienia bez ideologicznej maski jako naga przemoc – jest sam w sobie wymownym symptomem rozkładu totalitarnego systemu władzy.

Tłum. K. D.

Przekład autoryzowany.

Leszek Kołakowski

Ihor Ševčenko

ESCHATOLOGIA ORWELLA

Panie i panowie!

Będę dziś mówić o George'u Orwellu (1903-1950), a to z trzech powodów. Po pierwsze, 1984 to rok, w którym zarówno niezliczeni luminarze, jak i laicy w moim rodzaju wydają orzeczenia na tematy wyników, jakie Orwell osiągnął jako prorok. Po drugie, mam pewne podstawy, aby przekazać Państwu nieco ustnej historii związanej z Orwellem, jako że to ja byłem osobą, która nakłoniła go do napisania wstępu do dokonanego przeze mnie przekładu *Animal Farm* na ukraiński. Ów ukraiński wstęp do *Folwarku zwierzęcego*, przetłumaczony następnie z powrotem na angielski, zawiera jedyną otwartą wypowiedź autora na temat genezy tej sławnej bajki; zawiera również krótką autobiografię – napisaną przez Orwella dla odległej publiczności i sprowadzoną do tego, co on sam uważał za najważniejsze momenty swojego życia – oraz zwięzły rys społeczeństwa brytyjskiego, tak jak pisarz je widział około roku 1947. Po trzecie, jako bizantynista interesujący się bizantyjskimi i bizantyjsko-słowiańskimi eschatologiami, czyli traktatami o Końcu Dni, potrafię może podsunąć parę sugestii dotyczących tego, co dzieje się z egzegezą Orwella w naszej dobie.

Na pytanie, jak powiodło się Orwellowi jako prorokowi, można znaleźć, podobnie jak na wszelkie oczywiste i niemądre pyta-

nia, łatwą odpowiedź: powiodło mu się nie gorzej niż dowolnemu inteligentnemu człowiekowi, który dokonuje ekstrapolacji na podstawie doświadczenia swoich własnych czasów. Oznacza to, że jeśli poddamy Orwella obiektywnej próbie, wynik będzie dość kiepski: jeśli zaś, powodowani sympatią, zdefiniujemy termin „proroctwo” w sposób nieściśły i przyjmiemy zasadę, iż wątpliwości świadczą na korzyść oskarżonego, wynik wypadnie nieco powyżej przeciętnej. Dla przykładu: w Orwellowskiej fabryce rocznik 1984 głównym dźwiękiem, towarzyszącym produkcji, jest wciąż jeszcze stukot młotków, a nie szum zautomatyzowanej taśmy produkcyjnej; Julia, zbuntowana bohaterka 1984, pragnie nosić jedwabne pończochy i pantofle na wysokich obcasach zamiast bezbarwnego partyjnego kombinezonu – pragnie być kobietą, nie towarzyszem. Spacer przez Harvard Yard w wiosenny dzień i rzut oka na to, w co się ubierają przechodzące tamtędy kobiety, wystarczy jako dowód, jak bardzo omylił się Orwell w tej akurat przepowiedni na rok 1984. Decydującym zaś argumentem na rzecz porażki pisarza w roli proroka byłoby stwierdzenie, że przecież nie ma dziś nigdzie żadnego nieśmiertelnego Wielkiego Brata, który by nas obserwował.

Z drugiej strony, Orwell okazał się całkiem bystry w swoim przewidywaniu przydatności helikopterów (wystarczy przypomnieć teatry wojenne w Wietnamie, Salwadorze i Afganistanie) i zaniku bombowców, zastąpionych w święcie 1984 przez wyrzutnie raketowe; w podkreśleniu roli telewizji i wykrywaniu zasadniczych cech nowomowy, które to cechy osiągnęły dziś rozkwit w żargonie komputerowym. Najtrafniejszą zaś z jego ekstrapolacji była przepowiednia, iż elity władzy w każdym z trzech superpaństw, które ostaną się do roku 1984, zdadzą sobie sprawę, że dalsze bombardowania atomowe oznaczająby koniec zorganizowanego społeczeństwa, a zatem i ich własnej władzy (1984, str. 206 *); skutkiem tego, z upływem lat pięćdziesiątych zaprzestanie się zrzucania bomb. Orwell był jednakże wystarczająco przenikliwy, aby przypuścić, że pomimo tej powściągliwości trzy

* Numery stron odnoszą się do wydania 1984 w przekładzie polskim Juliusza Miroszewskiego, Instytut Literacki, Paryż 1979 (przyp. tłum.).

supermocarstwa będą nadal produkować bomby atomowe (o bombach wodorowych jeszcze nie słyszał), i „magazynować je w nadziei, że wcześniej czy później nadejdzie chwila, kiedy będzie ich można użyć w celu osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa” (1984, str. 202). Analiza Orwella wciąż jeszcze pozostaje w mocy – i umożliwia mi przemawianie dzisiaj do Państwa.

Kolejne pytanie, dotyczące podstawy dla realiów, z których Orwell skonstruował tło 1984, jest nie tyle niemądre, co trywialne. Można na nie odpowiedzieć w ten sposób: owo tło spreparowane jest, w zgodzie z rozsądkiem, z materiału znanego autorowi najlepiej, mianowicie z materiału Wielkiej Brytanii. Tak więc Bitwa o Pas Lotniczy Nr 1 jest bitwą o Anglię przeniesioną w lata pięćdziesiąte; olbrzymie bomby zrzucane przez Eurazję na Londyn w roku 1984 to niemieckie V-2 z lat 1944-45; Plac Zwycięstwa z wielką kolumną i pomnikiem Wielkiego Brata modelowany jest na wzór Trafalgar Square z pomnikiem Nelsona i tak dalej. Mogę nawet uznać, że własne doświadczenie Orwella z lat wojny przepracowanych w BBC i Ministerstwie Informacji nadało kształt codziennej krzątaniu bohatera 1984, Winstona Smitha, w Ministerstwie Prawdy. Jest również możliwe, że obdarzenie Smitha imieniem Winston było nawiązaniem do imienia Winstona Churchilla.

Dalej wszakże nie będę się posuwał. Czym innym są źródła, z których wzięło się tło opowieści, czy innym – źródła jej dynamiki. Zgoda, 1984 – napisane w roku 1948 – dzieje się w Londynie i traktuje o społeczeństwie totalitarnym; jednakże struktura i funkcjonowanie owego społeczeństwa w przeważającej mierze nie jest ekstrapolacją tendencji właściwych Zachodowi (włącznie z nazizmem). Ani Oceania, ani Pas Lotniczy Nr 1 nie obrazują przyszłości świata anglosaskiego. Większość mechanizmów społecznych roku 1984, jeśli pominąć nieistotne szczegóły (takie jak muzyka wojskowa poprzedzająca komunikaty wojenne i nadawana z londyńskich megafonów – zapewne praktyka nazistowska przeniesiona w rok 1984), wzorowana była na tym, co Orwell wiedział o Związku Sowieckim, a wiedział o nim bardzo wiele. Obecność tego wzoru można wykazać metodami staromodnej eksplikacji tekstu, choćbyśmy mieli przy tym zaryzykować stwierdzenie rzeczy oczywistych.

Pierwszy szkic *1984* powstał, według wszelkiego prawdopodobieństwa, w roku 1943. 1943 to również rok rozpoczęcia *Folwarku zwierzęcego* (który ukończony został w lutym 1944). Że *Folwark zwierzęcy* jest ujętym w formę bajki atakiem na mit sowiecki, oświadczył dosłownie sam Orwell w swoim wstępie do przekładu ukraińskiego: i nie muszą tu Państwu przypominać, że Napoleon z *Folwarku* to Stalin, że Chyży to Trocki, że budowa wiatraka to industrializacja, że zniszczenie przez kury własnych jajek i pozbawienie tychże kur pokarmu to klęska głodu w roku 1933, że samooskarżenia, procesy i krwawe egzekucje zwierząt to procesy pokazowe lat 1937-38, i że uczta kończąca *Folwark* to konferencja w Teheranie. *Folwark zwierzęcy* mówi o zdradzie rewolucji przez partię w Związku Sowieckim. Jeśli oprócz podkreślenia zbliżonych dat powstania *Folwarku* i *1984* wskażemy jeszcze na istotne cechy, które upodabniają *Folwark Zwierzęcy* jako republikę i *Oceanię* jako jedno z trzech superpaństw, wiarygodna wyda się teza, że *1984* mówi o społeczeństwie, którego opis Orwell wzorował na współczesnym sobie stalinowskim Związku Sowieckim, przenosząc go w rok 1984.

Barę szczegółów. We wstępie do wydania ukraińskiego (pochodzącym z 1947 r.) Orwell pisze: „Od roku 1930 nie widziałem wielu dowodów na to, że ZSRR posuwa się w kierunku czegokolwiek, co można byłoby naprawdę nazwać socjalizmem. Przeciwnie, uderzały mnie wyraźne oznaki przekształcenia się ZSRR w społeczeństwo hierarchiczne, w którym rządzący mają nie więcej powodów do rezygnacji z władzy niż jakakolwiek inna klasa panująca”. Kto czytał *1984* niedawno, przypomni sobie, że „społeczeństwo hierarchiczne” to termin kilkakrotnie zastosowany do Oceanii w teoretycznej części powieści, to jest w rzekomym traktacie Goldsteina na temat Oligarchicznego Kolektywizmu (str. 199, 200, 209).

Folwark zwierzęcy zna już problem pisania historii na nowo, tej formy działalności Partii, która stanowi jeden z dwóch głównych tematów *1984*: Napoleon, któremu można byłoby udowodnić opozycyjne stanowisko wobec pomysłu wiatraka, od chwili porażki Chyżego objawia się jako odwieczny zwolennik projektu; Chyży, niegdyś główny bohater *Bitwy o Oborę*, był

zawsze – jak się okazuje – agentem pana Jonesa, wysiedlonego farmera (który symbolizuje pokonaną carską elitę); w Bitwie o Oborę jedynie udawał bohaterstwo, w istocie zaś został ukarany naganą za tchórzostwo i nigdy nie odznaczono go orderem Bohatera Zwierzęcego Pierwszej Klasy. W zakończeniu wychodzi na jaw, że Chyży walczył po stronie farmera Jonesa. Trzy z siedmiu przykazań streszczających w sobie zasady Animalizmu zostają w nocy poddane sekretnej przeróbce. Tak więc, po krwawych egzekucjach zwierząt przykazanie „żadnemu zwierzęciu nie wolno zabijać innego zwierzęcia” zostaje zmienione na „żadnemu zwierzęciu nie wolno zabijać innego zwierzęcia bez przyczyny”; kiedy zaś świny odkrywają rozkosze whisky i upijają się, przykazanie „żadnemu zwierzęciu nie wolno pić alkoholu” ulega zmianie na „żadnemu zwierzęciu nie wolno pić alkoholu w nadmiarze”.

Folwark zwierzęcy zna również problem fałszywych statystyk głoszących wzrost produkcji o sto czy dwieście procent – w 1984 tego rodzaju manipulacje, łącznie z obwieszczeniami o „przekroczeniu normy” (pojęcie, notabene, nie znane zarówno żargonowi nazistowskiemu, jak i mowie aliantów), tworzą *basso continuo* tekstu narracyjnego. Zwierzęta w *Folwarku* zdają sobie sprawę, że nie byłyby w stanie ustalić, czy ich obecny poziom życia jest wyższy czy niższy niż za czasów Jonesa – stoją zatem wobec tego samego dylematu, z którego nie widzi wyjścia Winston Smith, bohater 1984. Chyży, ideologiczny czarny charakter *Folwarku*, jest bliźniakiem heretyka Oceanii, Goldsteina – obaj zaś, jak już wiemy, oznaczają Trockiego. „Gburowaty, żołnierski sposób bycia” Napoleona znajduje lustrzane odbicie w sposobie bycia Wielkiego Brata, zarazem „wojskowym i pedantycznym” (por. *Folwark*, str. 42 *, i 1984, str. 74). Napoleon przechytrza pana Pilkingtona z Foxwood (czytaj: mocarstwa zachodnie) i ubija interes z panem Frederickiem z Pinchfield (czytaj: Hitlerem). W *Folwarku* jest to przejrzystą aluzją do paktu Ribbentropp-Mołotow z roku 1939; w 1984 przerzucanie się Ocea-

* Numery stron odnoszą się do wydania *Folwarku zwierzęcego* w przekładzie Terezy Jeleńskiej, Odnowa, Londyn 1974 (przyp. tłum.).

nii od jednego sojuszu do drugiego stanowi stale powracający motyw: wczorajszy wróg staje się dzisiejszym przyjacielem, przy czym nie pada ani słowo przyznania się do zmiany polityki (1984, str. 63, 166, 188-9). Mamy wszelkie podstawy do twierdzenia, że ten motyw 1984 zainspirowany został przez ten sam pakt Ribbentrop-Mołotow.

Folwark zwierzęcy ma nawet swoją bezmyślną i egocentryczną kobietę (klacz Molly); kobiety takie pojawiają się znowu w 1984 (sympatyczna bohaterka tej powieści, Julia, posiada pewne cechy Molly); bezmyślne kobiety czy mężczyźni nie są jednakże monopolem społeczeństwa totalitarnego. Znacznie ważniejsze jest przypomnienie, że *Folwark* wprowadza dwa ze znaków firmowych 1984: zna pojęcie zarówno dwójmówienia, jak dwójmyślenia. Przykładem pierwszego może być użytek czyniony z terminu „dostosowanie” (nigdy „zmniejszenie”), gdy kurczą się racje wydzielane zwierzętom; przykładem drugiego – jedna z historii opowiadanych o Chyżym-Trockim: popelnia on akt sabotażu, wrzucając klucz do studni; wszyscy wierzą, że ten nikczemny postępek w istocie się wydarzył, i nie przestają wierzyć nawet wtedy, gdy klucz się odnajduje.

Ten, kogo nie przekonają przytoczone przed chwilą dowody ogólniejszej natury, będzie musiał przyznać, że przynajmniej pewne drobniejsze szczegóły obrazu społeczeństwa Oceanii mają swoje odpowiedniki w Związku Sowieckim z czasów Orwella, a nie w Zachodzie z lat 1944-48 czy w nazistowskich Niemczech. Ograniczę się do trzech przykładów. W Londynie roku 1984 „nie istniały żadne spisy czy książki adresowe”; dowiedzieć się, gdzie ktoś mieszka, można było tylko „w drodze bezpośredniej osobistej informacji” (str. 170). Mamy tu do czynienia z Moskwą lat 1948, 1970 i, jak sądzę, nawet 1984, nie zaś z Londynem czy Berlinem lat przedwojennych lub wojennych: Niektórzy zdrajcy Oceanii przyznawali się do podróży za granicę w celu odbywania narad z członkami sztabu Generalnego Eurazji; o zbrodnię tego rodzaju nie oskarżono nigdy żadnego dezertera z krajów zachodnich czy z nazistowskich Niemiec, natomiast w roku 1937 marszałek Tuchaczewski oskarżony został o wejście w zмовę z niemieckim Sztabem Generalnym i rozstrzelany za ten donniemany akt zdrady. Wreszcie trzeci przy-

kład: dzieci w Oceanii szpiegują starszych i donoszą na swoich rodziców, które to wyczyny spotykają się z pochwałami ze strony reżymu i z ust pewnego wiernego, choć tępawego, aparatczyka. Traf chce, że w powieści ten właśnie aparatczyk zostaje aresztowany na podstawie denuncjacji swojej córeczki. Nie istnieją tu zadowalające paralele zachodnie czy nazistowskie, znamy natomiast sławetną historię Pawlika Morozowa, chłopca, który zadenuncjował własnego ojca za ukrywanie ziarna podczas tragicznego głodu panującego we wczesnych latach trzydziestych w Związku Sowieckim, głównie na Ukrainie. W Związku Sowieckim Pawlik pozostaje po dziś dzień oficjalnym bohaterem i dla upamiętnienia jego wyczynu wzniesiono nawet pomnik.

Obok tych szczegółów, wskazujących na Związek Sowiecki jako na cel Orwellowskiej krytyki, można przytoczyć szczegóły inne, które wskazują, że modelu dla Oceanii nie stanowiła ani Wielka Brytania, ani Niemcy. Tak na przykład, w swoim krótkim zarysie społeczeństwa brytyjskiego, naszkicowanym na użytek ukraińskiego czytelnika *Folwarku*, Orwell, który nie zapomniał podkreślić, że współczesna mu Wielka Brytania daleka jest od prawdziwej demokracji z powodu dominujących w niej wielkich różnic majątkowych, wyróżnił mimo to rzetelność statystyk jako jedną z pozytywnych cech brytyjskiego rządu – jak wdziliśmy, odwrotny stan rzeczy charakteryzował zarówno Oceanię, jak i świat *Folwarku* zwierzęcego. Inny przykład: w szkicu 1984 pochodzącym z roku 1943, czyli z okresu, gdy nazistowskie Niemcy były wciąż jeszcze groźnym przeciwnikiem, znaleźć można kilka nagłówków rozdziałów opisujących patologiczny antysemityzm państwa; w drukowanej wersji 1984 nie ma natomiast w zasadzie mowy o antysemityzmie. W sytuacji, gdy nazistowski koszmar ustał, a antysemityzm sowiecki – w postaci „spisku lekarzy” z wczesnych lat pięćdziesiątych – jeszcze się nie ujawnił, motyw ten został z ostatecznej wersji powieści wyeliminowany.

Co było owym doświadczeniem, które doprowadziło Orwella – człowieka, który nigdy nie był w Związku Sowieckim – do takiego zaabsorbowania historią zdradzonej rewolucji i tkwiącymi w tej zdradzie niebezpieczeństwami dla socjalizmu? Doświadczenia takie były przynajmniej dwa; oba nastąpiły w mniej

więcej tym samym czasie. Raz jeszcze pomocna tu będzie chronologia, której dostarcza nam sam Orwell. W pewnym miejscu wstępu do ukraińskiego przekładu *Folwarku* powiada on: „Tak więc główne zarysy tej opowieści [mowa o *Animal Farm*] tkwily w moim umyśle w ciągu sześciu lat poprzedzających jej napisanie”. Odejmiemy 6 od 1943, daty powstania zasadniczego zrębu *Animal Farm*, a otrzymamy 1937 rok. W innym miejscu tego samego wstępu czytamy: „Przez ostatnie dziesięć lat żywiłem zatem przekonanie, że dla odrodzenia ruchu socjalistycznego sprawą podstawową jest zniszczenie sowieckiego mitu”. Jak pamiętamy, Orwell pisał swój wstęp w roku 1947; odejmiemy 10 lat od 1947 i otrzymamy znowu 1937. Co się zdarzyło w 1937 roku?

W roku 1937, dokładnie w ostatnich dniach grudnia 1936, Orwell (który w Anglii należał do Międzynarodowej Partii Pracy) przystąpił do walki w hiszpańskiej wojnie domowej po stronie lojalistów; nie w szeregach zdominowanej przez moskiewskich komunistów Brygady Międzynarodowej, lecz jako członek oddziałów trockistowskiej POUM (skrót ten oznaczał *Partido Obrero de Unificacion Marxista*). W Barcelonie Orwell i jego żona byli w roku 1937 świadkami rozprawy z członkami POUM, dokonanej przez moskiewskich komunistów działających z ramienia rządu; małżonkowie widzieli aresztowania niektórych spośród swoich przyjaciół i słyszeli o rozstrzelaniu niektórych innych. Docierały do nich oskarżenia, o których na podstawie osobistego doświadczenia wiedzieli, że są fałszywe – jak na przykład zarzut, że trockiści z POUM są faszystowskimi szpiegami. Orwellowie nie mogli nie potąpać się w tym wszystkim i nie skojarzyć rzekomych zbrodni swoich towarzyszy z rzekomymi występkami przypisywanymi ofiarom moskiewskich procesów pokazowych roku 1937. Prawem paradoksu, sam Orwell ocalał zapewne dzięki ciężkiej ranie odniesionej na froncie katalońskim, gdyż rana ta ostatecznie umożliwiła mu wyjazd do Francji. W efekcie tego wszystkiego, od roku 1937 Orwell zdawał sobie sprawę z, jak sam to określił, „negatywnego wpływu Związku Sowieckiego na zachodni ruch socjalistyczny”. Jego podstawowe poglądy na Związek Sowiecki ukształtowane zostały przez to, co przeżył w roku 1937 – i poglądy te nigdy nie uległy zmianie. Dwa poruszające pesymistyczne wątki 1984 ma-

ją swoje źródła w zmaganiu się Orwella i innych lewicowych intelektualistów (jak np. Koestler) z koszmarnymi wydarzeniami w Związku Sowieckim w późnych latach trzydziestych: mam na myśli wątek powszechnej zdrady (przypomnijmy umiejętny użytek uczyniony w 1984 z powracającego refrenu piosenki „Pod rozłożystym kasztanem Sprzedałem cię, a ty sprzedałeś mnie”) i wątek niezwykłości systemu, który z monotonną, bezwyjątkową regularnością wymusza ze swych ofiar upadające zeznania i daremne zapewnienia o wiernej miłości (przypomnijmy Pokój 101 i ostatnie zdania powieści, w których Winston Smith, dogłębnie zmiażdżony i przemieniony, wyznaje swą miłość do Wielkiego Brata).

Drugie doświadczenie, które kazalo Orwellowi poświęcić tyle wysiłku na wypowiedzenie prawdy o miecie sowieckim, miało swoje początki również w roku 1937, po powrocie pisarza do Anglii; chodziło w tym wypadku o ślepotę lewicowych intelektualistów, dających chętnie posłuch rażąco kłamliwym doniesieniom z moskiewskich procesów, oraz o szczególnie bolesne doświadczenie niechęci tychże intelektualistów do wysłuchiwanie prawdy o Hiszpanii, niechęci wyrażającej się w odrzucaniu tego, co Orwell miał do powiedzenia na ów temat (Kingsley Martin, redaktor *New Statesman and Nation*, był tu jednym z winowajców). To drugie doświadczenie uległo później zintensyfikowaniu w okresie starań Orwella o publikację samego *Folwarku zwierzęcego*. Szczupła ta książeczka ukazała się dopiero po drugiej wojnie światowej, półtora roku od powstania rękopisu i po odrzuceniu przez szereg (podobno tuzin) wydawców i lektorów, z T.S. Eliotem włącznie; czarną gałkę dało jej także Ministerstwo Informacji (które miało zaproponować Orwellowi, aby dla sportretowania klasy panującej w Związku Sowieckim wybrał jakieś inne zwierzęta zamiast świń). Wszystko to miało miejsce, ponieważ oczekiwano (nie bez podstaw), że *Folwark zwierzęcy* obrazi Wujaszka Józia. Ów oficjalny faryzeizm zarówno establishmentu wydawniczego, jak i biurokracji, skłonił Orwella w roku 1945 do napisania wstępu do *Folwarku* – wstępu, który; w przeciwieństwie do przedmowy do wydania ukraińskiego, nie został nigdy opublikowany. Następujące zdania, zamieszczone w tym nie ogłoszonym wstępie, powinien każdy z nas zachować sobie

na dzień najgłębszego zniechęcenia: „Wiem, że inteligencja angielska ma mnóstwo usprawiedliwień dla swojej bojaźliwości i nieuczciwości (...), ale przynajmniej przestańmy bajdurzyć o obronie wolności przed faszyzmem. Jeśli wolność oznacza cokolwiek, oznacza prawo do mówienia ludziom tego, czego nie chcą słuchać (...) W naszym kraju (...) to liberalowie właśnie lękają się wolności, a intelektualiści chcą obrzucać błotem intelekt”. W świetle tych słów nie powinno nas zaskoczyć, że pod koniec swego życia Orwell, wypowiadając się na temat *1984*, napisał „Wydaje mi się też, że idee totalitarne zakorzeniły się w umysłach intelektualistów wszędzie” (B. Crick, *George Orwell*, str. 398).

Świat *1984* jest więc wzorowany przede wszystkim na cechach właściwych Związkowi Sowieckiemu, a widzianych oczyma pisarza o silnym kręgosłupie moralnym i żywionych od dawna sympatiach trockistowskich – pisarza, który w roku 1937 doszedł do wniosku, że „komuniści stoją najdalej na prawo ze wszystkich” (Crick, str. 235). Mówiąc bez obślonek, *1984* to powieść antykomunistyczna – i zachodnia prasa komunistyczna tak też ją określiła w momencie publikacji książki. Sam Orwell, wypowiadając się w tej sprawie na ogół ostrożnie, przyznał jednak, że *1984* to „demaskacja perwersji, na które narażona jest scentralizowana gospodarka i które urzeczywistniły się już częściowo w komunizmie i w faszyzmie” (Crick, str. 398).

Nie jest to jednak standardowa interpretacja, którą słyszymy z ust luminary dzisiaj, w świecie kalendarzowego roku 1984 – jeśli pominąć błyskotliwe lub zdroworoządkowe obserwacje takich zatwardziałych „reakcjonistów”, jak Leszek Kołakowski albo Robert Conquest. Poglądem większości wydaje się dzisiaj teza, że *1984* to „racjonalne ostrzeżenie przeciwko tendencjom totalitarnym w społeczeństwach podobnych do naszego” (Crick, str. 397) albo po prostu, że *1984* „oznacza nas”; te ostatnie słowa wypowiedział autor artykułu w *Radcliffe Quarterly* z grudnia 1983, który cytuje z aprobatą podobne przekonania wyrażone w szkicu Ericha Fromma, napisanym około roku 1961 i zamieszczonym jako posłowie do wydania *1984* z roku 1983 (New American Library). Zdaniem tego samego autora artykułu, Stany Zjednoczone przypominają już Oceanię „pod pewnymi

względnymi". Nasz autor będzie musiał jednak przyznać, że pod pewnymi, znacznie liczniejszymi względami Stany Zjednoczone nie przypominają Oceanii: jeśli już nie z poważniejszych powodów, to choćby z uwagi na fakt, że krytyczna opinia naszego autora ukazała się w wydawanym w „Oceanii” wielkonakładowym czasopiśmie. Inni mędrcy powiadają: „Wystarczy skrzyżować przymus i retorykę Rosji Andropowa z blichtrzem i retoryką Ameryki Reagana, a otrzymujemy 1984” (Alex Comfort w *Portable Stanford*). Jeszcze innym 1984 dostarcza powodów dla propagowania zamrożenia broni nuklearnych i dostrzegania podobieństw pomiędzy nowomową a „nukleomową” (nukespeak). Jedyne co powściągliwsi luminarze czynią obserwacje, które zwracają moją uwagę swoją trafnością: dzieje się tak w przypadku wskazywania na analogie pomiędzy nowomową a językiem specjalistów komputerowych, lub w wypadku podkreślania, że dla zgłębienia dzisiejszych technik kontrolowania społeczeństw zachodnich bardziej przydatny niż 1984 okazuje się *Nowy świat* Aldousa Huxleya.

Czemu rzecz ma się właśnie tak? Podsunę tu tylko jedno z kilku wyjaśnień, jakie przychodzą mi do głowy. Wpierw jednak musicie Państwo przystać na moje rozumienie 1984 nie jako proroctwa, nie jako socjologicznej *science fiction* czy nawet anty-utopii (najbardziej popularna etykieta, jaką okleja się dziś tę powieść), lecz jako utworu eschatologicznego – wypowiedzi na temat Ostatnich Dni. Jeśli bowiem w istocie ma nam wiecznie towarzyszyć Partia, jeśli istotnie elita wynalazła strategię nieprzerwanego utrzymywania się przy władzy, jeśli Wielki Brat jest wieczny i nigdy nie umrze, jeśli osiągnięto cel, jakim jest zamrożenie historii w wybranym momencie, to w takim razie nastął Nieskończony Dzień, dzień stanowiący finał wszelkich traktatów eschatologicznych.

Wszystkie utwory eschatologiczne zawierają przepowiednie przyszłości; wszystkie tego rodzaju utwory opierają się na dwóch rodzajach proroctw: na proroctwach „prawdziwych” (są to relacje przedstawiane jako proroctwa, w istocie jednak będące stwierdzeniami na temat przeszłości, gdyż autor eschatologicznego traktatu udaje, że pochodzi ze znacznie wcześniejszych czasów niż w rzeczywistości) i na proroctwach fałszywych (są to

autentyczne przypuszczenia na temat przyszłości). Jeśli wydarzenia, które spowodowały fałę utworów eschatologicznych, nie przestają mieć istotnego znaczenia dla kolejnych pokoleń (w przypadku Bizancjum było tak z powtarzającymi się inwazjami ze strony jednego i tego samego narodu, na przykład z inwazjami Arabów pomiędzy siódmym a dziesiątym stuleciem, lub z zagrożeniem ze strony obcej religii, na przykład Islamu pomiędzy wiekiem siódmym a piętnastym), wówczas utwory te są uaktualniane i reinterpretowane: dodaje się do nich nowe „prawdziwe” proroctwa lub poddaje się je ideologicznym i doktrynalnym modyfikacjom. Tak na przykład, gdy traktat eschatologiczny z czwartego wieku mógł podkreślać boską naturę Chrystusa na niekorzyść jego natury ludzkiej, późniejsza przeróbka tego samego tekstu nazwie Chrystusa „prawdziwym człowiekiem”, w zgodzie ze stanowiskiem doktrynalnym przyjętym na Soborze w Chalcedonie w roku 451.

Krótko mówiąc, w literaturze apokaliptycznej proroctwo odnoszące się do pojęć eschatologicznych (ekstrapolacje Orwella dotyczące przyszłości) może zostać zastosowane przez późniejszego apokaliptyka (czyli przez nas, albo przez dzisiejszych luminarzy, których poddaję tu krytyce) do wypadków historycznych, do których pierwotnie się nie odnosiło. Takimi nowymi wydarzeniami historycznymi są dyskusje o rozbrojeniu atomowym; osobliwy użytek czyniony z angielszczyzny przez rzeczników Pentagonu; negocjacje na temat systemów wyrzutni antybalistycznych; ruch wyzwolenia kobiet (widziany, nie całkiem w zgodzie z prawdopodobieństwem, jako jeden z czynników, które nie pozwoliły 1984 stać się rzeczywistością); i przekonania prezydenta Reagana (nazywane „orwellowskimi” w roku 1983).

Nie wiem, czy 1984 Orwella przetrwa jako okaz literatury eschatologicznej po roku 1984. Jest to możliwe, przynajmniej dopóki nasze społeczeństwo nie ulegnie jakiegś gwałtownej przemianie, dopóki istnieje (tam, ale jeszcze nie całkiem tutaj) Związek Sowiecki, i dopóki jesteśmy w tarapatkach – jako że literatura apokaliptyczna jest raczej literaturą cierpienia niż nadziei. Jeśli tak – będą się pojawiały kolejne, w szerokim rozumieniu tych słów, interpretacje i rewizje Orwella w miarę upływu czasu.

Bądź co bądź Ewangelie, szczególnie Ewangelia według św. Marka, są między innymi również utworami literatury eschatologicznej: Chrystus, jeśli brać dosłownie Jego zdania w trzynastym rozdziale Marka, mówił o końcu świata, kiedy to „narod powstanie przeciw narodowi i królestwo przeciw królestwu”; koniec ten, przedstawiony jako nieuchronnie nadciągający („Nie przeminie obecne pokolenie, zanim wszystko to się nie dokona”), jeszcze nie nadszedł: mimo to, przesłanie Ewangelii, odpowiednio zreinterpretowane, nie przestaje zaspokajać potrzeb niezliczonych milionów ludzi.

Jeśli chodzi o oryginalne teksty Orwella, tekst *Folwarku zwięzłego* z roku 1945 i tekst 1984 z roku 1949, wszystko wskazuje na to, że będą one zabalsamowane jako dzieła klasyki literackiej; prawie na pewno stanie się tak w przypadku *Folwarku*. Jako ewangelia lewicy antystalinowskiej natomiast, teksty te zblakną w miarę wymierania samej antystalinowskiej lewicy. Jeśli znajdziecie gdzieś dzisiaj Państwo niedobitka tej lewicy, zaproście go do baru. Wydatek sowiecie się opłaci: niedobitek opowie Wam zapewne rzeczy, których nie opowiedziałby żaden dzisiejszy luminarz, zwłaszcza luminarz poniżej czterdziestego roku życia. Pomyślcie Państwo o tym: czegoż byśmy nie ofiarowali za możliwość rozmowy z jednym z wczesnych czytelników trzynastego, eschatologicznego rozdziału Ewangelii św. Marka, z czytelnikiem mniej więcej współczesnym samemu Ewangelistcie? Rozmowa taka byłaby doświadczeniem znacznie owocniejszym niż lektura późniejszych nieskończonych wyjaśnień, tłumaczących dlaczego rozdział ten nie miał naprawdę na myśli Końca Dni – lub też, jeśli nawet miał, dlaczego jego przesłanie stosuje się w istocie do czasów, w których żyje komentator.

Przetłóżył z angielskiego
Stanisław Barańczak.

Ihor Ševčenko

Józef Podlaski

PRZED I PO 1984

Po roku 1984 książki Orwella i Amalrika utworzą oryginalną odmianę literatury historycznej. Podobieństwo będzie polegało na tym, że często wbrew intencjom autorów, każda powieść historyczna przynosi więcej wiadomości o czasie, w którym powstaje niż o przeszłym czasie, wewnątrz którego zlokalizowane są opisywane wydarzenia. Podobnie można powiedzieć o utopiach i antyutopiach, gdyż ich obrazy przyszłości ujawniają prawdę o stanie świadomości społecznej w okresie ich powstawania, a nie prawdę o nadchodzącej epoce. A jednak szczególny przypadek zaistnieje po upływie bieżącego roku, bowiem czas akcji obu wspomnianych książek stanie się czasem realnych wydarzeń i można będzie stosować wobec wizji Orwella i Amalrika te same operacje sprawdzania, ale odmiennie ukierunkowane. Tym razem kreacja pisarska wyprzedziła rzeczywistość opisywaną.

Ta nowa, a więc i atrakcyjna poznawczo sytuacja ucieszy literatorów literatury, czy jednak nie stanie się przyczyną spadku zainteresowania wymienionymi książkami wśród normalnych czytelników? Sięgają oni bowiem po antyutopie z trochę naiwnym pragnieniem dowiedzenia się, co ich czeka w niedalekiej przyszłości, chcą poznać proroctwo artysty lub racjonalną prognozę uczonego. A więc dla nas, zwykłych czytelników, mijający

rok stanowi ostatnią szansę emocjonującej lektury, zaspokajającej potrzebę wyprzedzenia strumienia historycznych zdarzeń. Skorzystajmy z tej szansy.



Dość często stwierdzamy, iż absolutna doskonałość nie wywołuje w nas dużego oddźwięku wewnętrznego. Ta ogólna prawda życiowa sprawdza się na terenie literatury i nieraz zauważałem, że nie każde wybitne dzieło stawało się na tyle bliskie, abym czuł potrzebę stałego kontaktu. Tomasz Mann napisał kiedyś, że nieskazitelna piękność nie wywołuje miłości. Może w tym tkwi przyczyna kryzysu oddziaływania arcydzieł literatury, które chętniej czyta się w postaci wyborów i skrótów, a nierzadko zna się jedynie ze streszczeń i komentarzy. Wydaje się, iż dzieło sztuki staje się osobiście potrzebne dopiero wtedy, kiedy znajdujemy się w takiej sytuacji życiowej, którą przewyciężyć można z pomocą owego dzieła. Uogólniając powiedzmy tak: musi pojawić się sytuacja odbioru aktualizująca mądrość tkwiącą w artystycznym organizmie. Potencjalnie nieograniczony „zapas” egzystencjalnej mądrości mają właśnie arcydzieła, dlatego w ostatecznym rachunku one stają się najczęściej osobiście bliskimi dziełami.

Te uwagi z dziedziny estetyki recepcji stanowią wstęp w mojej historii kontaktów z dziełami Orwella. Od chwili ukazania się rozumiałem jego znakomitość i podziwiałem przenikliwość opisu antywołnościowych tendencji w połowie obecnego stulecia, rozmach i precyzję w budowaniu wizji doskonale działającego ustroju totalitarnego. Ale trzydzieści lat temu wydawało się, że rzeczywistość koszarnej utopii jest właśnie... utopijną rzeczywistością. Dla polskiego czytelnika, który również poznał dobrze Związek Sowiecki w latach wojny, cechy najbardziej charakterystyczne dla Orwella były zarazem cechami przesuwającymi jego powieść w krainę fantazji, bowiem doskonałość totalitarnej maszynerii „Anglo-Socu” wspierała się na dwu filarach: nadorganizacji społeczeństwa i perfekcyjnej sprawności techniki. Piekielna siła obezwładniania wynikała z połączenia elementów tradycyjnie przypisywanych wschodnim despotyzmom z elemen-

tami zachodniej cywilizacji technicznej. Ale dla kogoś wychowanego w cywilizacyjnie zapóźnionej Polsce niepodległej, a jeszcze bardziej dla kogoś, kto doświadczył prymitywizmu sowieckiego życia, orwellowska Oceania znajdowała się w świecie oddzielnym od naszego oceanem utopijności. Iluż Polaków zawdzięczało ocalenie z Archipelagu GULAG słabości wyposażenia technicznego stalinowskiej satrapii. Potem życie w PRL-u umacniało w nas nadzieję niemożliwości realizacji zasad „Anglo-Socu”, gdyż żyliśmy w strukturze państwowej ubogiej i prymitywnej, a więc za słabej, aby skutecznie kontrolować całość życia milionów poddanych. Te nadzieje opieraliśmy na rozlicznych doświadczeniach, zaczynając od kąpiących bez przerwy kranów w naszych łazienkach i źle łączących telefonów, a kończąc na sparaliżowaniu funkcjonowania państwa na początku 1979, spowodowanego falą mrozów, które nadeszły przecież nie na przykład w kwietniu, ale jak Pan Bóg przykazał w styczniu.

Trzeba było dopiero stanu wojennego, żebyśmy przekonali się, że znajdujemy się blisko orwellowskiej Oceanii. Przekonała nas o tym porażająca sprawność techniczna zamachu wojskowego, zwłaszcza w dziedzinie społecznej komunikacji; przemoc wykorzystująca najnowsze zdobycze epoki elektronicznej. To było zaskoczeniem aż szokującym dla milionów obywateli PRL-u, żyjących w strefie ciągle psujących się zlewów, wydawanej na kartki żywności, zatłoczonych i spóźniających się pociągów. Jednocześnie to państwo potrafiło całkowicie w grudniu 1981 zniszczyć system społecznego porozumienia się, paraliżując aktywność jednostek i grup. Trudno było podjąć jakąkolwiek działalność, a nawet odzyskać psychiczną równowagę w okolicznościach dotąd niewyobrażalnych, kiedy z trudem można było się dowiedzieć, co się dzieje w innej dzielnicy miasta. Znaleźliśmy się w oszalałej pustce informacyjnej, którą współtworzyły milczące telefony, utrudnione przez patrole poruszanie się po mieście, godzina policyjna, zakaz opuszczania miejscowości zamieszkania, zagłuszone zachodnie radiostacje, pozbawione zresztą aktualnych wiadomości, ponieważ uniemożliwiono przesyłanie korespondencji zagranicznym dziennikarzom.

Wojna polsko-WRON-ia była bodaj pierwszym w historii zastosowaniem w wojnie domowej środków technicznych epoki

elektronicznej. Nowością było obezwładnienie dużego społeczeństwa „próżniową bombą informacyjną”: czółg, karabin i pałka były stosunkowo rzadko używane, gdyż likwidowały rzadkie jednak przejawy czynnego i zbiorowego oporu – powszechną prawidłowością była bierność spowodowana szokiem znalezienia się w próżni informacyjnej. Podczas zimy 1981-1982 zauważyliśmy, że również nad Wisłą ukształtował się typ człowieka epoki masowej komunikacji, uzależnionego od ciągłego dopływu wiadomości i obrazów, reagującego na ich brak stanami lęku lub depresji i (rzadko) chaotycznej ofensywności. Nie był to paraliż całkowity, a zwłaszcza nie był długotrwały. Zdecydowały o tym zarówno walory ludzi, którzy nie pozwolili uzależnić się od zewnętrznych układów komunikacyjnych, jak i technika nie tak bezbłędnie działająca, jak w zachodnich demokracjach. Naszym szczęściem w nieszczęściu było to, że pokonał Polaków taki typ „Anglo-Socu”, który miał więcej „Socu” (pochodzenia sowieckiego) niż elementów „Anglo”.

Ogólny wniosek wywiedziony z wojny polsko-jaruzelskiej tak da się ująć: przy pomocy najnowszej techniki wojskowo-propagandowej stosunkowo łatwo złamać polityczny opór narodu, to znaczy zniszczyć jakiegokolwiek zagrożenie utraty władzy. Natomiast nie można złamać oporu psychicznego i kulturalnego, można go tylko chwilowo stłumić. Różnica spowodowana jest tym, iż działalność społeczno-polityczna niemal całkowicie uzależniona jest od materialnych podstaw i niknie wraz z zagładą tych podstaw. Aktywność psychiczna (plan jednostkowy) i kulturalna (plan zbiorowości) może trwać w elementarnych grupach społecznych, takich jak rodzina i wspólnota sąsiedzka, a w ostateczności w wewnętrznym świecie osoby i może być skutecznie zlikwidowana tylko wraz z fizycznym zniszczeniem danej jednostki lub wspólnoty.

O dziwo, Orwell stał mi się bliski właśnie w straszną, również klimatycznie, zimę 1981/1982, przypominającą mi pierwszą zimę światowej wojny. Jego powieść zaczęła jakby bezpośrednio komentować to, co się wokół działo. Wprawdzie nie pomagał w znalezieniu konkretnych, taktycznych rozwiązań, ale rozjaśniał sytuację. Najbardziej zaskakujące było to, że działał niemal krzepiąco, przez co jeszcze raz potwierdził niezastąpioną zaletę

sztuki, która pokazując prawdę (choćby straszną) pozwala znieść psychicznie sytuację wydającą się nie do zniesienia. Orwellowski analityczny opis, nie pozbawiona elementów humoru systematyka rzeczywistości materialnej i języka totalitaryzmu, umożliwiały uzyskanie dystansu, czyli jednej z postaci wewnętrznej wolności.

Wiele scen 1984 odczytywaliśmy jakby były specjalnie napisanymi satyrycznymi fragmentami odnoszącymi się do realiów PRL-u w ostatnich paru latach. Oto przykład: w ostatnich latach rządów Gierka zaczęło braknąć w sklepach butów, wreszcie w lecie 1981 wiele dzieci chodziło w trepach lub boso, a niektórzy właśnie tak poszli na pierwsze lekcje we wrześniu. Dla nas nawet coś zaskakującego, a przecież zdarzenie zostało przewidziane i opisane przez Orwella: „Ministerstwo Obfitości w swej zapowiedzi szacowało wytwórczość butów na 145 milionów par kwartalnie. Obecnie podano, że produkcja kwartalna wyniosła 62 miliony par. (...) Cyfra 62 milionów nie była bliższa rzeczywistości niż 57 milionów czy 145 milionów. Możliwe, że nie produkowano w ogóle żadnych butów. Jeszcze bardziej prawdopodobne było, że absolutnie nikt nie wiedział, ile wyprodukowano i w końcu nikt się tym nie interesował. Wszyscy natomiast wiedzieli, że co kwartał produkowano na papierze astronomiczne cyfry par butów, podczas gdy połowa mieszkańców Oceanii chodziła boso. I tak wyglądały wszystkie statystyki czy dane cyfrowe, obojętne, czy dotyczyły rzeczy ważnych, czy drobnych” (s. 69).

Również w sprawach podstawowych Orwell mówił rzeczy ważne w Polsce początku lat osiemdziesiątych. Nie dotyczyły one dość dla nas oczywistych uwag o drodze ku całkowitemu niewolnictwu i funkcjonowaniu mechanizmów przemocy, ale dotyczyły sposobów obalenia superdyktatury. Orwell wykazał wręcz proroczą przenikliwość w rozważaniach o sile „proletów” i jedynej drodze do wyzwolenia, jaką miało być połączenie ich żywiołowej energii z myślą, która pokieruje nimi w walce. Wiem, jak naiwnym rozumowaniem jest zestawianie fikcji literackiej z rzeczywistością historyczną, ale czyż w lecie 1980 nie sprawdziły się przypuszczenia angielskiego pisarza? Połączenie siły robotniczych mięśni i serc z myślą intelektualistów wywołało eksplozję, która uczyniła wyrwę w monolocie komunistycznego

totalitaryzmu, tak dużą, jak nigdy dotąd. Wkrótce okazało się, że oba te strumienie oswojadających energii są na razie zbyt słabe, aby przeciwstawić się skutecznie całemu imperium, lecz przykład został dany i nic nie zdoła przeszkodzić w powtórnym połączeniu sił; tym razem już w większej skali. Dopiero dziś, po doświadczeniach polskich okresu „Solidarności”, centralna scena powieści Orwella odświeża wszystkie sensy. 1984 jest dziełem nierównym literacko, ale fragment o ostatnim spotkaniu i aresztowaniu Julii i Winstona osiąga wyżyny wielkiej sztuki. Obecnie jasno widać, iż takiej klasy scen niewiele powstało na terenie XX-wiecznej powieści. Zacytujmy większy fragment tej mądrej, strasznej, a w końcu i pięknej sceny: „Przyszłość należy do proletów. I był pewien, że gdy nadejdzie ich czas, świat, który zbudują proleci, nie będzie tak obcy dla niego, Winstona Smitha – jak świat partii. Albowiem w każdym razie będzie to świat zdrowy. Tam, gdzie istnieje równość, istnieć może i zdrowie. Wcześniej czy później nadejdzie ta chwila i wówczas siła przemieni się w świadomość. (...) Wszędzie, na całym świecie – w Londynie, w Nowym Jorku, w Afryce, w Brazylii, w tajemniczych, zakazanych, zagranicznych krajach – na ulicach Paryża i Berlina, we wsiach, na bezkresnych rosyjskich równinach, w bazarach Chin i Japonii – wszędzie spotkasz tę samą nieznużoną, dzielną postać zniekształconą porodami i ciężką pracą, zaharowaną od urodzenia po śmierć, która wciąż jeszcze śpiewa. Z tych potężnych bioder narodzi się kiedyś świadoma siebie rasa.

My już jesteśmy umarli – myślał Winston. Przyszłość należy do proletów. Lecz możemy dzielić z nimi ich przyszłość, gdy zachowamy żywotność myśli, jak oni zachowują żywotność ciała – przekazując pokoleniom tajemniczą naukę, że dwa plus dwa równa się cztery.

— My już jesteśmy umarli – powiedział Winston.

— My już jesteśmy umarli – powtórzyła Julia jak echo.

— Wy już jesteście umarli – odzwał się tuż za nimi spiżowy głos” (s. 225-226).

**

Od dawna zauważono, że charakterystyczną, a niezbyt chlubną cechą polskiej literatury jest naśladowanie zachodnich osiąg-

nić. Owo naśladowanie bywało czasem tak perfekcyjne, iż prześcigało oryginalne dokonania: lecz nieduża to pociecha, gdyż w dwudziestowiecznej literaturze najwyżej ceni się nowatorstwo, a nie doskonałą nawet imitacyjność. Dlatego za szczególnie cenne zjawisko trzeba uznać wyprzedzenie piśmiennictwa powszechnego, właśnie w gatunku tak ważnym dla nowoczesnej Europy, jak antyutopia. Jeżeli cofniemy się do pierwszej połowy ubiegłego stulecia, zauważymy doskonały egzemplarz prehistorii gatunkowej, czym jest wizja Kraszińskiego w *Nie-boskiej komedii*. Wbrew dominującym wówczas tradycjom pozytywnej utopii, nakreślił on obraz przyszłości, w której zwycięża nihilistyczna rewolucja, tak przeniknięta destrukcyjnymi pierwiastkami, że w końcu niszczy siebie samą.

Przenieśmy się jednak w nasze czasy. W dwudziestoleciu międzywojennym pojawiło się sporo w europejskich literaturach czarnych wizji przyszłości, budowanych na przesłankach katastroficznych teorii kultury. Taki charakter miały powieści Witkacego i Huxleya. Ale utopie powstałe po doświadczeniach drugiej wojny światowej i jej rozstrzygnięć politycznych miały mniej historiozoficzny (i mglisty) charakter. Budowały wizje konkretniejsze, bowiem były artystycznymi konkluzjami procesów współcześnie przebiegających. Tym różni się *1984* od *Nowego wspaniałego świata*, iż Orwell kondensuje negatywne pierwiastki określonych struktur społecznych, gdy Huxley kondensował ujemne pierwiastki uniwersalnych tendencji rozwojowych ekonomii, nauki, obyczajowości.

Powieść Orwella stanowi świetną realizację powojennej wersji gatunku antyutopii i nie ma co ukrywać jej wpływu na świadomość polskich intelektualistów. Ale tym razem nasza literatura nie naśladowała tylko, lecz wyprzedziła apogeum rozwoju gatunkowego, ponieważ cztery lata przed ukazaniem się *1984* opublikowana została proza Stefani Zahorskiej pod tytułem *Wyjątki z «Historii Trójimperium», wydanej w roku 2445*. Zanim wskażemy jej bezsprzecznie nowatorskie cechy, wytłumaczymy całkowite zapomnienie tego tak oryginalnego utworu. Słowa „całkowite” używam bez retorycznej przesady, gdyż żaden z polskich krytyków i historyków literatury nie omawiał tekstu Zahorskiej. Ukazał się on w zbiorowej książce *Święty płomień*.

wydrukowanej w Londynie tuż po zakończeniu II wojny światowej. Tomik wyglądający dość zagadkowo, nie podano nawet, kto był jego redaktorem, choć nazwisko Mieczysława Grydzewskiego byłoby ozdobą każdej publikacji w języku polskim. Nakreśliśmy tło całej sprawy.

W połowie 1944 roku cofnięto *Wiadomościom Polskim*, redagowanym przez Grydzewskiego, przydział papieru i zastrużony tygodnik nie ukazywał się do początków 1946. Represja spowodowana została opublikowaniem na jego łamach artykułów ostro krytykujących ugodowość Aliantów wobec ZSRR i zdradę sprawy polskiej. W 1945 roku jeszcze się pogłębił kryzys polskiej emigracji po uznaniu przez rządy mocarstw zachodnich władz komunistycznych w Polsce. Wśród piszącej inteligencji wywołały te wydarzenia albo zamęt myślowy i depresję (w środowiskach nieprzejednanych wobec komunizmu), albo kapitulację i decyzję powrotu do kraju. W tym kryzysowym okresie grupa intelektualistów podjęła wysiłek skonstruowania koncepcji, którą nazwać by można ideologią emigracji niepodległościowej. Starali się oni uzasadnić decyzję pozostania na obczyźnie, nakreślić cele uchodźstwa, zinterpretować najnowsze wydarzenia historyczne, polemizować z autorami popierającymi komunistyczny nowy ład. W tym celu zaczęto wydawać serię książeczek pod wspólną nazwą Biblioteka „Wczoraj i Dziś”, której redaktorem został Grydzewski, a do stałych współpracowników zaliczała się Stefania Zahorska.

Święty płomień był z kolei trzecim zbiorem artykułów politycznych i utworów literackich. Ale trudny okres, w jakim pojawiły się, mały nakład, odcięcie od kraju, wszystkie wymienione czynniki sprawiły, że seria spotkała się z niewielką reakcją utrwaloną w druku. Utwór Zahorskiej dodatkowo został przytłumiony wypowiedziami bardziej bezpośrednio odnoszącymi się do bieżących batalii politycznych. Dość powiedzieć, że kiedy pierwszy raz po 1956 roku wyjechałem na Zachód, o Bibliotece „Wczoraj i Dziś” mało kto wiedział, a o utworze Zahorskiej nikt.

Antyutopijna proza Zahorskiej ma niewielkie rozmiary, po dokładnym obliczeniu okazało się, że 13,5 strony znormalizowanego maszynopisu. Stylizowana była na kronikę historyczną,

która miała być wydana za 500 lat. Tematyczne wyjście w przyszłość kontrastuje z archaizacją językową i w nieco mniejszym stopniu konstrukcyjną, widoczną na przykład w rozbudowanej dedykacji i „Antyfonach” na cześć władców przyszłego świata. Orwell na pewno nie znał *Wyjątków* Zahorskiej, więc tym bardziej uderzające są zbieżności przyszłościowych wyobrażeń obojga pisarzy. W wizji polskiej pisarki świat opanowany przez totalizm składa się też z trzech imperiów: Zachodniego, Środkowego i Wschodniego. Są one podobnie umiejscowione jak w *1984*, za to poważną różnicą jest fakt, iż nie został podbity cały glob, ponieważ trzy wojny amerykańskie nie doprowadziły do ostatecznego zwycięstwa, mimo iż w wyniku pierwszej czasowo opanowano Amerykę Północną, Zachodnia półkula została poza granicami Trójimperium, aczkolwiek, jak pisze kronikarz przyszłości, „te trzy wojny stanowią podstawę naszych nieprzedawnionych praw do Ameryki Północnej” (s. 50).

W powieści Orwella ledwie aluzyjnie pojawiają się informacje o okolicznościach powstania Oceanii, natomiast Zahorska zajmuje się głównie dziejami powstania despotycznego imperium i nieprzypadkowo wybrała formę pisarstwa historycznego. Przejście z planu realnego, współczesnego do planu fantastycznego futurum odbywa się w *Wyjątkach...* płynnie, bez apokaliptycznych kataklizmów. Oto „pierwsza wojna erekcyjna” toczy się w latach 1941-1946, a więc jej pierwsza faza jest po prostu wojną światową od czasu wejścia sowieckiej Rosji do działań militarnych. W wyniku tej wojny Imperium Środkowe (wrażna aluzja do ZSRR) poszerzyło swoje granice i zniszczyło starą kulturę w Europie Środkowej. Zniszczenie przedtotalitarnej kultury dokonało się dzięki tak zwanemu transferowi przemysłowemu, na co składało się wywiezienie urzędzeń fabrycznych i siły roboczej. Ta druga operacja wydaje się bardziej interesująca, warto więc przytoczyć odpowiedni ustęp: „Ogółem wywieziono z Europy środkowej (dawnych Niemiec) około 25 milionów ludzi zdolnych do pracy, z różnych pomniejszych państweczek Europy wschodniej i południowo-wschodniej około 40 milionów ludzi. Transfer ten trwał od 1946-1975, i właśnie powolność tego procesu była przyczyną niewielkiej jego wydajności. Poza tym był to element ludzki zanarchizowany, buntowniczy, rzecz można, dziki.

Nie należy zapominać, że Imperium Wschodnie, należące dziś do najlepiej zorganizowanych części Trójimperium, było wówczas dopiero w stanie zaczątkowym" (s. 44).

Nasza część Europy stała się terenem walk również podczas drugiej wojny erekcyjnej w latach 1955-1975, gdyż: „szereg wojen domowych rozgorzało na terenach dawnej Europy środkowej i wschodniej. Nie wytrzebione do tej pory elementy anarcho-nacjonalistyczne wywoływały zaburzenia wewnętrzne, usiłując rozsadzić ramy organizacji państwowej i organizacji budzącej się nowej kultury, do której oczywiście nie dorosła ludność prześląknięta rozkładowymi tradycjami" (s. 46).

Proza Zahorskiej przedstawia świat scentralizowany i bezwzględnie zarządzany. Istnieje w nim 50 odmian i poziomów życia oraz 100 odmian specjalizacji naukowych i artystycznych. Jednostka ludzka została pozbawiona wszelkiej inicjatywy i swobody, przewanej „anarchią”. Natomiast „prawdziwa wolność” nowego ustroju została osiągnięta dzięki odgórnjej organizacji wszystkich sfer istnienia: pracy, trybu życia, rozrywek, zbiorowego myślenia. Kontrolowanie zachowań ludzkich jest tak obywatelom sprawne, że nie trzeba zbyt często posługiwać się środkami przemocy, dlatego tylko 10% ludności znajduje się w obozach pracy przymusowej. Nic dziwnego, bowiem celem Trójimperium jest danie poddanym szczęścia. Właśnie ten prymitywny i przemocą narzucany eudajmonizm uznać trzeba za jedną z bardziej przerażających cech totalizmu z roku 2445.

Zmniejszenie elementów represyjności, a wysunięcie na centralne miejsce kolektywizmu i dyscypliny, zdaje się wskazywać na podobieństwo do wizji przedstawionej w *Nowym wspaniałym świecie*. Zresztą sam Huxley podobnie widział różnice między swoją powieścią a 1984: „Społeczność przedstawiona w książce 1984 jest społecznością rządzoną niemal wyłącznie przy pomocy kary i lęku kary. W imaginacyjnym świecie mojej baśni kara występuje nieczęsto i jest na ogół łagodna. Niemal doskonała kontrola wykonywana przez rząd zostaje osiągnięta poprzez systematyczne wzmaganie pożądanego postępowania przy pomocy rozlicznych, a nie drastycznych manipulacji, zarówno fizycznych, jak psychologicznych oraz przez genetyczną standaryzację”.

W prozie Zahorskiej pozycja narratora została umieszczona wewnątrz totalitarnego świata przyszłości, jest on przecież kronikarzem akceptowanym przez władzę. Opowiada dzieje powstania imperiów i ich doskonale urządzenie z przekonaniem, stąd efekt pomieszania dziecięcej naiwności ze zwierzęcym okrucieństwem. Narrator jest już całkowicie produktem totalitarnej hodowli, co podnosi perswazyjną skuteczność „odstraszenia” zawartą w utworze Zahorskiej. Inaczej u Orwella, gdzie w wielu fragmentach są zauważalne sygnały dystansowania się wobec rzeczywistości Oceanii, a w dodatku „Zasady nowo-mowy” narrator zajmuje górującą pozycję analityka oraz demaskatora aksjologii i semiotyki „Anglo-Socu”. Skoro mówimy o kwestiach języka warto dodać, że Zahorska ma świadomość wagi tego zagadnienia, aczkolwiek nie ma w jej prozie fragmentów metatekstowych. Jej wyczulenie na tę sprawę dobrze widać w nasyceniu narracji kronikarza chwytami totalitarnej retoryki, głównie sowieckiej genealogii.

Wyjątkowo udanym naśladownictwem (z niewątpliwą intencją parodystyczną) języka propagandy komunistycznej jest zakończenie *Wyjątków z «Historii Trójimperium»*: „Hasłem naszym jest i będzie: Glob Ziemski na północ od równika należy do nas i tylko do nas. Prawo do niego daje nam wyższość naszej cywilizacji nad wszelkimi innymi w przeszłości i teraźniejszości. Z resztą świata pragniemy utrzymywać jak najlepsze stosunki. Pragniemy pokoju i tylko pokoju. Pragniemy szczęścia ludzkości. Pragniemy, by organizacja nasza, nasz dobrobyt, nasz postęp, nasza wiara, nasza szczęśliwość stały się udziałem wszystkich ludzi na ziemi” (s. 50).



Kilka lat przed rokiem 1984, a trzydzieści cztery lata po opublikowaniu utworu Stefani Zahorskiej, ukazała się powieść Tadeusza Konwickiego *Mała apokalipsa*. Mimo wychylenia w przyszłość i respektowania zasad gatunku tak nowoczesnego, jak antyutopia polityczna jest to książka bardzo tradycyjnie polska. Wiele łączy ją z naszymi arcytradycjami: romantyczną i kresową. A więc mamy tu do czynienia z emocjonalnym opowiadaniem i

częstym operowaniem hiperbolizacjami, trochę racji miał Herling-Grudziński pisząc, że „tragigroteska fanta-histeryczna przekształciła się, wbrew jego zamierzeniom, w tragigroteskę Fanta-histeryczną”. Świadomość narratora-bohatera zanurzona jest w przeszłości, pojawiają się obrazy oniryczne, granica między realnością a fantazją zostaje zatarta. W rozważaniach głównej postaci powtarza się motyw wykorzenia, spowodowany głównie utratą rodzinnej ziemi, porzuceniem macierzystego środowiska społecznego i geograficznego. Co uderza przede wszystkim, to indywidualistyczne ujęcie bohatera-narratora, który jest człowiekiem samotnym i wolnym. Gdy Huxley i Zahorska ukazują świat, w którym nie istnieje jednostka ludzka, a Orwell opisuje likwidację resztek niezależności osobowej, to bohater *Małej apokalipsy* rozpoczyna od następującej autocharakterystyki: „Jestem wolny i sam. Bo samotność jest dosyć niską ceną za ten mój niewielki luksus. Wyzwolilem się na ostatnim okrążeniu, kiedy już gołym okiem widać metę. Jestem wolnym anonimem” (s. 6).

Nieokreślony czas akcji powieściowej sprzyja zatarciu granic między rzeczywistością wizyjną a historyczną, czyli określając rzecz w terminach nauki o literaturze: między światem przedstawionym a światem przedstawianym. W utworze Konwickiego nastąpiło przemieszanie rytmów czasowych i nie wiadomo, czy jest to 35, czy 40, czy też 55 rocznica powstania PRL. Można przypuszczać, iż zamiarem autorskim było wzmocnienie w ten sposób funkcji ostrzegawczej dzięki pokazaniu możliwości przejścia do koszmaru bez nadzwyczajnych wydarzeń w skali globalnej. Zarazem takie niedookreślone usytuowanie czasowe poszerza przestrzeń właściwej recepcji, to jest recepcji związanej z oczekiwaniem spełnienia literackiego proroctwa. Trzeba powiedzieć, że polscy pisarze nieco lepiej rozwiązyali kwestię czasowej lokalizacji akcji swych utworów. Orwell umieścił ją w zbyt bliskiej przyszłości, Huxley wprawdzie umieścił nowy i (nie-) wspomniał świat w odległości sześciu stuleci, lecz po dwudziestu paru latach pospieszył się z komentarzami udowadniającymi, że się mylił i proroctwa spełniają się jeszcze za życia autora i pierwszych czytelników. Zahorska co prawda za szybko spodziewała się zwycięskich wojen totalitarnych imperiów, ale przemianę mentalności powszechnej wyznaczyła dostatecznie odlegle.

Konwicki zachował się chyba najprzytomniej nie precyzując dat i nie sugerując, że dzieje się to w bardzo odległej, a więc mało nas obchodzącej przyszłości. Zamieszanie temporalne uniemożliwiające ustalenie dokładnych dat pokazał Konwicki z wyborynym humorem: „Bezpieczeństwo. Też chyba nie. Sam minister albo ściśle kolegium. Importowany kalendarz wisi w sejfie wielkim jak prawdziwy pokój. Codziennie minister z zachowaniem ceremoniału wchodzi tam w ścisłej tajemnicy i zdziera kartkę, którą automat spala na popiół. Nikt nie zna daty, bo przez lata a to prześcigano terminy, a to zawałano. Raz goniono, goniono Zachód i przegoniono, w innym momencie goniono i pozostano w tyle. Każda gałąź przemysłu, każda instytucja, każdy PGR mieli swój kalendarz i z nim się zmagali. Pięć miesięcy do przodu, później dwanaście do tyłu. 1974 w 1972, potem 1977 w 1979. I wszystko się pokićkało. Nikt nic nie wie. Po słońcu, panie sąsiedzie, jakoś jedziemy. Ale burdel szalony” (s. 79).

Sily ucisku przedstawione przez Konwickiego są o wiele mniej sprawne w okrucieństwie i wszechogarniające niż w czarnych utopiach poprzedników. W ogóle rzeczywistość przedstawiona w *Matej apokalipsie* ma bardzo współcześnie polski charakter, przeto tym ciekawsze wydają się zbieżności motywów z powieścią Orwella. Obaj podkreślają ogólną brzydotę rozpanoszoną w dyktatorskim państwie, zwłaszcza uderzająca bywa brzydota nowo-ludzi. U Konwickiego wszyscy zbrzydli, ale niewątpliwą awangardą są tu reprezentanci władzy. Tego typu spostrzeżenia polskiego autora wcale nas nie dziwią, natomiast podziw budzą podobne uwagi u angielskiego pisarza zapisane w 1948 roku. Jego zbiorowy portret ludzi sprawujących rządy w Oceanii jest wiernym odwzorowaniem tak nam dobrze znanych z codziennej obserwacji przedstawicieli nowej klasy rządzącej w bloku sowieckim: „Było rzeczą zdumiewającą, jak ów pająkowaty typ opanovał wszystkie ministerstwa. Niscy, tępi mężczyźni, ze skłonnością do tycia już w młodości, o krótkich nogach, szybkich ruchach i nalanych, tłustych twarzach z małymi oczkami. Ten gatunek ludzki kwitnął pod rządami Partii” (s. 86).

Konwicki inteligentnie rozwiązał sprawę przyszłej, globalnej, ekspansywności despotycznego nihilizmu, który nie musi zniszczyć zewnętrznego świata, co więcej, nie musi rozwijać szczególnej ak-

tywności, aby mu dorównać. Zagadkę wyjaśnia Konwicki, formułujący swoje odkrycie tak oto: Wschód nigdy nie dogoni Zachodu, ale Zachód... zaczeka. Obserwując rozwój wydarzeń w ostatnim dziesięcioleciu trzeba przyznać rację autorowi *Małej apokalipsy*.

Antyutopie przedstawiając koszmar nadchodzących ustrojów miały wzmacniać wolę oporu przeciw procesom prowadzącym do realizacji małych i dużych apokalips. Za wcześnie wyrokować, czy spełniły swoje zadanie, ale na pewno udowodniły prawdę, że przyszłe epoki nie przypominają ani czarnych, ani różowych wyobrażeń futurologicznych. Czy ta prawda przynosi pokrzepienie? Raczej nie, zachowuje neutralność wobec naszych pragnień. Ale mało co nas dzisiaj krzepi. Mnie do roku bieżącego podnosiła na duchu książeczka zatytułowana *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?*, lecz teraz budzi coś w rodzaju nadziei tylko jej ostatni akapit: tym bardziej budzi nadzieję, ponieważ napisał go Andrej Amalrik w miejscu dokładnie określonym jako „Moskwa – wieś Akułowo”.

Przeczytajmy zatem na nowo zakończenie dziełka rosyjskiego historyka: „Można przypuszczać, że gdyby futurologia istniała w imperialnym Rzymie, gdzie, jak wiadomo, wznoszono już szczęciopiętrowe gmachy i produkowano młynki dziecięce o napędzie parowym, futurologdy V wieku przepowiadaliby wznoszenie w następnym stuleciu gmachów dwudziestopiętrowych i przemysłowe wykorzystanie maszyny parowej. Tymczasem, jak wiadomo, w VI wieku na Forum pasty się kozy, tak jak dziś na wsi pod moim oknem” (s. 52).

Józef Podlaski

Uwaga bibliograficzna.

Cytaty zaczerpnąłem z następujących wydań (w nawiasach numery stron): Andrej Amalrik – *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984*, Instytut Literacki, Paryż 1970, przełożył Andrzej Zabłudowski; Aldous Huxley – *Nowy wspniany świat poprawiony*, Instytut Literacki, Paryż 1960, przełożył Jerzy Horzelski; George Orwell – *1984*, Instytut Literacki, Paryż 1979, przełożył Juliusz Mieroszewski; Tadeusz Konwicki – *Mała apokalipsa*, *Zapis* nr 10, Warszawa 1979, a także nakładem „Index on Censorship”, Londyn 1979.

Leszek Nowak

SPÓŁCZEŃSTWO ORWELLOWSKIE

Obraz społeczeństwa

Zadaniem niniejszego szkicu jest zrekonstruowanie modelu społeczeństwa zawartego w *1984* dla opisu dynamiki realnego socjalizmu, oraz zbadanie jego przydatności. Jako język rekonstrukcji obieram tu aparat pojęciowy niemarksowskiego materializmu historycznego, który miałem okazję przedstawić w poprzednich moich pracach ¹.

Jest rzeczą oczywistą, że to, co swoiste dla dzieła literackiego, nie daje się uchwycić w języku żadnej teorii naukowej. Tym niemniej to, co wspólne wizji literackiej i opisowi teoretycznemu jest na tyle ważne – i tak rzadko analizowane – że warto podjąć próbę potraktowania *1984* jako traktatu historiozoficznego.

Oto opis społeczeństwa w *1984*:

Na szczycie piramidy stoi Wielki Brat (...) Pod postacią tego symbolu Partia występuje wobec świata. (...) Bezpośrednio po Wielkim Bracie idzie Partia Wewnętrzna, któ-

¹ Tekst ten zawdzięcza wiele dyskusjom, jakie prowadziłem na temat prac Orwella z pewnym młodym adeptem nauk społecznych. Nie podaję jego nazwiska, bo nie jestem do tego upoważniony, odnotowuję jednak, że szereg tez tego artykułu powstało w wyniku wspólnego namysłu nad wielkim dziełem Orwella.

rej liczba członków ograniczona jest do 6 milionów. Stanowi to około 2% ogółu mieszkańców Oceanii. Na następnym szczeblu znajduje się Partia Zewnętrzna. O ile Partię Wewnętrzną przyrównać można do mózgu Partii, o tyle Partia Zewnętrzna stanowi organ wykonawczy – jej ręce. Potem idą już tylko głuchonieme szerokie masy, czyli tak zwani „proleci”, którzy stanowią 85% ogółu mieszkańców Oceanii².

Piramida, o której mowa, to hierarchia władzy. Ale władza ta monopolizuje w swych rękach nie tylko przymus, lecz także własność:

Tak zwane „zniesienie własności prywatnej” – którego dokonano w połowie bieżącego stulecia – w praktyce oznaczało skupienie bogactw w rękach znacznie mniej licznych właścicieli niż poprzednio.

(...) Członek Partii nie posiada z wyjątkiem kilku osobistych drobiazgów. Partia natomiast, jako kolektyw jest właścicielką wszystkiego, albowiem nad wszystkim rozciąga kontrolę i dysponuje całą wytwórczością przemysłową.

Monopolizuje ona również środki indoktrynacji:

W porównaniu z tym, co dzieje się dzisiaj, nawet średniowieczny Kościół katolicki był tolerancyjny. Częściowo tłumaczy się to faktem, że dawniej żaden rząd nie miał po prostu możliwości rozciągania ustawicznej i stałej kontroli nad obywatelami. Wynalazek druku ułatwił w wielkim stopniu „nakręcanie” opinii publicznej, a film i radio ukoronowały ten proces. Udoskonalenie telewizji i budowa radio-telewizyjnego aparatu nadawczo-odbiorczego (tele-ekranu) przyniosła w rezultacie całkowity zanik życia prywatnego. Każdy obywatel (...) przez 24 godziny (na dobę) jest w zasięgu oficjalnej propagandy i równocześnie odcięty od wszelkich innych źródeł informacji.

Określenie typu społeczeństwa orwellowskiego nie przedstawia więc szczególnych problemów: jest to system trój-panowania klasowego z klasą trój-panów (z grubsza – Partia Wewnętrzna) i jej służbami wykonawczymi (Partia Zewnętrzna) oraz klasą ludową (proleci).

Nieco trudniej jest odpowiedzieć na pytanie, jaki wariant systemu trój-panowania opisywany w niemarksistowskim materializmie historycznym odpowiada społeczeństwu występującemu na łamach powieści Orwella.

Rzecz bowiem w tym, że system trój-panowania klasowego powstać może na jednej z trzech dróg. Albo władza przejmuje środki produkcji oraz indoktrynacji (wariant polityczny), albo klasa właścicieli przejmuje sprawowanie władzy politycznej i duchowej (wariant ekonomiczny), albo wreszcie klasa kapłanów przejmuje władzę polityczną i gospodarczą nad masami (wariant duchowy). Odpowiednio mamy do czynienia ze społeczeństwami, w których interes polityczny (maksymalizacja władzy), gospodarczy (maksymalizacja zysku) lub duchowy (maksymalizacja wiary) przeważa nad pozostałymi dwoma w tym znaczeniu, iż tamte są jedynie środkami dla jego realizacji. W wariacie pierwszym, na przykład, interesem klasy panującej jest pogłębianie władzy nad masami ludowymi, a gospodarka i kultura są jedynie dodatkowymi środkami dla jego realizacji. W wariacie trzecim natomiast dominacja światopoglądu trój-panów, a więc umacnianie panowania duchowego nad masami, jest wartością maksymalizowaną przez system, podczas gdy władza polityczna i gospodarka są dodatkowymi środkami presji światopoglądowej. Ów wariant pierwszy systemu panowania określany jest w niemarksistowskim materializmie historycznym mianem socjalizmu. A rzeczywiście systemy, które tak się same określają, są społeczeństwami trój-panowania klasowego z klasą władców-właścicieli-kapłanów jako panującą. W wariacie drugim klasą panującą jest klasa właścicieli-władców-kapłanów, a w trzecim – klasa kapłanów-władców-właścicieli³.

Otóż jakkolwiek jest rzeczą dość bezsporną, że społeczeństwo z 1984 jest systemem panowania klasowego, to jednak nie jest do końca jasne, który wariant tego systemu wchodzi w rachubę: polityczny czy duchowy. Innymi słowy, czy w społeczeństwie orwellowskim idzie o to, by jak największą liczbę obywateli jak najgłębiej przekonać o słuszności światopoglądu Partii, czy też o to, by podporządkować sobie jak największą liczbę działań ludzkich wykorzystując w tym celu między innymi ujednolicenie światopoglądowe poddanych.

Dość częsta jest opinia, że powieść Orwella przedstawia „sowietyzm”, albowiem Partia z 1984, podobnie jak partie komunistyczne, zmierza do opanowania umysłów ludzkich. U podstaw tej oceny powieści Orwella leży więc taki oto pogląd na naturę systemu:

Zasadniczą cechą ustroju, w którym żyję jest dążenie do zawładnięcia umysłem ludzkim. Zaczyna się to w szkole poprzez budowanie świata duchowego, gdzie wszystko jest jasne, jednoznaczne i „dookreślone”. „Dookreślenie” przez konieczności władzy nie polega li tylko na modelowaniu wizji teraźniejszości. Modelowana jest i przeszłość. Nic dziwnego zresztą: kto rządzi wyobrażeniami o przeszłości, ten manipuluje myśleniem o teraźniejszości i przyszłości⁴.

Przy takim założeniu sprawa wydaje się oczywista: to samo panowanie nad umysłem ludzkim jest zasadniczą cechą ustroju opisywanego przez Orwella.

Wątpię jednak, by owa ocena natury systemu była trafna. Niewątpliwie aparat partii komunistycznej zmierza do wpojenia nam światopoglądu marksistowsko-leninowskiego. Problem tylko, czy jest to działanie będące celem samym w sobie, czy też służy ono czemuś innemu. Wydaje się, że prawdziwa jest druga teza, to znaczy, że propagowanie światopoglądu oficjalnego jest środkiem ku umacnianiu władzy. Gdyby było inaczej, jak można by wytłumaczyć fakt, że ludzie posłuszni, acz o odmiennym od oficjalnego światopoglądzie, są tolerowani, natomiast ludzie otwarcie wypowiadający posłuszeństwo władzy trójpanów są represjonowani zawsze, nawet jeśli są marksistami? Gdyby było inaczej, to przecież nie sposób byłoby twierdzić, że mieliśmy kiedykolwiek „sowietyzm” w Polsce – boć przecież nigdy nie wyeliminowaliśmy u nas światopoglądu katolickiego. Nasze odczucia jednakże temu przeczą: każdy powie, że w Polsce panuje ten sam rodzaj systemu społecznego co w Związku Radzieckim, tyle że nie do końca udało się go tu zrealizować. Rozstrzygające wszakże kryterium otrzymamy analizując to, czego panujący zgadzają się wyrzec w miarę postępującego upadku systemu. Otóż pierwsze ustępstwa dotyczyły właśnie spraw światopoglądowych: ze zmierzchem fazy zniewolenia („stalinizmu”) aparat

partyjny wyrzeka się dotychczasowej totalnej kontroli nad nauką i sztuką, dopuszcza więcej swobody nawet w filozofii – dziedzinie o kluczowym znaczeniu dla kształtowania światopoglądu. Dalsze koncesje dotyczą religii – państwo socjalistyczne godzi się z istnieniem alternatywy światopoglądowej. Jak opornie natomiast zrzeka się aparat partyjny władzy gospodarczej, widzieliśmy nie tak dawno. A o tym, by się zrzekł pod największą nawet presją dobrowolnie władzy politycznej, w ogóle mowy nie ma. Jeśli tak, to kolejność interesów jest jasna: dominuje umacnianie władzy. System zwący się socjalizmem jest społeczeństwem panowania klasowego w wariacie politycznym. Nasi trój-panowie są władcami-właścicielami-kapłanami.

Przypuszczam, że tym samym są też członkowie Partii Wewnętrznej z powieści Orwella:

Partia pragnie władzy dla samej władzy. Nie jesteśmy zainteresowani w czymkolwiek dobrobycie. Interesuje nas jedynie władza i moc. Nie bogactwo, nie luksus, nie długowieczność, nie szczęście, tylko władza, czysta władza.

W szczególności panowanie nad umysłami ludzi jest środkiem umacniania władzy nad nimi:

„Panujemy nad materią, albowiem panujemy nad myślą, nad mózgami”. Interes Partii Wewnętrznej polega więc na podporządkowaniu sobie ludzi, nie na przekonywaniu ich do światopoglądu Partii. Od proletów wymaga się tylko tego, by byli powolnym bydłem roboczym o możliwie prymitywnym poziomie duchowym. Techniki kontroli duchowej nad nimi zmierzają do opanowania ich najprostszych odruchów, a nie do przekształcania ich w świadomych wyznawców Anglo-soc.

Jeśli tak, to wniosek jest następujący: 1984 jest istotnie o socjalizmie, ale tylko dlatego, że przedstawia system, w którym nie idzie o dominację światopoglądową jako o rację samą w sobie: powieść Orwella może być interpretowana jako obraz społeczeństwa socjalistycznego dlatego, że techniki perswazji światopoglądowej przedstawia jako środek do czegoś innego, do umacniania władzy nad ludźmi.

Przyjąwszy tę interpretację⁵, przyjrzeć się zatem trzeba nieco bliżej obrazowi społeczeństwa przedstawionemu w powieści Orwella. Jest to przede wszystkim społeczeństwo całkowicie zato-

mizowane, w którym wykorzenione zostały za pomocą terroru wszelkie więzi międzyludzkie:

Przećliśmy węzły, które łączyły dziecko z rodzicami, mężczyznę z kobietą, człowieka z człowiekiem. Nikt już dziś nie śmie ufać dziecku, żonie czy przyjacielowi. Lecz w przyszłym świecie nie będzie żon, ani przyjaciół. (...) Nie będzie innej wierności, tylko wierność w stosunku do Partii. Nie będzie żadnej miłości, tylko miłość do Wielkiego Brata. Nie będzie śmiechu, prócz śmiechu triumfu z pokonanego wroga. Nie będzie sztuki, literatury, wiedzy.

Terror, nędzą świadomie utrzymywana, propaganda doprowadzają do tego, że społeczność zostaje całkowicie rozbita i przestała się w proletów, którzy

Rodzili się w ryszotku i na ulicy, w dwunastym roku życia szli do pracy. Okres rozkwitu i namiętności trwał u nich krótko. Żenili się w dwudziestym roku życia – po trzydziestce zaczęli się starzeć – umierali przeważnie około sześćdziesiątki. Ich horyzont myślowy nie wybiegał poza pożywienie, ciężką fizyczną pracę, troskę o dom i dzieci, drobne kłótnie z sąsiadami, kino, piłkę nożną, piwo – a przede wszystkim hazard.

Jest to stan trwały: proleci są i pozostaną niezdolni do oporu, albowiem

Dopóki nie będą uświadomieni, nigdy nie podniosą buntu – lecz na to, by osiągnąć uświadomienie musieliby się wpiery zbuntować.

Także ze strony samej Partii nie może wyjść jakakolwiek inicjatywa zmian systemu. Każdy członek Partii jest śledzony 24 godziny na dobę przy pomocy teleekranów. Możliwość wyłączenia teleekranów – w wyjątkowych, uzasadnionych dobrem Partii wypadkach – mają tylko członkowie Partii Wewnętrznej. Każde podejrzenie o nieprawomyślność powoduje nie tylko likwidację fizyczną, ale i zniszczenie wszelkich śladów po zamordowanym, wszelkich informacji świadczących, że ktoś taki w ogóle istniał. Z drugiej strony ambitniejsi członkowie Partii Zewnętrznej awansowani zostają do Partii Wewnętrznej – ich aspiracje zostają więc skanalizowane w ramach systemu.

Nie ma więc szans na jakakolwiek zmianę mechaniki systemu:

Panujemy — powiada bohaterowi powieści jego oprawca — nad życiem na wszystkich jego szczeblach rozwoju. Wydaje mi się, że wyobrażasz sobie, iż istnieje coś, co zwie się „ludzka natura”. Wyobrażasz sobie dalej, że owa „ludzka natura” znieważana naszymi czynami obróci się przeciwko nam. Ludzie są podatni jak wosk. A może powróciłeś do twojej dawnej idei, że proleci, że niewolnicy powstaną, by nas obalić? Oni są równie bezbronni jak zwierzęta. Ludzkość to jest Partia! Wszystko poza nią jest obce i bez znaczenia.

Trzy modele rewolucji

Beznadzieja, jaką nasycony jest 1984, wynika z koncepcji rewolucji, którą Orwell *implicitie* przyjmuje. Zgodnie z tą koncepcją, człowiek jest skłonny do działań rewolucyjnych, a więc działań podważających ustalony porządek tylko wtedy, jeśli widzi ich sensowność, a zatem uznaje ich przewidywany rezultat za pożądany oraz jest przekonany, że jest dostatecznie duża szansa na uzyskanie tego rezultatu. Przy tym ujęciu, decydującym czynnikiem dla podjęcia działań rewolucyjnych jest świadomość: umiejętność artkulacji ideału rewolucyjnego, a także oszacowania szans rewolucji. Jeśli proleci nie potrafią sobie nawet wyobrazić innego sposobu życia niż ten, jaki znają, to nie mogą go pragnąć ani też ocenić szans jego realizacji. Nie są więc w stanie podjąć działań rewolucyjnych, bo nie mają świadomości rewolucyjnej. I nie będą jej mieć tak długo, jak długo żyć będą w takich warunkach, w jakich żyją. A ponieważ warunki te mogłyby zostać zmienione tylko przez rewolucję, przeto odtwarzać się one będą w nieskończoność.

Faktem jest bezspornym, że powieść Orwella daje znakomite przybliżenie do warunków tak zwanego „stalinizmu” — tym też tłumaczy się jej szalone powodzenie. Ale zarazem pesymizm Orwella co do możliwości rewolucji okazał się całkowicie nieuzasadniony. Właśnie „stalinizm” doprowadza w końcu do powstania w radzieckich obozach koncentracyjnych, strajku generalnego robotników NRD, buntu ludności Poznania, rewolucji węgierskiej. Proleci okazali się zdolni do sprzeciwu, a orwellowska koncepcja rewolucji okazała się fałszem.

Trudno zresztą mówić o jakiejś rozwiniętej koncepcji rewolucji w 1984. Orwell przyjął zdroworozsądkowy model oczekiwań rewolucyjnych: do rewolucji dochodzi wówczas, gdy większość ludzi wyżej ceni oczekiwany jej rezultat niż istniejący porządek, a jednocześnie wierzy w skuteczność buntu. Rozpatrzmy tedy bardziej wyrafinowaną odmianę modelu oczekiwań rewolucyjnych przedstawioną przez J.C. Davisa⁶, a odwołującą się do idei Tocqueville'a, iż do rewolucji dochodzi nie wtedy, kiedy jest najgorzej, lecz wtedy, gdy ma miejsce liberalizacja, a więc poprawa położenia społeczeństwa. Davis utrzymuje, iż warunkiem wstępnym rewolucji jest proces stopniowej poprawy jeśli idzie o zaspokajanie potrzeb społecznych, który to proces rodzi oczekiwania na dalszy postęp. Dochodzi do rewolucji natomiast wtedy, kiedy okazuje się, że oczekiwania te nie zostają spełnione wobec załamania owej tendencji; powiększający się rozdziew pomiędzy rozbudzonymi aspiracjami społecznymi a pogarszającymi się możliwościami zaspokajania potrzeb staje się bezpośrednią przyczyną rewolucji.

Rozważmy, czy ów model oczekiwań tłumaczy, dlaczego u schyłku „stalinizmu” kraje socjalistyczne ogarnięte zostają rewolucjami. Odpowiedź negatywna zdaje się być oczywista: za wyjątkiem Węgier (okres reform Nagy'ego z czasu jego pierwszego premiershipu) w krajach tych wstępny warunek powyższego modelu nie był spełniony. Nie było tam bynajmniej tak (ani w ZSRR, ani w NRD, Czechosłowacji czy Polsce), że system samorzutnie zmienił się na lepsze pobudzając nadzieje na dalszy postęp. Przeciwnie: najpierw doszło do powstań (ZSRR, Polska) czy strajków (NRD, Czechosłowacja), a potem dopiero system, jak w ZSRR czy Polsce, ewoluował na korzyść społeczeństwa. Skądinąd przypadek Węgier zdaje się świadczyć, że cytowany model oczekiwań rewolucyjnych uwzględni istotny czynnik wpływający na proces rewolucyjny.

A oto inna koncepcja, nazwijmy ją modelem opóźnionego oporu, w ujęciu Aleksandra Sołżenicyna:

Psychologiczną właścicielką jednostki ludzkiej, która zawsze zadziwia (jest że) w szczęściu i beztrójce boi się ona najmniejszych przeciwności (...), usiłuje nie wiedzieć nic o cierpieniach innych (...), ustępuje w wielu rzeczach nawet

ważnych, moralnych, zasadniczych, w jednym celu – aby przedłużyć swoje szczęście. I nagle, na pograniczu ostateczności, kiedy człowiek jest już nędzny, nagi i pozbawiony wszystkiego, co – jak się wydaje – upiększa życie, znajduje on w sobie siłę oporu aż do końca, rezygnując z własnego życia, ale nie ze swoich przekonań⁷.

Jest to koncepcja konformizmu wolnych i buntu niewolników. Kryje się za nią przekonanie, że człowiek decyduje się na bunt dopiero w sytuacjach ostatecznych; tak długo, jak długo ma nadzieję na przetrwanie – rezygnuje z oporu. Ale ten model nie tłumaczy z kolei, jak mogło dojść do powstania i trwania obozów koncentracyjnych w ogóle. Trudno wszak wyobrazić sobie sytuację bardziej ostateczną niż ta, jaka miała miejsce w nazistowskich obozach nastawionych na eksterminację więźniów, a jednak ruch oporu nie stał się tam zjawiskiem masowym. Także obozy radzieckie, których wstrząsający opis znajdujemy w *Archipelagu Gulag* nie potwierdzają modelu opóźnionego oporu, a raczej potwierdzają go tylko pozornie. W rzeczy samej masowy opór pojawia się tam na początku lat pięćdziesiątych. Ale musiało to być związane z jakimś innym czynnikiem niż stopień zagrożenia. Ten nie był w początku lat 50-ych drastycznie większy niż w końcu lat 30-ych, można nawet mówić o pewnym złagodzeniu radzieckiego systemu karnego (np. nie stosowano, jak w drugiej połowie lat 30-ych, tortur w śledztwie, przynajmniej nie na skalę masową), a jednak masowy ruch oporu pojawia się właśnie wtedy. Podobnie w innych przypadkach rewolucji zrodzonych z totalizacji: system policyjny w NRD nie stał się przecież bardziej drakoński w 1953 niż, dajmy na to, dwa lata wcześniej, kontrola policyjna w Polsce w 1956 raczej zmalała niż wzrosła, itd.

Słabością obu diskutowanych modeli jest, jak się zdaje, znaczenie, jakie przywiązują do psychologii: może być to pożyteczne dla odtworzenia psychicznych cech postawy buntowniczej, ale nie dla wyjaśniania zjawisk masowych. Wątpliwe jest bowiem, czy uda się wyjaśnić zjawisko rewolucji, budując model indywidualnego buntu jednostki i mnożąc go przez liczbę uczestników ruchu. Raczej jest tak, że wchodzi tu w grę swoiście społeczne czynniki wywodzące się nie z psychiki jednostki, lecz z form społecznych, w jakich jednostki są uwikłane.

Jednostki, aby były w stanie przeciwstawić się władzy, muszą mieć poczucie siły, które dać im może tylko solidarność wzajemna. Ta zaś zależy od tego, na ile potrzeby ludzkie zaspokajane są w sposób od władzy niezależny, w ramach niezawisłych struktur społecznych. Obywatele utrzymujący się z pracy w wolnej od państwa gospodarce dużo łatwiej zdobywają się na opór wobec władzy niż obywatele znajdujący się na łasce i niełasce jedyne go państwowego pracodawcy; niezależny rolnik nie będzie tolerował rzeczy, które znosić musi kołchoźnik. Rozróżnijmy tedy autonomiczne stosunki społeczne: obywatel – obywatel od etatystycznych stosunków społecznych: obywatel – władza – obywatel. Nazwijmy, dalej, alienacją obywatelską proporcję stosunków etatystycznych do ogółu stosunków społecznych, w których uczestniczą obywatele. Otóż nasilenie oporu obywateli wobec władzy zależy zasadniczo⁸ od alienacji obywatelskiej, a postać tej zależności przypomina kształt dzwonu: przekroczenie pewnego progu powoduje gwałtowne przejście od pokoju klasowego do sytuacji rewolucyjnej. Dalszy radykalny wzrost alienacji pociąga za sobą spadek oporu, deklasację (taki stopień uwikłania ludzi w struktury państwowe, który likwiduje solidarność obywatelską, a więc również zdolność do uczestniczenia w ruchach społecznych), a w konsekwencji totalizację (kiedy to wszystkie stosunki społeczne zostają upaństwowione).

Do tego modelu rewolucji należy też przypuszczenie, że autonomiczne stosunki społeczne samorzutnie odradzają się poza etatystycznymi strukturami, że zatem w miarę upływu czasu ludzie na nowo nawiązują więzi między sobą, ignorując państwowych urzędników, że tedy z biegiem czasu prawdziwe życie toczyć się zaczyna poza strukturami narzuconymi przez władzę. Uogólniając nieco rozważania S. Barańczaka można byłoby powiedzieć, iż w życie społeczne wmontowany jest przedziwny mechanizm powodujący, że ludzie siłą wtłoczeni w „fasadę” stopniowo przesuwają się ku „tyłom” i tam właśnie tworzą autonomiczne związki społeczne. Jak to zjawisko wyjaśnić, jest sprawą oddzielną. Konsekwencją jego jest natomiast wzrost solidarności obywateli, którzy ponownie stają się zdolni do działań zbiorowych, a w końcu i do oporu. Z upływem czasu tedy obywatele, choćby zdeklasowani, odzyskują zdolność do społecznego oporu.

Model ten pozwala wyjaśnić⁹, dlaczego deklasacja nie jest trwała, a zatem dlaczego stadium totalizacji zwane „stalinizmem” skończyło się rewoltą. Jeśli więc model ten jest trafny, to tłumaczy on, dlaczego społeczeństwo orwellowskie nie jest wieczne.

Rozwój społeczeństwa socjalistycznego

W istocie bowiem obraz społeczeństwa socjalistycznego przedstawiony w 1984 dotyczy jedynie pewnego etapu rozwoju tego systemu. Obecnie istniejące społeczeństwa socjalistyczne dawno już wyszły ze stadium totalizacji i rozwijają się w fazie deklasacji, niektóre – jak Polska – znajdując się być może w końcowym obszarze tej fazy. To przejście dokonało się na ogół w wyniku ruchów rewolucyjnych.

Znamienną cechą dzieła Orwella jest przenikający je głęboki pesymizm. Nasze argumenty o ograniczonej historycznie aktualności opisu zawartego w 1984 nie muszą przekonać ludzi podzielających jego pesymizm. W istocie bowiem nietrudno wyobrazić sobie takie oto rozumowanie:

To cóż z tego, iż istniejący system socjalistyczny wydobyl się ze stanu totalizacji? Przeczyłoby to modelowi Orwella tylko wówczas, gdyby kraje bloku radzieckiego znajdowały się na bardzo wysokim poziomie rozwoju technicznego umożliwiającym przybliżenie choćby do zdolności kontroli mas, jaką dysponują funkcjonariusze Partii Wewnętrznej. Tymczasem poziom techniki dzisiejszej, a już zwłaszcza w zacofanych krajach Wschodu, po prostu nie pozwala na tak rygorystyczną kontrolę mas, by ukrócić je raz na zawsze. To nie błędność modelu rewolucyjnych oczekiwań założonego przez Orwella, lecz niespełnienie przewidzianych przezeń warunków odpowiedzialne jest za odstępstwo od wizji Orwella.

A skoro tak, to spełnienia tych warunków można oczekiwać raczej na Zachodzie – jeśli prawdą jest teza o postępującej jego totalitaryzacji, a więc i nadchodzącym systemie trój-panowania – niż na Wschodzie. Poziom techniki zachodniej pozwoli zapewne na spełnienie warunków

orwellowskich – tam więc należy oczekiwać prawdziwego społeczeństwa orwellowskiego. Zwykle czytamy Orwella jako metaforyczny opis socjalistycznego Wschodu. Czytać go jednak należy dosłownie – jako opis przyszłości Zachodu¹⁰.

W istocie, powieść Orwella bywa rozumiana jako wyraz przerażenia następstwami postępu technicznego:

Orwell, jak również pozostali dwaj autorzy (Huxley i Zamiatin – L.N.), stwierdza po prostu, że nowa forma menadżerskiej industrializacji, gdzie buduje się maszyny, które działają jak ludzie i rozwijają się ludzie działający jak maszyny, jest znamieniem cry dehumanizacji i całkowitej alienacji, w której ludzie są przekształceni w rzeczy i stają się dodatkami do procesu produkcji i konsumpcji. Wszyscy trzej autorzy utrzymują, że niebezpieczeństwo to istnieje nie tylko w komunizmie w wersji rosyjskiej czy chińskiej, lecz że jest to niebezpieczeństwo właściwe współczesnemu sposobowi produkcji i organizacji, relatywnie niezależne od rozmaitych ideologii¹¹.

Jeśli ta interpretacja jest trafna, a wiele na to wskazuje, to ukrytym źródłem pesymizmu Orwella jest rozwój techniki, która w ręku władzy ukrócić ma raz na zawsze rewolucyjne porywy mas. Czy obawy te jednak są zasadne?

Odrzućmy założenie braku postępu technicznego przyjęte milcząco w poprzednich rozważaniach. Podstawowym z interesującego nas punktu widzenia skutkiem postępu technicznego jest to, iż pozwala on na nadzwyczajne zwiększenie regulacji władczej, a więc na podporządkowanie sobie nowych aspektów życia społecznego, które przy dawnym kształcie środków przymusu nie mogły być kontrolowane. Jeśli tak, to postęp techniczny w jakimś stopniu ogranicza działanie mechanizmu odradzania autonomicznych stosunków społecznych, o którym była wcześniej mowa, mechanizmu, dzięki któremu możliwe jest wyjście ze stanu totalizacji. Ciągły i przyspieszony postęp techniki zapewniłby nieograniczone utrzymywanie się stanu deklasacji.

Rzecz tylko w tym, iż tego rodzaju postęp techniczny jest w warunkach opisanego modelu niemożliwy. Klasa władców podaje bowiem, z założenia, swojej kontroli wszystkie dziedziny

życia społecznego, a więc także naukę i technikę. Aparatczycy działający w tych dziedzinach podporządkowują sobie uczonych tak samo, jak inni funkcjonariusze poddają kontroli „swoje” dziedziny. Typowy władca zaś, podejmując decyzje, kieruje się nie ich efektywnością przedmiotową (gospodarczą, poznawczą, itd.), lecz efektywnością polityczną. Aparatczyk działający w nauce ma, co więcej, naturalną skłonność do wynoszenia w górę ludzi miernych, bez autorytetu w swojej dziedzinie. Tacy ludzie dobrze wiedzą, czemu zawdzięczają awanse i pieniądze: rozumieją też, że bez opiekuńczego skrzydła władzy padliby ofiarą konkurencji zawodowej, toteż prześcigają się w serwilizmie. A przede wszystkim – otaczają się jeszcze większymi miernotami. Efekt jest taki, iż postęp nauki i opartej na niej techniki w czystym społeczeństwie socjalistycznym zaczyna zamierać. Władza chcąc nie chcąc sama niszczy źródło swej przewagi nad obywatelami. A skoro tak, to ciągły i przyspieszony rozwój techniki zdolny sparaliżować odradzanie się społeczeństwa obywatelskiego jest w izolowanym społeczeństwie socjalistycznym niemożliwy. Jedyne typ postępu technicznego, jaki może mieć tutaj miejsce, to czasowy wzrost osiągający prędzej czy później swe maksimum, a następnie stopniowy spadek. Tego typu postęp techniczny jest w stanie jedynie wydłużyć fazę zniewolenia poprzez zwolnienie procesu odradzania się więzi obywatelskich, nie jest jednak w stanie przedłużyć jej w nieskończoność, jak to ma miejsce w wizji orwellowskiej. Koniec końców i tak dochodzi do rewolucji obywatelskiej, a z nią do załamania się stanu totalizacji.

Można sądzić, iż ujęcie to znajduje potwierdzenie w faktach. Nieprzypadkowo Związek Radziecki okresu stalinizmu był krajem technicznie niesłuchanie zapóźnionym – odpowiedzialna za to była kuratela, jaką aparat partyjny otoczył naukę. Pierwszą wyrwę w ścisłym murze technicznego zacofania uczyniła dopiero wojna: dostawy nowoczesnej technologii wojennej z Zachodu i konieczność rozwijania własnej techniki wobec tego, iż kraj znalazł się na skraju przepaści. Rychło jednak „przyspieszenie wojenne” słabnie. Następuje ofensywa lisenkizmu, walka z logiką matematyczną, cybernetyką, itd. Szary aparat odzyskiwał władzę nad nauką, którą zmuszony był ograniczyć w latach zagrożenia wojennego. Pewien luz dla postępu naukowego i technicz-

nego otwarty dopiero rewolty więźniów Gułagu: aparat partyjny, zmuszony do ograniczenia swej totalnej władzy, zluźował więzy, jakimi była spętana nauka i technika. U podstaw sukcesów radzieckich w kosmonautyce nie leży więc bynajmniej wola Partii, lecz jej przegrana; sukcesy nauki radzieckiej były możliwe tylko dlatego, że aparat partyjny zmniejszył kontrolę nad środowiskiem naukowym. Nie zlikwidował jej jednak całkiem – w tego rodzaju systemie jest to zresztą niemożliwe – i rezultatem tego jest pozostawanie nauki radzieckiej daleko w tyle za nauką Zachodu. A to samo dotyczy ogólnego poziomu techniki, wyjąwszy może pewne specjalności pracujące wyłącznie dla armii.

Konkluzja brzmi więc następująco: 1984 daje przenikliwą analizę stanu totalizacji, a więc stanu, jaki społeczeństwo socjalistyczne osiąga w okresie swej dojrzałości. Nie ma jednak podstaw do wiary, że jest to stan trwały. Ani też klasa panująca nie dysponuje środkami pozwalającymi stan ten na trwałe utrzymać.

Leszek Nowak

PRZYPISY

¹ Por. *Wolność i władza. Przyczynek do nie-marksowskiego materializmu historycznego*, Wyd. NZS, Poznań 1981, *Property and Power. Towards a non-Marxian Historical Materialism*, Reidel, Dordrecht 1983, „Kilka tez o współczesnym społeczeństwie polskim”, *Veto*, 9, 1983; *O konieczności socjalizmu i o konieczności jego zaniku*, Internowa, Kwidziń 1982.

² Wszystkie cytaty z książki G. Orwella 1984 zaczerpnięto z wydania Instytutu Literackiego, Paryż 1953.

³ Pomijam tu problematykę-odmian poszczególnych wariantów w zależności od tego, który spośród parametrów podporządkowanych interesowi zasadniczemu dominuje – ewentualnie, bo nie musi tak być – nad którym.

⁴ A. Michnik, „Cienie zapomnianych przodków” w: *Szanse polskiej demokracji*, Wyd. Aneks, Londyn 1984.

⁵ Trzeba dodać, iż są w powieści Orwella miejsca, które zdają się przeczyć przyjętej tutaj wykładni (por. np. s. 219).

⁶ J. C. Davis, „Przyczynek do teorii rewolucji”, w: *Elementy socjologii zachodniej*, PWN, Warszawa 1975.

⁷ A. Solzhenitsyn, „Moderen bieg historii nie jest nieodwracalny”, w: *Przeciw mękalniemu*. Instytut Literacki, Paryż.

⁸ Co nie znaczy wyłącznie – szereg dodatkowych czynników wpływa przecież na poziom walki klas politycznych, choćby wspomniany już czynnik zawiedzionych nadziei.

⁹ Por. mój tekst „Kilka tez...”, *Veto*, 9, 1983.

¹⁰ Argumentację tę podaję w cudzysłowie, bo pochodzi ona od osoby wspomnianej w przypisie (*): cytuję z pamięci.

¹¹ E. Fromm, „Afterword”, w: G. Orwell 1984. The New American Library 34th ed., 1961, s. 266-267.

nakładem «aneksu»

**Irena Grudzińska-Gross i Jan T. Gross (red.)
W CZTERDZIESTEM
NAS MATKO NA SYBIR ZESŁALI...**

Poprzedzony analitycznym wstępem J. T. Grossa wybór relacji dzieci i dorosłych o okupacji sowieckiej i zsyłce w latach 1939-1942, napisanych w Teheranie po wyjściu Armii Andersa z ZSRR.

Str. 508

Cena: £9,50; US\$19,00

**Georgij Władimow
WIERNY RUSŁAN**

Głośna powieść lagerska wybitnego pisarza rosyjskiego.

Str. 112

Cena: £2,75; US\$6,00

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI

**Człowiek z marmuru
Człowiek z żelaza**

Przedtem słynne filmy w reżyserii A. Wajdy
Obecnie porywająca powieść autora scenariusza

Str. 224

Cena: £4,80; US\$10,50

NAKŁADEM «ANEKSU»

Jan Józef Lipski

K O R

„Jest to książka o wysiłkach gromady ludzi, bardzo różnych, którzy postanowili wystąpić w obronie bitych i więzionych robotników, stworzyć ruch budujący przyszłą Polskę niepodległą i demokratyczną od podstaw, pokazać swym przykładem, że można się przeciwstawić totalizmowi – o ludziach, których połączyły wspólne postawy moralne i którzy byli tylko ludźmi, a więc nieraz mylili się, klócili się między sobą, a przy tym potrafili być zespołem – Komitetem Obrony Robotników”. – J. J. Lipski

Str. 436

CENA: £8,90; US\$17,90

Jacek Kuroń

POLITYKA I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Artykuły i eseje

W tomie m.in.: Etyka zaangażowania – Tradycja i cele –

Myśli o opozycji –

Próba „Solidarności” – Z więzienia.

Str. 222

Cena: £4,00; US\$10,00

Adam Michnik

SZANSE POLSKIEJ DEMOKRACJI

Artykuły i eseje

W tomie m.in.: Szkice historyczne – Szanse polskiej demokracji –
Na marginesie bieżących wydarzeń (lata 1980-1981) – Po grudniu
– Listy z Białoleki.

Str. 256

Cena: £4,80; US\$10,50

książki

Jan Kott

MÓJ BRAT, EMIGRANT

Josef Škvorecký: *The Engineer of Human Souls*.

Przełożył Paul Wilson, Alfred A. Knopf,

Nowy Jork 1984, 567 str.

Po pierwszym roku w Yale w drugim roku mego pobytu w Stanach w programie wymiany wykładałem w Berkeley. Miał to być rok ostatni. Kończył mi się urlop, ważność paszportu i wizy. Najpóźniej wczesną jesienią 1968 miałem wrócić z powrotem na Uniwersytet Warszawski. Ale już zimą 1967 (zimą kalendarzową, bo właśnie wtedy, w listopadzie i w grudniu w Kalifornii jest najpiękniejsza wiosna), wieści z Polski przychodziły coraz bardziej ponure. Przyjaciele ostrzegali przed powrotem. „Zostańcie najdłużej, jak możecie!” W listach, które omijały cenzorów, pisali o zapowiadanej „nocy długich noży”, o antysemityzmie niemal już zupełnie jawnym w aparacie partyjnym, o coraz bardziej brutalnych atakach na rewizjonistów. W tym samym czasie w Czechosłowacji kruszał powoli system opresji. Listy od przyjaciół czeskich były pełne optymizmu. Wtedy właśnie, chyba w grudniu 1967 zaczęto pisać o „socjalizmie z ludzką twarzą”. Dostałem zaproszenie z Pragi, żeby od jesieni wykładać na Uniwersytecie Karola. Przyjąłem. W Pradze, myślałem, będę blisko Polski, przeczekam burzę i może doczekam odnowy. „Praska wiosna” nie trwała nawet trzech miesięcy. W marcu 68 sowie-

kie tanki wjechały do Pragi, jednocześnie granicę czeską przekroczyły „braterskie” wojska polskie w obronie socjalizmu. W Warszawie odbywały się w tym czasie demonstracje i mityngi „antysocjalistyczne”; Żydów zaczęto masowo wyrzucać z Partii i z wszystkich stanowisk, potem nawet z każdej pracy. A „Żydem” był każdy, kto miał choć jedną babkę lub dziadka semickiego. W 1968 zostałem „emigrantem”. W tym samym roku 1968 emigrantem został Josef Škvorecký.

Alien wywodzi się z łacińskiego *alienus*, *alius* – inny. Słownik angielski Webstera objaśnia: „należący do innego kraju, ludu lub narodu; obcy, różny”. *Alien* – to ludzki transplant przeniesiony na inny grunt, dosłownie „wykorzeniony”, uczenie – „wyalienowany”, *Alien* – to wygnaniec, uchodźca, emigrant z własnej woli albo z cudzej, z przymusu. Od lat pięćdziesiątych sytuacja emigranta, sytuacja „obcych”, stała się na naszych oczach coraz bardziej powszechna, jest już niemal doświadczeniem uniwersalnym drugiej połowy XX wieku.

Ilu jest tych „obcych” na całym świecie? Nawet wysoki komisarz do spraw uchodźców przy Narodach Zjednoczonych nie potrafi podać choćby przybliżonej liczby: dziesięć milionów, pięćdziesiąt, sto. Wśród tych milionów uchodźców i przesiedleńców emigranci z Europy Środkowej, która po układzie w Jaltcie została „przesiedlona” do Europy Wschodniej, stanowią niewielki procent. Ale historia nie we wszystkich częściach świata zostaje spuszczone z łańcucha, jak zwykł mówić mój stary nauczyciel i ujawnia w tym samym czasie swoją niszczącą siłę. Emigranci z Węgier w 1956, z Czechosłowacji w 1968, z Polski po „haniebnym marcu” 1968 i po klęsce „Solidarności” w 1981 przynoszą za sobą doświadczenia, które dla szczęśliwych *non-alien*s w Europie Zachodniej i w Ameryce są lekcją historii równie gorzką jak pożyteczną.

Najstarsi z tych emigranckich roczników urodzili się z początkiem Pierwszej Wojny Światowej, w czasie Drugiej Wojny byli dwudziestoletni. Przeżyli w swoich krajach okupację hitlerowską i terror stalinowski. Żydzi i uznani za Żydów przez ustawy norymberskie ocalili z zagłady. Dla młodszych pierwszą lekcją historii był rok 1968. Dla najmłodszych grudzień 1981. Ale od najstarszych do najmłodszych wszyscy uchodźcy z Węgier, z Pol-

ski, z Czechosłowacji mają za sobą trzy miesiące, albo chociaż trzy tygodnie nadziei, i dopiero wtedy, kiedy ta nadzieja odnowy i wolności okazała się złudzeniem, zdecydowali się na emigrację do krajów, gdzie może także nie ma nadziei, ale życie za to wolne jest od strachu:

„Wieżowce Toronto są piękniejsze dla mnie od rodzi-
mej sylwetki Zamku w Pradze. Wiele jest pięknych miejsc
na świecie, ale piękniejsze są tam, gdzie czuje się ulgę, że
już nie trzeba walczyć z marzeniem o jakiejś niemożli-
wej do zrealizowania przyszłości – przyszłości, która się
ciągle nieubłaganie odsuwa; gdzie strach, który przenikał
całe nasze życie, nagle znika, ponieważ nie ma się już cze-
go bać...”

Narratorem i pierwszą osobą powieści w *Inżynierze ludzkich dusz* jest czeski pisarz Danny Smiřický, który uszedł ze swego kraju w 1968 i jak Josef Škvorecký wyklada literaturę angielską w Toronto. Tylko nazwa kolledżu została zmieniona z Erindale na Edenvale. Tożsamość losu i dat bohatera i autora, podobieństwo nazwisk i nazw są bardzo wyrafinowaną strategią pisarską, która powieści przydaje autentyczność autobiografii i jak gdyby poręcza wiarygodność wydarzeń i charakterów, a jednocześnie autobiografię uwalnia od rygorów dosłowności i daje jej luz powieściowej fikcji. Powieść Škvoreckiego jako gatunek literacki jest hybrydą, i w tym jest również i jej niewątpliwe nowatorstwo. Ale od nowatorstwa artystycznego ważniejszy jest przekaz doświadczenia i jego zakres. Wydaje się nie mieścić ani w autobiografii, ani w fikcji powieściowej.

W *Inżynierze ludzkich dusz* jest czas teraźniejszy i wiele czasów przeszłych. Czas teraźniejszy dzieje się w połowie lat siedemdziesiątych w kanadyjskiej Dolinie Edenux w Toronto. Czasy przeszłe dzieją się w latach czterdziestych, pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w Czechosłowacji. Ale te czasy przeszłe nie układają się chronologicznie ani nawet nie są dane w ciągłym potoku wspomnień, w języku filmu można by powiedzieć, że *najeżdżają* niespodziewanie jak kamera na obcy pejzaż i inny czas. Aż do połowy książki, przy pierwszej lekturze, to ciągłe przeskakiwanie z jednego czasu na drugi wydało mi się nadmier-

nym wyrefinowaniem narracji i niepotrzebnym utrudnianiem czytelnikowi śledzenia losów postaci. Ale potem zrozumiałem racje autora. Przeszłość zawsze pozostanie w pamięci w powikłanej synchronii. Ale przeszłość emigrancka bardziej niż jakakolwiek inna jest wtórną terażniejszością. Odnawia się jak złe zagojona rana. I wciąż na nowo ropieje.

Ale przeszłość wraca jeszcze inaczej. Przynoszą ją ze sobą listy. Narracja powieści Škvoreckiego od pierwszego do ostatniego rozdziału przerywana jest nieustannie listami z Czechosłowacji i z wszystkich stron świata, dokąd rozsiało dawnych przyjaciół i znajomych. Te listy wydały mi się także rozrywające narrację, schematyczne i zbyt czyste. I znowu dopiero w połowie książki uznałem racje tej pół-powieści w listach. Jeżeli *Inżynier ludzkich dusz* ma być *summą* doświadczeń emigracji, integralną częścią tego doświadczenia są listy. Listy z kraju, listy ze świata. Biografie każdego z nas-emigrantów, a może jeszcze bardziej z pisarzy-emigrantów, są nieciągle, jak gdyby rozcięte w połowie, złożone z dwóch części, które się nie chcą zrosnąć. Nieciągle są również dla każdego z nas biografie przyjaciół: tych, którzy zostali w Kraju i tych, którzy wyjechali. Pełne są białych plam, pustych lat. Dopiero w listach te historie życia zaczynają się jakoś zrastać i układać w losy.

Ale czas przeszły powraca nie tylko w listach. Przyjeżdżają znajomi, czasem tylko znajomi znajomych, czeskie, polskie i węgierskie żony cudzoziemców, muzycy i aktorzy na występy, prowokatorzy, konfidenci i agenci policji obu płci w specjalnych misjach. Przeszłość politycznych emigrantów nie jest nigdy do końca zamknięta, odpisana na straty raz na zawsze. Ciągłe są jeszcze w niej jakies niepodliczone rachunki, najbardziej osobiste i najbardziej powszechne. Każdy list z Kraju wypełnia którąś z białych plam. I każde spotkanie.

Na tych emigranckich wieczorach i nocach, we wszystkich kanadyjskich Dolina Edenu i amerykańskich Kamiennych Potokach mówi się w swoich rodzinnych językach. Jeszcze w pierwszej godzinie, póki nie zostanie wypróżniona butelka śliwownicy czy wódki, tłumaczy się cierpliwie z czeskiego, polskiego czy węgierskiego co drugie zdanie na łamany angielski kanadyjskim czy amerykańskim mężom czy boyfriendom. Ale właściwie po co?

Przecież i tak nic nie rozumieją. Mówi się tylko o Kraju. Jak było, jak będzie? jeszcze raz? za naszego życia? Każdy ma do opowiedzenia historię swego życia. Ale historie życia uchodźców są rozdziałem historii powszechnej; utkaniem zbiorowego losu z niespójnych i niezbornych fragmentów „czasu utraconego”, z kruchej pamięci, z ocalonych paru kartek papieru, z nocnej rozmowy rodaków.

Přema Skočdopole był kolegą narratora w niewielkim miasteczku Kościelec, w dawnej Bohemii, niedaleko od granicy austriackiej. Założył grupę sabotażu i pod koniec wojny podpalił niemiecki magazyn z benzyną. W 1948, po śmierci Beneša, kiedy dyktatura Partii stała się już jawna i więzienia zapelnili dawni harcerze, członkowie patriotycznego „Sokoła”, a wkrótce potem i socjaliści, wszyscy do kupy jako „agenci imperializmu”. Přema w tym samym swoim małym miasteczku zabrał się do nowej konspiracyjnej działalności. Był, jak się okazało, niepoprawny. „Tyle tylko, że tym razem przeciwnik był inny. Tym razem byli to komuniści. Wtedy i teraz szło o to samo, że nie ma dosyć wolności”. I dodaje narrator: „Z tą odrobiną marksizmu, jaką liźnąłem na uniwersytecie, nie mogłem doprawdy zrozumieć, po co robotnikowi w sortowniach tytoniu intelektualna wolność..”

Grupa drukowała ulotki, montowała podziemny nadajnik. Wszyscy wpadli. Jeden Přema nie wpadł do „kotła” i przedostał się za granicę. W 1952 przez okazję wysłał pierwszy list. Osiemnaście miesięcy trzymano go w obozie dla przesiedleńców pod Regensburgiem w Zachodnich Niemczech. Nie mógł się wy dostać, nie znał żadnego języka, nie miał kto za niego poręczyć. Wcielono go do Legii Cudzoziemskiej. Uciekł, kiedy statek z transportem zacumował u brzegów Hiszpanii. Złapano go, przesiedział się po różnych kryminatach, aż go odesłano do obozu dla bezpieczeństwa na Sycylii. W obozie essesowcy. Zbili go do nieprzytomności, kiedy dowiedzieli się kim jest. Wystąpił o wizę do Stanów, ale odmówiono mu, bo miał próchniejący ząb. Wydostał się do Australii, potem nielegalnie na Nową Gwineę, do rafinerii nafty. Spał i jadł w barakach, oszczędzał każdy grosz, po roku wrócił do Australii i kupił kawał ziemi.

W marcu 1968 farmę sprzedał, nie mógł wytrzymać samotności. Odłożył pieniądze. Chce wrócić. „Doszły do nas słuchy, że

Dubček ma ogłosić amnestię za polityczne przestępstwa". Do Czechosłowacji dojechał dopiero w październiku. Było już po wolności i po Dubčeku. Dano mu 48 godzin na spakowanie manatków. Ostatni list znowu z Australii. Pracuje na budowach. Zarabia nieźle, ale jest sam. „Mówię ci, bracie, nie ma dla nas miejsca w domu, odzwyczajiliśmy się trzymać język za zębami i siedzieć na tyłku w jednym miejscu, naprawdę nigdzie już nie ma dla nas miejsca". Zginął w huraganie w mieście Darwin, na północnym wybrzeżu Australii.

Los drugi: Vachoušek, majster w fabryce Messerschmidtów, w tej samej fabryce, w której narrator w trzecim roku wojny próbował nieudolnie małego sabotażu. Majster Vachoušek go nakrył, ale nie wydał. Chronił, jak długo mógł. I uchronił. Po wyzwoleniu Vachoušek przepadł. Aż do roku 1950, kiedy narrator spotyka swojego dawnego majstra w toalecie klubu jazzowego w Pradze. Nie poznał go. Vachoušek ma teraz jasne włosy i krótko przystrzyżony wąsik, nigdy go przedtem nie nosił. I dopiero w tym klozecie klubu jazzowego były amatorski sabotażysta dowiadyuje się, że w fabryce Messerschmidtów w Kościelcu produkowano części do rakiety V-3. Mogła zmienić przebieg wojny. Majster był w komórce wywiadu, która Aliantom miała dostarczyć model rakiety. Teraz znowu w podziemiu. Wpadł parę lat potem. Powieszony został w 1959.

Białe plamy powoli się zapełniają. Nawet na niezmiernych obszarach Rosji, po milionach zatraconych w łagrach niemal zawsze pozostawał jakiś ślad – zmięta kartka papieru z paroma słowami, parę zdań wymienionych, kiedy miały się transporty, zapamiętana twarz albo uścisk ręki, nazwiska podawana z ust do ust. Węgry, Polska, Czechosłowacja są niewielkie. Emigranci, uciekinierzy i wygnańcy są we wszystkich krajach świata. W Toronto, na czeskiej pijatyce, Smiřický spotyka księdza, który udzielił Vachouškowi ostatniej pociechy i jeszcze drugiego współwzięnia, który widział, jak odbywały się egzekucje. Majster przesiedział w celi śmierci ponad cztery miesiące. Przed egzekucją kazano się skazańcom golić. I to starannie. Jeśli się zadrasnęli, dostawali alun do zatamowania krwi.

„A kiedy skończyli golenie, Jarda Zrůda (zwany Jarda „Potwór”), szef czeskiej bezpieki, podchodził, przeciągał

ręką po podbródkach i wrzeszczał: «I wy to nazywacie gołeniem! Jazda z powrotem i na nowo!» I raz jeszcze się golili i krew im tryskała z policzków. I wtedy Jarda Zrúda znowu się zjawiał i mówił: «Do cel, panowie! Egzekucja odłożona jest do piątku». Odroczenie na dwa dni. W rzeczywistości dwa nowe dni strachu. A jednak czuli ulgę. Kiedy to się działo, budowaliśmy socjalizm”.

Jeszcze trzeci los: Rebecca Silbernagłowa. Przed wojną chodziła na basen w Kościelcu razem z narratorem. Pewno się w nim durzyła. W powieści są tylko od niej listy. Pierwszy ze stycznia 1944 z obozu w Terezynie, jeszcze przed wywózką. Prosi, żeby przechować miniaturowy portret matki. Po wojnie przywieziono ją na noszach, dogorywającego kościotrupa. Była w Oświęcimiu do końca. Jakoś wyżyła. Następny list jest z Braunau z 1953. Męża jej aresztowano jako syjonistę. Pracuje w warsztatach tekstylnych, nowy obóz przymusowej pracy. Nie może nawet na dzień wyjechać. I nie ma pieniędzy. Błaga o lekarstwo dla chorego syna. Potem, po siedmiu latach, list z Izraela. Jest z synem w kibucu. I znowu, po nowych siedmiu latach – jest już rok 1967: „Moja jedyna nadzieja, że pokój potrwa chociaż siedem lat. Ale nasi słowiańscy bracia zrobią, co mogą, żeby nie potrwało tak długo. Żeby chociaż pięć lat. Chociaż pięć...” Ostatni list jest z 1974. Syn i synowa w siódmym miesiącu zginęli od bomby podłożonej w środku miasta. „Po raz pierwszy w życiu powtarzam sobie to, co kobiety w Oświęcimiu mówiły, kiedy ginęli po kolei ich mężowie, dzieci, wszyscy, których miały; dlaczego ja także nie poszłam przez komin?”

Losy indywidualne układają się w *Inżynierze ludzkich dusz* w los powszechny. Są przykładami Wielkich Prawidłowości. Walec rozgniata mrówki. Škvorecký nie lęka się ani ilustracyjności, ani schematyzmu. Jest bezwstydnie prawdziwy. Jak Solżenicyn. Ale najbardziej zadziwiający w tej powieści – eposie o wyniszczeniu narodu jest śmiech. Nie jest to „czarny humor” ani śmiech przez łzy. Jest to po prostu śmiech zwyczajny, śmiech pospolity, gromki śmiech, śmiech Szwejka, który można wyraźnie usłyszeć i u Kundery, i u Škvoreckiego. Jeśli nie ma już ani nadziei, ani pociechy, zostaje zawsze jeszcze śmiech. Nawet śmiech wulgarny i

sprośny. Ten sprośny śmiech jest lekarstwem na życie, jak uczy stara mądrość karnawału. I nie jest przypadkiem, że wiele scen w *Inżynierze ludzkich dusz*, podobnie jak w *Dobrym wojaku Szwejku*, dzieje się w latrynie. Jeszcze w 1936 nauczono mnie w wojsku: „to jedyny dom spokojny, który nigdy nie zna wojny”. Rozmowy w latrynie wojskowej, obozowej czy fabrycznej są zawsze pełne cywilnej mądrości. W czasie wojny i terroru latryna jest jedynym miejscem cywilizowanych rozmów. I jedynym miejscem wolnym od strachu.

Najbardziej może charakterystyczną cechą polskiego teatru i czeskiej prozy ostatniego ćwierćwiecza jest obecność w niej grozy, która nie przestaje być śmieszna. Ale śmieszna groza nie jest wymyślona jak często u absurdistów zachodnich, jest podpatrzona. Nie jest nadrealizmem, ale realizmem *nad*. Kundera, a w Polsce wczesny Mrożek, zanim nie zaczął moralizować są niezrównani w ukazywaniu tej grozy bezsensu. Ale nikt nie przewyższa Škvoreckiego.

Ostatnim uchodźcą, który pojawił się w Toronto, był doktor Todt, poczciwy i bezpartyjny specjalista od elektrotechniki. Przed rokiem wysłany został urzędowo do Londynu na międzynarodową konferencję. Wrócił, kiedy miał wrócić, odespał podróż i następnego dnia rano, po gorącej kąpieli i kawie z kożuskiem, włożył pantofle i otworzył *Rudé Právo*. Na pierwszej stronie był artykuł pod tytułem „Historia zdrajcy”. Artykuł był o nim. Że pojechał do Londynu na konferencję, że co wieczór spotykał się z szefem delegacji sowieckiej, żeby otrzymać instrukcje na dzień następny, że wygłosił dwa odczyty... Wszystko się zgadzało poza jednym: że nie wrócił i dał do prasy kapitalistycznej wywiad, że nie wróci. Poczciwy elektrotechnik przetarł binokle i przeczytał artykuł po raz drugi i trzeci. Ciągle jeszcze się ludził, że może artykuł był o kimś innym. Ale jego nazwisko i wszystkie tytuły widniały wielkimi literami, specjalnie wytłuszczone.

Pobiegł natychmiast do redakcji *Rudého Práva*. Naczelný znał go od dawna i natychmiast przyjął. Spojrzał na niego, obejrzał sobie dokładnie pierwszą stronę własnej gazety, jakby jej nigdy przedtem nie widział, spojrzal jeszcze raz na swojego gościa, potem raz jeszcze na gazetę i powiedział: „Rzeczywiście obywatelu profesorze, jeżeli jesteście tutaj, to wy g l ą d a na to, że nie

jesteście w Londynie. Ale... coś w tym musi być, materiał dostaliśmy z Ministerstwa i nie zmieniliśmy w nim ani słowa, poza – uśmiechnął się porozumiewawczo – poprawieniem błędów ortograficznych”. Doktor Todt jeszcze tego samego dnia pobiegł do odpowiedniego Ministerstwa. Tym razem czekał dłużej, ale przyjął go sam szef odpowiedniego wydziału. Obejrzał sobie starannie i podejrzliwie swojego petenta i powiedział: „Oczywiście, obywatelu, jeżeli jesteście tutaj, to w y g l ą d a na to, jeszcze raz przyjrzał się mu się badawczo, że nie zostaliście u kapitalistów. Ale... coś w tym musi być, materiał, zniżył głos, pamiętajcie, to jest tajemnica służbowa, dostaliśmy od naszej ambasady w Londynie... Nie się nie bójcie, wszystko kiedyś zostanie wyjaśnione, wracajcie do domu i do pracy”.

W Instytucie, gdzie pracował, nikt już odtąd z nim nie rozmawiał, tylko wierna sekretarka podawała mu czasem w tajemnicy bladą i wystygłą herbatę. Telefon miał na podsłuchu, na ulicy zdawało mu się, że ktoś za nim chodzi. A może i tak było. Po sześciu miesiącach przez państwowe Biuro Podróży zgłosił się na wycieczkę narciarską w Alpy Austriackie. Za wszystkie oszczędności kupił dwie pary nart, plecak, śpiwór i skafander. Nart nigdy nie założył, ale już po miesiącu był w Kanadzie.

Londyński *Times* nie zamieszcza sprostowań i jego redaktorzy utrzymują, że nigdy, od chwili założenia, nie było w *Timesie* fałszywej informacji. Zdarzyło się jednak raz, że *Times* wydrukował nekrolog gentelmena, który nie tylko nie umarł, ale był w pełni sił. Następnego dnia niedoszły nieboszczyk zgłosił się w redakcji. Redaktor mu się baczenie przyjrzał, rozłożył ręce i powiedział: „Rzeczywiście, jeżeli Pan się potrudził, żeby nam złożyć wizytę, nie ma wątpliwości, że pan nie umarł. Ale – tu rozłożył ręce – jest nam ogromnie przykro, *Times* nigdy nie daje sprostowań. Proszę się jednak tym nie przejmować, w jutrzszym numerze ogłosimy, że się pan urodził”.

W tych dwóch opowieściach, czeskiej i angielskiej, jeśli traktować je jako fikcje literackie, odkryć można bez większego trudu dwa różne patronaty, dwie różne tradycje. Historię o przedwczesnym nekrologu mógłby znakomicie napisać Dickens, albo może jeszcze lepiej w jej amerykańskim wydaniu Mark Twain. Historia praskiego specjalisty od elektrotechniki, który ogłoszo-

ny został defektorem, zanim jeszcze się nim stał, jest ze świata Kafki, w którym „klatka szuka ptaka” i kara jest dowodem winy. Ale jeszcze bardziej od Kafki w opowieściach Škvoreckiego słyszemy śmiech Gogola z *Plaszczy*, *Nosa* i przede wszystkim *Rewizora*, w którym obita przez policjantów podoficerska wdowa „sama siebie wychłostała”. Ta absurdałna gogolowska groza, która poraża, choć nie przestaje być śmieszna, nie jest tylko cechą pewnego specyficznego gatunku literackiego, ale również specyficzną cechą systemów represji, które nie mają odwagi jej nazwać i w tej semantyce autokracji niewolę nazywają wolnością. I dlatego pogarda dla władzy jest jeszcze w tych systemach silniejsza od strachu.

Wśród literackich parantel Škvoreckiego jedno jeszcze nazwisko należy wymienić: Nabokov. Nabokov jest także pisarzem emigracyjnym, choć jak gdyby już z innej epoki, o dwa pokolenia literackie przed Škvoreckim, i w odrębnym kręgu kulturowym. Jest Wielkim Emigrantem w dwóch literaturach: rosyjskiej i angielskiej. Olśniewający eseista i krytyk o literaturze rosyjskiej pisał z perspektywy literatur zachodnich, o klasykach angielskich i francuskich – z doświadczeń pisarza rosyjskiego. Był komparatystą w najpełniejszym znaczeniu tego słowa, ponieważ był emigrantem w najpełniejszym znaczeniu tego słowa.

Kolejne rozdziały *Inżyniera ludzkich dusz* zatytułowane są nazwiskami pisarzy amerykańskich i angielskich, od Poego do Conrada, o których Smiřický wykładał na swoich kursach literatury w kanadyjskiej Dolinie Edenu. Poego *Kruka* czytał swoim młodziutkim uczniom naprzód po rosyjsku w słynnej adaptacji Jesienina:

Kak ta nocziu w czas terrora...
Karknuł Woron: Nevermore!

i potem w swoim przekładzie: „*Once at night in time of terror...*” I kończy ten swój rozdział dorównujący Nabokowowi w mistrzostwie stylu i nieoczekiwanych zaskakujących odczytywań i skojarzeń: „Byliśmy zawsze otoczeni przez terror i piękno, które było jego nieodłączną częścią”. Być może czeskiemu pisarzowi udało się przekonać swoich młodziutkich kanadyjskich słuchaczy, a już zwłaszcza słuchaczki o pięknie tego wiersza, ale z własnego uni-

wersyteckiego doświadczenia wąpnię („O błogosławiona niewinności! ten grzech nie do przebaczenia transatlantyckiej cywilizacji!”), czy udało mu się dać im choćby przecucie, czym może być piękno na ziemi terroru.

Nie ma chyba campusu od Toronto do Vankoveru, i od Bostonu do Berkeley, gdzie wśród wykładowców nie byłoby choć jednego, Węgry, Ukrainca lub Czecha. Samych polskich emigrantów z ostatniego ćwierćwiecza jest wśród amerykańskiej profesury blisko dwa tysiące. Wykładają niemal wszyscy pisarze-emigranci, i oczywiście wykładają literaturę. Wydaje się być to dość niezwykłym doświadczeniem i dla nich samych, i dla słuchaczy, którzy często w drugim i w trzecim pokoleniu są dziećmi emigrantów. Do najznakomitszych partii wielowarstwowej i wielowątkowej powieści-rzeki Škvornického należy to podwójne lustro, dialog profesora-emigranta z jego uczniami na drugim kontynencie.

W tym kanadyjskim terażniejszym czasie powieści rozgrywa się również romans narratora z jego dwudziestoletnią uczennicą zafascynowaną jego wykładami o literaturze. Nie są to najlepsze strony *Inżyniera ludzkich dusz*. Panna jest córką milionerów szwedzkiego pochodzenia i ma urodę północnej syreny. Pierwsza miłosna scena rozgrywa się na luksusowej barce jej rodziców zacumowanej u brzegu jeziora. „...wydawała się być z alabastru. Promieniowała jak biała bogini ze złotą aureolą jasnych włosów wokół głowy i ze wspaniałym złotym gąszczem w środku jej kobiecości...” Ale dziewictwo straci dopiero na opuszczanym siedzeniu Cadillaca swojego Ojca. Cały ten romans złożony z samych klisz, przerzucający się na zmianę od niezdolnego sentymentalizmu do jeszcze bardziej nieznośnej wulgarności, jest powtórzeniem najgorszych wzorów amerykańskiej „mydlanej opery”. Tym przykrzej to uderza w porównaniu z miłosnymi scenami z lat wojny, w których jest czułość i szorstkość, prawdziwe uczucie, zapach ciała i ziemi, prawdziwe pejzaże. Na długo po przeczytaniu powieści pozostaje w pamięci Nađa, robotnica w tej samej fabryce wojskowej w Kościelcu, w ogromnych butach z cholewami i za dużym na nią męskim raglanie, uszytym zapewne jeszcze przed jej urodzeniem, Nađa zawsze głodna, która całowała ustami pełnymi jeszcze naleśników, jakie narratorowi przesyłała z domu jego matka.

Ze wszystkich czasów przeszłych w *Inżynierze ludzkich dusz* najostrzej i najpełniej ukazany jest ostatni rok wojny, ze wszystkich miejsc – Kościelec. Wszystkie lata późniejsze i miejsca aż do czasu emigracyjnego w Kanadzie ukazane są w listach albo w strzępach pamięci jak w gęstej mgle, z której tylko na chwilę wylaniają się postacie i urywki dialogu. Emigracja zawsze, i to nie tylko w sensie metaforycznym, jest z kraju dzieciństwa i młodości. Ale *Inżynier ludzkich dusz* jest rozrachunkiem z wszystkimi czasami przeszłymi emigranta; Josef Škvorecký i Danny Smiřický, autor i narrator, wyszli na emigrację nie z Kościelca w roku 1946, ale z Pragi w 1968. Puste miejsce „Praskiej wiosny” jest w tej powieści politycznego emigranta najbardziej zastanawiające.

Ale „Praska wiosna” jest w tej powieści tylko pozornie nieobecna. Nie istnieje ani w opisie, ani w akcji. Ale obecna jest w innym sensie, ukryta pod powierzchnią wydarzeń, jest rozpaczą i nadzieją uchodźców. „Potrzebne nam są razem, Praga i wolność” – mówi Weronika, najmłodsza uchodźczyni. „Ale już tak wygląda, że nie możemy mieć ich razem. Jest to albo, albo”. Praga wraca jeszcze po raz ostatni, tuż pod koniec powieści; tym razem przez Paryż. Paryż był pierwszym miejscem postoju w ucieczce przed sowieckimi tankami.

„Pamiętam Paryż w 1968. Staliśmy na trotuarze przed *Les Deux Magots* jak dwaj nędzarze, których dom właśnie splonął i Milan Kundera powiedział: «Mam tylko nadzieję, że szybko umrę. Za dużo było tego wszystkiego. Jak długo, myślisz, to może jeszcze trwać?» Ja także myślałem o śmierci. *Libido* śmierci. Tanki zamieniły nagle teorię Freuda w rzeczywiste uczucie...”

Mickiewicz w jednym z najbardziej gorzkich wierszy w polskiej poezji pisał w połowie lat trzydziestych:

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,
W oczy zagląda i głośno gada,
Dusza w ten czas daleka...

W stopięćdziesiąt lat później Škvorecký pisze o doświadczeniu podobnym. *Inżynier ludzkich dusz* jest powieścią o doświadczeniu prawdziwym.

o autorach

ALAIN BESANÇON – ur. w 1932 r. Historyk i filozof francuski. Autor m.in. *Le tsarévitch immolé. La symbolique de la loi dans la culture russe* (1967), *Court traité de soviétologie à l'usage des autorités civiles, militaires et religieuses* (1976), *Les Origines intellectuelles du léninisme* (1977), *La Confusion des langues: la crise idéologique de l'Eglise* (1978), *Anatomie d'un spectre: l'économie politique du socialisme réel* (1981). W *Aneksie* opublikował m.in. „Solżenicyn i Zachód” (nr 22) i „Sowiecka teraźniejszość i rosyjska przeszłość” (nr 23).

JAŃCZAK BORYGO – pseudonim autora mieszkającego w Polsce.

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI – profesor nauk politycznych w Georgetown University w Waszyngtonie. W latach 1977-1981 doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw bezpieczeństwa. Ważniejsze książki: (z C. J. Friedrichem) *Totalitarianism: Dictatorship and Autocracy* (1956), *The Soviet Bloc: Unity and Conflict* (1960), *Ideology and Power in Soviet Politics* (1962), *Between Two Ages. America's Role in the Technotronic Era* (1970), *Power and Principle* (1983). W *Aneksie* opublikował: „Polityka radziecka od przyszłości do przeszłości” (nr 9), „Stosunki międzynarodowe – kryzys i przemiany” (nr 11), „Stosunki Wschód-Zachód a Polska” (nr 27).

BOGUSŁAW GAŁĘSKI – socjolog, profesor w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Obecnie wykłada w University of Wisconsin, Madison, USA. Autor m.in. książek: *Chłopi i zawód rolnika* (1963), *Socjologia wsi. Pojęcia podstawowe* (1966), *Studia nad społeczną strukturą wsi* (1973), *Basic Concepts of Rural Sociology* (1977).

JAKUB KARPIŃSKI – ur. w 1940 r. Socjolog, historyk, publicysta, współredaktor *Zapisu i Głosu*, członek TKN. Od 1978 r. przebywa na Zachodzie. Autor m.in. książek: *Wprowadzenie do metodologii nauk społecznych* (1976), *Countdown* (1982), *Mowa do ludu* (1984). Jako

Marek Tarniewski opublikował w Instytucie Literackim: *Ewolucja czy rewolucja* (1975), *Krótkie śpięcie* (1977), *Porcja wolności* (1979), *Płonie komitet* (1982). W *Aneksie* pod pseudonimem Adam Tern opublikował: „Marksizm w działaniu: filozofia i nauki społeczne a marksizm w Polsce” (nr 2).

STEFAN KISIELEWSKI – ur. w 1911 r. Publicysta, prozaik, kompozytor. Autor wielu książek, m.in. *Sprzysiężenie, 100 razy głową w ścianę, Moje dzwony trzydziestolecia, Na czym polega socjalizm, Podróż w czasie*. Pod pseudonimem Tomasz Staliński opublikował w Instytucie Literackim: *Widziane z góry, Cienie w pieczarze, Romans zimowy, Śledztwo, Ludzie w akwariium*. Ostatnio nakładem podziemnego wydawnictwa – CDN ukazał się zbiór esejów *Bez cenzury*. W *Aneksie* opublikował „Czy teoria jest niewinna” (nr 29-30).

LESZEK KOŁAKOWSKI – ostatnio opublikował: *Główne nurty marksizmu* (Inst. Literacki 1977-78), *Czy diabeł może być zhawiony i 27 innych kazań* (Wyd. Aneks 1982), *Religion. If There Is No God... On God, The Devil, Sin and Other Worries of the So-Called Philosophy of Religion* (1982); książka ta ukaze się wkrótce po polsku w wyd. Aneks. Jest autorem wielu esejów drukowanych na łamach *Aneksu*.

JAN KOTT – ur. w 1914 r. Od 1966 r. mieszka w USA, obecnie profesor literatury porównawczej i angielskiej w State University of New York w Stony Brook. Autor m.in. książek: *Mitologia i realizm* (1946), *Postęp i głupstwo* (1956), *Szkice o Szekspirze* (1966, przetłumaczone na 21 języków), *The Eating of the Gods. An Interpretation of Greek Tragedy* (1974), *Kamienny Potok* (NOWA 1981). W *Aneksie* opublikował esej „Góra i dół, albo o wieloznacznościach Prometeusza” (nr 24-25).

MARCIN KRÓL – ur. w 1944 r. Historyk myśli politycznej, publicysta. Członek redakcji *Tygodnika Powszechnego*. Autor książek: *Sylwetki polityczne XIX wieku* (z Wojciechem Karpińskim, Znak 1974), *Style politycznego myślenia* (Libella 1979), *Stańcyzy. Antologia myśli społecznej i politycznej konserwatystów krakowskich* (Znak 1982), *Słownik demokracji* (Wszechnica społeczno-polityczna 1983), *Ład utajony* (Znak 1983). W 24 numerze *Aneksu* opublikował esej „Dylematy liberalizmu”.

GEORGES NIVAT – profesor uniwersytetu genewskiego. Autor książek: *Soljénitsyne* (1977), *Vers la fin du mythe russe: essais sur la culture russe de Gogol à nos jours* (1982).

LESZEK NOWAK – ur. w 1943 r. Filozof, profesor Uniwersytetu Poznańskiego. Autor m.in. *U podstaw marksistowskiej metodologii nauk* (1971), *Model ekonomiczny* (1972), *Property and Power. Towar's a Non-Marxian Historical Materialism* (1983).

JÓZEF PODLASKI – pseudonim autora mieszkającego w Polsce.

IHOR ŠEVČENKO – ur. w 1922 r. w Polsce, gdzie spędza wczesną młodość. W roku 1947 przełożył *Animal Farm* na ukraiński i naklonił Orwella do napisania specjalnego wstępu do ukraińskiego wydania książki. Czołowy bizantynista współczesny, obecnie Dumbarton Oaks Professor of History and Literature na Harvardzie i wicedyrektor harwardzkiego Ukrainian Research Institute. Szkic, który zamieszczaemy, wygłoszony został na posiedzeniu New England Slavic Association w marcu 1984.

FONDATION KOSCIELSKI

Genève

Na swym dorocznym posiedzeniu w dniu 22 września 1984 roku Rada Fundacji im. Kościelskich przyjęła z żalem rezygnację p. Zygmunta Kallenbacha ze stanowiska prezesa Fundacji, którą to funkcję pełnił on od roku 1967. Pan Zygmunt Kallenbach został wybrany prezesem honorowym. Na jego miejsce nowym prezesem wybrano p. Krzysztofa Górskiego.

Jednocześnie Fundacja im. Kościelskich przyznała dwie nagrody literackie w wysokości Fr. szw. 3 000 – każda, które otrzymali:

Bronisław MAJ za zbiór wierszy pt. „Wspólne powietrze”.

Tadeusz KORZENIEWSKI za tom prozy pt. „W Polsce”.

W imieniu Prezydium Fundacji:

Prof. Zygmunt Marzys
sekretarz.

NAKŁADEM «ANEKSU»

Jerzy Surdykowski NOTATKI GDAŃSKIE

Reportaże literackie znanego dziennikarza polskiego prezentują ludzi Sierpnia, m.in. Lecha Wałęsę, Bogdana Borusewicza, Joannę i Andrzeja Gwiazdów, Annę Walentynowicz i wielu innych mniej znanych bohaterów tego okresu.

STR. 190

Cena £4.00 (\$10.00)

cena **330,-**

36

ZBIORY OŚRODKA KARTA